



Władimir Bieriezin

"Znaki na szlaku"

albo

"Znaki drogowe"

Tłumaczenie: Leo0502

Tłumaczenie notek: marcel

ADNOTACJA

„Metro 2033” Dmitrija Głuchowskiego – kultowa fantastyczna powieść, najczęściej omawiana rosyjska książka ostatnich lat. Nakład – pół miliona, tłumaczenie na dziesiątki języków i wspaniała gra komputerowa. Ta post-apokaliptyczna opowieść zainspirowała całą rzeszę współczesnych pisarzy i teraz razem tworzą Uniwersum „Metro 2033”, serię na motywach znanej sagi. Przygoda bohaterów na powierzchni Ziemi, niemal unicestwionej przez wojnę jądrową, przewyższa wszelkie oczekiwania. Teraz walka o przetrwanie ludzkości będzie się toczyć wszędzie!

Władimir Bieriezin jest jednym z najbardziej interesujących współczesnych pisarzy fantastycznych. Jego „Znaki na szlaku” są pierwszą książką Uniwersum „Metro 2033”. Jej bohater wybierze się poza granice metra i wreszcie odkryje los mieszkańców Petersburga.

ŻYCIE W „UNIWERSUM METRO 2033”

W szkole ja po prostu uwielbiałem fantastykę. Kiedy szczególnie podobała mi się jakaś książka, kiedy pochłaniał mnie wymyślony przez kogoś świat, chciałem o nim czytać i czytać – czytać bez końca.

„Byłoby dobrze – myślałem wtedy – gdyby kilku pisarzy, zjednoczonych w stowarzyszeniu, razem wymyślało i tworzyło książki o tym samym świecie. To pozwoliłoby zmienić taki wymaginowany świat w żywy i szczegółowo przemyślany, stworzyć go bezgranicznym.”

I wtedy w moim życiu przychodzi chwila, kiedy mogę wcielić w życie swoje dziecięce marzenie. Mogę otworzyć drzwi do wszechświata mojej powieści „Metro 2033” dla innych pisarzy. I teraz razem z nimi tworzyć ten świat.

A to znaczy, że nie będziesz musiał czekać jeszcze kilka lat, żeby dowiedzieć się, że tworzy się w innych zakątkach uniwersum „Metro 2033”. Wśród autorów, którzy przyłączyli się do mnie, jest jeden, który pisze o Piterze, i jeden, który pisze o Mińsku, i jeden który zabiera się za pisanie o Nowosybirsku. A także tacy, którzy będą opowiadać historię post-apokaliptycznej Sofii – po bułgarsku. No i oczywiście moskiewskie metro pozostanie głównym schronieniem ludzkości, a to znaczy, że najbardziej dramatyczne wydarzenia będą się rozgrywały właśnie w nim.

Trzymasz w rękach pierwszą powieść nowego wielkiego projektu „Uniwersum Metro 2033”, który rozpoczynamy.

W tej serii będą wychodzić książki o życiu po Apokalipsie, o świecie z moich powieści „Metro 2033” i „Metro 2034”. Pisać je będą najróżniejsi ludzie – ale wszyscy barwni, interesujący, utalentowani.

„Metro 2033” pisarza i krytyka Władimira Bieriezina to bardzo niezwykła powieść. Postanowiłem rozpocząć serię właśnie z nim, ponieważ dobrze zna się na fantastyce i dlatego że książka okazała się niezwykle pasjonująca.

W styczniu 2010 roku zostanie wydane „Metro 2033: Piter” Szymuna Wroczyka – zwracająca w głównej mierze post-atomowa powieść o Petersburgu.

W lutym – „Metro 2033: Mroczne tunele” Siergieja Antonowa, tym razem znowu o Moskwie. I o młodych rebeliantach.

Są plany i na marzec, i na kwiecień. A teraz najlepsze – autorem jednej z książek „Uniwersum Metro 2033” możesz być i ty! Na portalu Uniwersum – na stronie metro2033.ru – prowadzimy konkursy i dobór najlepszych powieści napisanych przez czytelników. Wejdź na stronę, żeby umieścić tam swoje opowiadania i powieści – i mogą je wydrukować!

Rok 2033-ci... Świat jest już doszczętnie zniszczony. Stwórzmy nasz nowy świat razem!

Dmitrij Głuchowski

Autor wyraża wielką wdzięczność M. Kaganow, Je. Rozanow, I. Sindieriuszkin, Je. Sirik, Je. Pieronow, D. Farrentes, Enigma, MegaVolt, Djtonik, a także autorom stron metro.vpeterburge.ru, anticaves.ru i wielu innym za porady i pomoc.

Wszelkie podobieństwo do realnych nazwisk i wydarzeń jest przypadkowe i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Przy drogach głównych ustawia się znaki drogowe oraz sygnałowe. Znaki drogowe wskazują trasę, profil, długość i granice odcinków drogi. Znaki sygnałowe ustawia się po prawej stronie względem kierunku ruchu, a drogowe - od prawej strony według kilometrażu

Zasady technicznej eksploatacji kolei Federacji Rosyjskiej

Zanim podejmiecie jakąkolwiek decyzję, najpierw uspokójcie się, uporządkujcie myśli i oceńcie powstałą sytuację. Przypomnijcie sobie wszystko, co wiecie o przeżyciu w podobnych warunkach. Działajcie zgodnie z konkretną sytuacją, porami roku, charakterem miejscowości, odległością od niebezpiecznych miejsc, stanem zdrowia członków załogi. Wasza wola, męstwo, aktywność i inwencja zapewnią powodzenie w najbardziej złożonej sytuacji samodzielnego przetrwania.

Instrukcja dla załóg pojazdów lotniczych, dotycząca przeżycia i działania po przymusowym lądowaniu w nieznanym terenie lub wodowaniu. (Wydawnictwo MON — m.: 1975. Dostęp bez ogr. Bezpłatnie, cz. 3)

Rozdział I Ojciec

Nie opowiadajcie nikomu swoich snów — co, jeżeli dojdą do władzy freudyści?

Stanisław Jerzy Lec

Stałem przy granicy lotniska pośród wysokich traw kołyszących się na wietrze. Fale szły wzdłuż pasa startowego, rozchodząc się w to w jedną to w drugą stronę, jakby ktoś gładził pole ogromną dłonią. Czekałem na ojca, i oto się zjawił – duży i silny. Wziął mnie za rękę. Czułem jego dłoń i śpiesznie szedłem zanim, kiedy prowadził mnie przez rzędy zabezpieczeń wprost do hangarów. Wartownik od niechcienia zaszalutował nam ale wszyscy znaliśmy siebie nawzajem od lat, i to wszystko było tylko formalnością. I salut wartownika, i odpowiedź ojca, i przepustka po którą i tak nie sięgnął.

Lotnisko było małe, sportowe, i maszyn na nim było niewiele. Wszystkiego tam było mało – i samolotów i pilotów.

Ojciec, przymrużywszy oczy spojrzał w dal i powiedział:

- Cudowny dzień, czyste niebo po horyzont.

Powiedział coś do techników, ci odpowiedzieli machając jakimiś papierami. Potem razem popatrzyli w te papiery i w końcu ojciec przywołał mnie gestem do siebie. W kabinie samolotu szkoleniowego było gorąco, pachniało benzyną i rozgrzanym metalem. Kochałem te zapachy, ale jeszcze bardziej uwielbiałem zapach w kabinie nie było upału - jakimś szczególnym zapachem maszyn elektrycznych.

W samolotach odrzutowych, paliwa prawie w ogóle nie czuć, a tutaj czujesz się prawie jak w samochodzie.

Ojciec mówił, że fabryka pozwala na nim latać na dziewięćdziesiątce dwójce – zwykłej benzynie samochodowej, i pewnie dlatego tak pachnie. A matka z niezadowoleniem mówiła, że lubię wąchać benzynę dlatego że w moim organizmie brakuje żelaza.

Siedzę z prawej strony, wsadziwszy nos w panel radiokompasu, ojciec na razie przygotowuje się do wylotu.

Pamiętam taki film, gdzie chłopiec uratował ojca i leciał samolotem nad pustynią. "W razie czego, uratuję go – mamroczę przesuwając palcem po skali mechanizmu korekcyjnego – jeśli będzie miał kłopoty, dowiozę do szpitala... Nie, niech nie on, lecz kto inny popadnie w nieszczęście, a my z ojcem go uratujemy. Usiądziemy w odległym górskim miasteczku, wokół niech szaleje wojna. Niech będą wybuchy. Zbierzemy rannych i w ostatniej chwili wzbijemy się w niego. On będzie tak jak i teraz, spokojnie i surowo patrzeć przed siebie, a ja będę nawigatorem".

I sprawdzam, czy korektor lotek jest ustawiony w pozycji do startu.

Ojciec nie patrzy na mnie ale wiem, co on wszystko widzi.

Opowiadam mu szkolne nowości przeplatając dobre i złe, i czuję, że dla niego to wszystko jest bardzo ciekawe, ale nie na miejscu – przecież teraz musi już lecieć..

Chciałem go jeszcze o coś zapytać, ale nie pamiętam o co. Ojciec mruga do mnie, jak gdyby daje do zrozumienia, że on też chciałby coś opowiedzieć, ale nie teraz. Praca, rozumiesz.

Jeszcze przez chwile siedzimy z ojcem w kabinie, uważnie sprawdza jak zapiąłem pasy i otwiera przepustnice. Samolot sunie przed siebie. Huśtając ustawia się na kwadracie wyrysowanym na dwóch przecinających się rozgrzanych słońcem asfaltowanych pasach lotniska. Potem ojciec zatrzymał samolot, i puścił silniki na jałowe obroty.

Wydostaję się na zewnątrz, i strumień powietrzny od razu zrywa mi z głowy pilotkę. To ojcowska furażerka a ojciec mówi, że nakrycie głowy - najważniejsza część munduru. Pilotka jest na mnie za duża, ale strzegę jej bardziej niż kolekcji obrazków z gum do żucia.

Pilotka ślizga się po chropowatym betonie. Biegnę za nią i przegapiam moment kiedy ojciec ruszył maszyną i zaczął nabierać prędkości. Skrzydła zaczynając wibrować i migotać w pyłę który wisi nad pasem. I w końcu, daleko na końcu pasa, samolot odrywa się od ziemi, podrywa z betonu tumany kurzu i unosi się w górę. Ojciec robi wiraż, potem kręci beczkę i przelatuje nad lotniskiem. A potem kręci wysoko nad moją głową manewr opadającego liścia.

Idę do hangarów i chowam się w cieniu. Chcę tylko jednego, żeby to trwało w nieskończoność. Zamieniający się na wirach ton pracującego silnika, samolot fikający koziółki w powietrzu na tle nieznosnie błękitnego nieba, i moje szczęście.

Muszę o coś spytać. To bardzo ważne i wiem że ojciec mi wszystko wytłumaczy. I wreszcie przypominam sobie o co mi chodziło ale ojciec jest daleko, a jego samolot właśnie zrobił pętlę i wznosi się w stronę słońca. Czytałem jedną książkę, opowieść o pilotach czasów wojny ... i tam, w tej opowieści, jeden z naszych pilotów zawsze po ataku odchodził w stronę słońca, dlatego nikt go nie mógł trafić. Potem siadał na lotnisko, gdzie bazowali Amerykanie – wtedy walczyliśmy razem. Amerykanie pili swoje whisky, a on prosił o tylko o mineralną ze "słońcem" Już nie pamiętam szczegółów ani co tam było jeszcze w tej książce, ale potem ten pilot uleciał w stronę słońca po walce powietrznej, ale nie z Amerykanami, oczywiście, a z Niemcami, którzy na nas wtedy napadli.

Uleciał, i więcej nikt go nie widział. Rozpuścił się w tym słońcu ... potem Amerykanie pytali o niego, ale proponowano im tylko stypę... i Amerykanie płakali, dlatego że wtedy walczyliśmy razem, a kiedy twój przyjaciel nie wylądował, to jak tu nie zapłakać?

Dlatego ojciec z przyjaciółmi, często wznoszą toast za to, żeby ilość startów zgadzała się z ilością lądowań. Maja jeszcze inne toasty. I żelazną zasadę. Nie mówią o "ostatnim" locie a o "kolejnym". I oto widzę jak ojciec skręca i odchodzi w stronę ogromnego słonecznego dysku który powoli opada na zachód. I czekam. Czekam bardzo długo, zdaje mi się że czekam wiecznie na ...

I w tym momencie zawsze się budzę.

Kiedy śni mi się ojciec zawsze budzę się w tym miejscu i moja kołdra okazuje się być cała mokra od potu. Normalnie pływam w kałuży potu i dawniej, to jest w dzieciństwie, że to były łzy. Ale to oczywiście nie to, a jakaś fizjologiczna reakcja. Te sny przychodzą do mnie raz w miesiącu i nigdy częściej. Dawniej radziłem się naszego lekarza i on mówił, że to z pewnością reakcja na lunatykowanie. Lekarz mówił, że u kobiet też tak bywa i śmiał się.

To nie tak jak u kobiet. Teraz rozumiem ten żart.

Takie sny mam już dwadzieścia lat i lekarz u nas nowy, a stary już umarł.

Jeszcze mi mówili, że te sny przychodzą dlatego, że w czasie Katakliizmu (lekarz jeszcze nazywa to, co się stało Kataklizmem) podziałał na mnie impuls elektromagnetyczny. Wtedy leczyli moje bóle głowy od skurczu naczyń słabymi prądami i tak jedno nałożyło się na drugie i przemieniło się w moje nocne spotkania z ojcem.

Wszystko byłoby dobrze, ale obudzić się ciężko. I nie przez to, że jestem cały mokry, ale przez to, że sen się kończy. To trzeba przemilczeć, bo i tak patrzą na mnie jak na nienormalnego.

Obróciłem materac mokrą stroną w dół i pościeliłem kołdrę.

Ojciec poleciał do krewnych w Piterze na kilka dni przed Kataklizmem. Miał przylecieć za tydzień i tak już dwadzieścia lat nie ma go ze mną. Chcę myśleć, że on też tam jest, w mieście nad Newą, śpi i widzi dziwne sny, gdzie rozmawiamy i gdzie my razem siedzimy w kabinie jego samolotu.

Matka umarła dziesięć lat temu, ale nie od choroby popromiennej, nie od wszystkich okropieństw, na które chorowaliśmy po Kataklizmie, dokładnie nie wiadomo od czego. Czasami myślę, że ona umarła z niewystarczającego światła.

Znaleźli ją rano odwróconą do ściany z całkowicie spokojnym wyrazem twarzy. Bardzo spokojnym, powiedziałbym.

I ona ani razu mi się nie śniła.

A moje życie szło w podziemiach między „Sokołem” i „Dynamo”. Urodziłem się w Petersburgu, już po tym jak znów stał się Petersburgiem, jednak mieszkałem w tym mieście całkiem niedługo. Rodzice dawno temu przyjechali do Moskwy. Mieszkaliśmy niedaleko Białoruskiej i żyłbym na bogatej hanzeatyckiej stacji, ale los, który zaniósł mnie pod ziemię, posłał mnie dalej. Los posłał mnie dalej, za hanzeatycką barierę.

Tutaj, gdzie na trzech stacjach metra zajmowaliśmy się najważniejszymi rzeczami. Jak mówił naczelnik stacji „Sokół”: „Hodujemy ziarno, rozmnażamy świny i konserwujemy śluz”. On tak mówił – jak prawdziwy naczelnik – podczas świąt. Nasz naczelnik ogłaszał, machając ręką, jak pożegnał poprzednich naczelników i będzie pięknie mówił o przyszłości, jeśli, oczywiście, mamy przyszłość w tym podziemnym świecie. Zauważyłem, że oni wszyscy mówią „świnia”, a nie „świnie”. Z jakiegoś powodu czują się pewniej jeśli słowo świnia uważa się w liczbie pojedynczej. Tak jest im znacznie spokojniej.

Ja też nie lubię świni, świnie zawsze mnie przerażały, ale nie można było od nich nigdzie uciec. Nie pszczoły, żeby w tunelach rozmnożyć.

A naczelnik stacji „Sokół” Butow był silnym gospodarzem. Nikt, oprócz niego, nie utrzymałby w dyscyplinie samowolnych świniarzy, ponurych zbieraczy grzybów i ślimaków i techników takich jak ja. Własność naczelnika „Sokoła” rozciągała się aż do stacji „Dynamo”, gdzie zresztą przy krawiectwie i garbarstwie mieli dość swoich szefów, tylko pomniejszych. A Butow był wielki i szeroki – w obu znaczeniach tych słów. On nawet podniósł jedną ręką bak z wodą. W dzieciństwie wierzyłem, że znaczek na mapach „zabutowano”, w odniesieniu do zawalonych tuneli i zatłoczonych szybów wentylacyjnych, odnosił się do jego rodziny.

Tak poza tym śluz nie był śluzem, a tajemniczą pleśnią, pomagającą w wielu chorobach. Dodatek do diety najpierw wywoływał przerażenie, a potem stał się drogim towarem eksportowym.

Dzień toczył się swoim normalnym cyklem. Tak i na to była jedna nazwa: dzień-noc – doba precz. Przy sztucznym świetle czy dzień, czy noc – wszystko jedno. Wcześniej mówili, że ludzie powinni automatycznie przejść na czterdziestoosmiodzinną dobę. Ale wszystko potoczyło się inaczej.

U nas u tych, którzy pracowali przy plantacji cud-nasion było na odwrót – dwunastogodzinna doba. Mało popracujesz, a potem śpisz w szklarni.

A u świniarzy wszystko zależało od ich podopiecznych: one spały, świniarze chodzili jak zombie, a jak świnie wyspane, to i świniarze radośnie biegają po zagrodzie.

Miałem niewielu znajomych, ale jeden wartu dziesięciu.

Najlepszym był stary kolejarz Władimir Pawłowicz. Z początku wydawał mi się staruszką, ale było spowodowane stosunkiem wieku w młodości, kiedy każdy, kto jest dziesięć lat starszy od ciebie wydaje się być staruszką. Teraz wiem, że rzecz też w tym, że przed Katakлизmem jemu udało się przeżyć jakoś dorosłość, a mi nie. I przez to, jak to zwykle bywa, różnica wieku się pogłębia.

Władimir Pawłowicz chodził w mundurze kolejarzkim. Strasznie podobało mi się to, ponieważ pomylić z kimś Władimira Pawłowicza było niemożliwe. Gdzie znalazł ten mundur, żeby wymienić stary, nie wiadomo.

Wszyscy znali na pamięć historię metra, na niektórych stacjach nawet zmuszano dzieci do nauki, jakby to było prawo boże. Dlatego wszyscy wiedzieli, że z godnością uchwałą Rządu Federacji Rosyjskiej z 3 stycznia 1992 roku nr 4 (niektórzy pamiętają, co było w trzech poprzednich!) metro zostało przekazane na własność miastu Moskwa. Zostało zlikwidowane metrowe Ministerstwo Kolei. To samo stało się z systemami metra w innych miastach, ale teraz nie było nic wiadomo o innych miastach.

I mundur starego wzoru określał, jak kiedyś wyglądało życie.

A Władimir Pawłowicz chodził właśnie w mundurze kolejarza i miał starą czapkę ze skrzyżowanymi młotkami na przedzie.

Kiedyś spytałem go, co to za drugi młotek. Władimir Pawłowicz odpowiedział, że to jest klucz francuski. Czuję się zażenowany i nie pytając więcej poszedłem prosto do biblioteki. Biblioteka była stara i opuszczona. Będąc chłopcem spędzałem tam czas, kiedy było mi źle albo chciałem się schować. Przejrzałem napuchnięte od wilgoci słowniki i okazało się, że po angielsku to *monkey wrench*. O w rzeczywistości nazywał się kiedyś lokomotywowym, a teraz wszyscy nazywają go po prostu kluczem nastawnym. Dodałem słowo małpa. Zabawna nazwa.

Później znalazłem proste wyjaśnienie. Chodziło w nim o to, że Władimirowi Pawłowiczowi gdzieś zachowało się kilka kompletów starego uniformu. Właśnie starego! Może znalazł je w bocznych odgałęzieniach przejść albo w zajezdni ze starymi kitkami i czapkami, ponieważ niemożliwe jest przez tyle czasu zachować wydany komplet.

Jednak nie. Nie wiem, jakie mistyczne rzeczy się tu dzieją: jedna o Srebrnym pociągu.

Jeszcze babcia Toma opowiadała mi, że raz w roku jeździ po metrze Srebrny pociąg i jeśli do niego się wskoczy, to można wyjechać z metra daleko, daleko, do kraju, gdzie jest niebo i żyje się zupełnie inaczej.

Mój stary towarzysz miał jeszcze jedną cechę, raczej dziwną.

Władimir Pawłowicz jakimś cudem upijał się każdego dnia. Pito u nas rzadko, ale dużo i z bójkami. A Władimir Pawłowicz pił cicho i spokojnie, i nikomu tego nie okazywał. Myślę, że on mieszkał na stacjach-faktoriach, ponieważ tutaj była skorygowana produkcja spirytusu. Oczywiście

ten zwyczaj utrudniał jego pijaństwo, ale Władimir Pawłowicz okazał niezwykłą pomysłowość pozostając potajemnie pijakiem.

„Pijany tak inteligentnie, dwa światy w nim” – powiedział kiedyś naczelnik „Sokoła”. Trzeba przyznać – Władimir Pawłowicz ma złote ręce. Nikt nie rzucał mu kłód pod nogi.

Tak, i lubiłem rozmawiać z nim po obiedzie, ale rano i wieczorem nie lubiłem Władimira Pawłowicza.

Ale wolno mi było przeklinać, bo gdy przeżyjesz pół życia z jakimś człowiekiem, szczególnie tutaj, to kropka w kropkę jak w przysiędze małżeńskiej składanej w obcych nam cerkwiach, tylko śmierć może nas rozłączyć.

Czasem wyobrażałem sobie przestrzeń metra: rozdartego konfliktami, zamieszkałego przez okrutnych ludzi gotowych sprzedać się nawzajem za garść nabożów, żeby załadować nimi później magazynek automat i Kałasznikowa i zabić kogoś jeszcze. Kiedy zaczynałem tak myśleć, to cały czas powtarzałem sobie, że posterunkiem granicznym na „Białoruskiej”, żyją ludzie tacy jak ja, z takimi samymi myślami. I kiedy tylko oni kończą się spierać okazuje się, że wszyscy są ulepiani z tej samej gliny: i niektórzy faszyści na „Puszczińskiej”, i rzemieślnicy na „Kuznieckim Moście”, i intelektualiści z Polisa, i anarchiści z „Wojkowskiej”.

- W jakiś sposób płyniemy tą podwodną, a raczej podziemną, łodzią – mówił sam Władimir Pawłowicz o otaczających nas ludziach.

Chciałem stłumić w sobie nienawiść do tych istot ludzkich, dlatego że wiedziałem, że ta nienawiść narodziła się ze strachu. Pewien ksiądz przybyły z podziemnych świątyń pod Jełochowskim, żeby głosić Słowo Boże, powiedział, że dobrze myślałem. I tą nienawiść trzeba zmienić w miłość! Kiwałem głową w takt jego przemówień, ale wiedziałem, że osobiście nie mogę niczego zmienić w miłość. Nie dlatego, że nie nadaję się na materiał do zmian.

Ksiądz szeleszcząc starą sutanną poszedł w kierunku zajętej przez anarchistów „Wojkowskiej”, stacji z trudną historią, i od tej pory nikt go więcej nie widział. Przynajmniej do nas nie wrócił.

Nie wiem co się z nim stało, czy nawrócił kogoś na swoją wiarę, czy pożarły go tunelowe ślimaki. Nikt nie wie. Generalnie „Wojkowska” jest u nas uważana za przeklętą stację. Po pierwsze nazwa. Nazwana została na cześć człowieka, który zabił ostatniego rosyjskiego cara. Albo człowieka, który kazał go zabić, nie pamiętam dokładnie.

Po drugie i najważniejsze – wiele mówiono złego o radiacji. Tunel był tam położony płytko, skażenie jest silne, przez co u nas można wyhodować tyle dziwactw.

Niedaleko na powierzchni był jeszcze instytut lotnictwa i fabryki, w których było pełno dziwnej elektroniki. I chodzą słuchy, że ta wojownicza elektronika połączyła się w jeden umysł nie bez pomocy pozostałych przy życiu inżynierów lotnictwa. Ci inżynierowie ponoć okopali się w swoim bunkrze niedaleko „Wojkowskiej” i bronili się przed wszystkimi, i swoimi, i obcymi, przy pomocy humanoidalnych robotów. Te roboty goniły anarchistów z „Wojkowskiej”, którzy starali się przejąć tam władzę, a tylko ukrywali się w swoich skomplikowanych podziemnych przejściach.

O robotach jednak kłamali. Powodów, żeby wierzyć w humanoidalnych terminatorów, jak rozumiem, nie było. Jednak inżynierowie jako-tacy nie narzekali: na przykład niedaleko nas były gigantyczne kompleksy przyzna naukowo-przemysłowemu stowarzyszeniu „Diament”, które tworzyło kiedyś pociski przeciwlotnicze.

Konflikt zaczął się, jak zwykle, z małej pijackiej bójki. Opiwszy się nasi zaczęli krzyczeć, że artylerzyści nie obronili pokoju i spokojnego snu w kraju, tamci odpowiedzieli bez zastanowienia i w końcu wszyscy ludzie złapali za noże, a potem za splewy.

I w tym momencie (byłem wtedy jeszcze mały i znam to z opowieści) wybuchła nawet mała wojna zakończona kruchym pokojem.

Po tej krótkiej wojnie z artylerzystami wojkowscy anarchiści, a wraz z nimi technicy z klanu lotnictwa, zablokowali tunele i wprowadzili niewielki ruch. Traktat pokojowy zawarto tak, że kontaktowaliśmy się przez kabel elektryczny. To znaczy nie opłacało się walczyć, ale nawet nie mogliśmy kłąć: oprócz kabla, który zasiliał techników, nie było żadnego kontaktu. Wydaje mi się, że przez ostatnie dziesięć lat żaden człowiek z „Sokoła” poszedłszy do inżynierów nie wrócił. I wszystko to, powtarzam, wydarzyło się przed moim przybyciem.

Teraz nikt się nie kontaktuje, chociaż przepuszczaliśmy wszystkich, którzy szli dalej do „Wojkowskiej”. Jednakże duża część służbowych przejść była zamknięta lub zupełnie zawalona.

Mogliśmy się tylko domyślać, co się dzieje za przegrodami. Dzieciom mówili, że mieszkają tam mutanty, które zabiorą je do swojego królestwa, jeśli będą wybrzydzać i jeść mało pożywnych grzybów i wieprzowiny. Wielu zdawało się, że za przegrodami w tych obcych tunelach i schronach zabrali się bardzo mądry ludzie, ale teraz wszystkie próby „Sokoła” zaprzyjaźnienia się z nimi pozostały tylko marzeniem.

Mówiąc krótko, nasze stosunki były oznaczone znakiem drogowym z przekreślonym poziomym okręgiem, który mówił, że dalej przejścia nie ma.

Im dalej, tym bardziej lubiłem chodzić bocznymi korytarzami w stronę ulic przy lotnisku, gdzie jest wyjście do głębokiej piwnicy-schronu. W tej piwnicy dokonywała żywota gigantyczna biblioteka.

Czytałem wszystko: książki kucharskie, na podstawie których nie można już nic przygotować, biografie ludzi, o których wszyscy zapomnieli, podręczniki obcych języków, tych języków, których po Katakliźmie nikt już nie używał.

Władimir Pawłowicz nie aprobował tego zajęcia w takim stopniu, w jakim ja nie aprobowałem jego alkoholowych eksperymentów.

- Wiesz Sasza... - powiedział kiedyś do mnie. – Tak patrzę na ciebie i rozumiem, że jesteś okazem jak dotąd nieznaney nam mutacji. Na pierwszy rzut oka zdrowy dzik. Tak, dzik... - Tu się zaciął, a po chwili kontynuował: - Dzik, powinieneś to już gdzieś przeczytać, to coś podobnego do naszych świń. I tak, jesteś zdrowy facet, a zachowujesz się jak botanik.

- Botanik? I chcę iść ze szklarni?

- Myślałem, że o tym też przeczytałeś. Botanik to taki chudziutki chłopak, który uczy się pilnie w szkole, słucha rodziców i cały czas siedzi w książkach¹.

Dokładnie, przypomniałem sobie to słowo. Widziałem je w książkach, ale jak u nas w szkole nazywali botaników nie pamiętam. Najpierw pamiętałem, a potem zapomniałem.

Jedno jest pewnie – wszyscy byliśmy trochę botanikami z uwagi na to, że nosiliśmy okulary chroniące przed jaskrawym światłem.

Nasze oczy dawno przyzwyczały się do podziemi, gdzie światła nie tyle nie było, co było tak rzadkie jak czysta woda: faktycznie niby jest, ale znaleźć dobre źródło, podziemny strumień, poprowadzić od niego rurę, zapewnić odpływ... Dobrego hydraulika można wymienić na dziesięciu snajperów.

Już dawno zrozumiałem, że hierarchia specjalistów ciągle się zmienia: to w cenie byli żołnierze, obrońcy i górnicy, to technicy i budowlańcy.

Katakliźm nie tylko nami wstrząsnął, nawet nie cofnął społeczeństwa, on nie poprowadził nas starą drogą, ale gdzieś w bok. Zresztą, czasem mogą się przydać dziwne nawyki. Ja, na przykład, w dzieciństwie dobrze strzelałem z procy. A dziesięć lat temu zaczęła się masowa paranoja/psychoza – zawody w strzelaniu z procy na pieniądze. I nie tylko udawało mi się być na liście zwycięzców, ale nawet nieźle na tym zarabiałem.

Jednak kiedy proponowali mi, żebym polował tym sposobem na szczury, odmówiłem. To nie moja praca. Do szczurów czułem jakiś szacunek. Szczury to bardzo mądre stworzenia, choć mówią o nich wiele głupot. Mają świetną koordynację i poczucie przestrzeni. Ze szczurem można się zaprzyjaźnić i, lekko stukając w ścianę, przyzwać go z podziemi. To dlatego, że szczury mają dobry słuch i są wrażliwe na wibracje.

Ale, prawdopodobnie, przenoszę swój szacunek do jednego szczura na wszystkie pozostałe, ale o tym później.

Z Władimirem Pawłowiczem spędziliśmy już wiele lat na dyskusjach. No i dziś prowadził wózki do szklarni i usiedliśmy z nim przy skromnym stole obiadowym. Władimir Pawłowicz od razu pociągnął z faszki i zaczęliśmy rozmawiać, jak zwykle o sensie życia.

„Sens życia” – nazywałem to tak chociaż tematy były u nas bardzo dziwne.

Teraz Władimir Pawłowicz spojrzał mi w oczy:

- Ty tego dobrze nie pamiętasz z młodości, a ja ci opowiem. Zaraz po Katakliźmie wielu spośród ludzi, którzy przetrwali byli w euforii. Dla nich to było wyzwolenie. Przecież wcześniej oni męczyli się, krzątali, obawiali. W ich życiu było szefostwo, rodziny, w których często nie było żadnego szczęścia, ale za to było wyobrażenie, że wszyscy oni są nieudacznikami. Za mało zarabiali, nie mieli

¹ Po polsku powinno być kujon, ale to gubi grę słów (przypisy pochodzą od tłumacza)

zrobionego remontu, skończonych domów... I nagle bum! Wszystko przepadło. Oczywiście, życie już nie było lukrowane i stało się bardziej bolesne, ale ci, którzy byli naprawdę chorzy, szybko umarli.

A ci, którzy weszli w ten stan, czuli się bardzo komfortowo. To była druga szansa dla nieudaczników i, co najważniejsze, nie było niewolniczych biur. W końcu wiele osób zajmowało się nie swoją pracą: ludzie zdzierali spodnie w biurach niecierpliwie oczekując piątku, żeby radośnie się napić, pić całą sobotę i niedzielę, słuchać narzekać nielubianych żon lub mężów, z przerażeniem myśleć o tym, że dzieci są nieposłuszne, wpadły w złe towarzystwo, pamiętać, że lata mijają, a nic się nie zrobiło. Z zazdrością dowiadywać się, że współpracownicy wzbogacili się, wyjechali za granicę i ogólnie mówiąc lepiej im się powodzi niż tobie. Duchowe cierpienie zawsze jest cięższe od fizycznego: do fizycznego przywykasz lub umierasz w zależności od jego ciężkości. A potem, po Katakliźmie, z dnia na dzień sukces stawał się coraz bardziej wyczuwalny. Sukcesem jest to, że żyjesz, że dostajesz udziały ze szklarni lub korzystnie handlujesz z hanzeatyckimi stacjami.

To jest nowe średniowiecze, o którym tak długo mówili. Ty o tym nie wiesz, ale uwierz, że mówili. I jest to zdecydowanie prostsza cywilizacja, niż była. Jest w niej takie same powiązanie szef – podwładny, ale teraz jest to gospodarz – robotnik. Marksizm. Nie masz pojęcia, co to marksizm, ale uwierz, moje pokolenie się na nim wychowało... Tak więc, marksizm znów stał się obecny, a świat zrozumiał. To oni, to my. To jest jedzenie, to jest obranie.

- Ale tak nie da się długo żyć. I czytałem o marksizmie.
- Dlaczego nie da się? Zresztą, co znaczy „długo”? Czym dla nas jest „długo”?
- Jeśli mówisz o marksizmie, to ilość powinna zmienić się w jakość.
- To nie marksizm. Nieuważnie czytałeś. Zmiana ilości w jakość to Hegel, dialektyka...
- No dobrze. Hegel. Ale coś powinno się zmienić.
- To oczywiste, że powinno zmienić się wyjście na powierzchnię.
- Albo zjedzą nas jakieś potwory.

- A zastanów się, czemu potwory nas jedzą? Co w nas jest? Co takiego porobiło się w ludziach, że przetrwali w metrze? Mają odzyskać metro? Ale jeśli rozumne mutanty, no i nierozumne, żyły dwadzieścia lat u siebie, nawet w przypadku mutacji delta, jaki mają powód zejścia pod ziemię? Mogę zasugerować, że najmądrzejsze z nich szukają kontaktu z nami. Może chcą z nami współistnieć.

- Zawsze możemy sugerować najbardziej fantastyczne opcje. Na przykład, że najmądrzejsze traktują nas jak przysmak. Urządzą farmy, będą nas rozmnażać, jak świnie...

Potem dyskutowaliśmy na temat pogłosek o Instytucie Kurczatowskim. Tam, obok stacji „Październikowe Pole”, było całe miasto, przy czym z jednej strony łączy się ze schronami i podziemiami Głównego Zarządu Wywiadowczego przy Szosie Choroszowskiej, a z drugiej z Instytutem Kurczatowskim.

Mówili, że na dalekich rubieżach była strzelanina i ktoś widocznie chciał się do nas przedrzeć.

- Ty na pewno wiesz, od kiedy jest u nas możliwość wyhodowania cud-ziarna? – spytał mnie ktoś.

Ogólnie to wszyscy to wiedzieli, tylko nikt o tym nie mówił. Ta energia elektryczna, która całodobowo oświetla nasze plantacje, była wytworem tej samej siły, która zagnała nas pod ziemię.

Pochodziła z ponownie uruchomionych reaktorów Instytutu Kurczatowskiego i na naszych stacjach jej nie brakuje.

A ponieważ czasu było dużo, to przyzwyczajam się do czytania właśnie w tym darmowym świetle.

W Instytucie Kurczatowskim działały dwa reaktory i z żyjącymi tam ludźmi utrzymywano specjalne porozumienie. Wiadomo, że nie nabojami się z nimi rozliczaliśmy, istniał złożony system współpożyczek.

Chodzą słuchy, że niedaleko Moskwy znajdują się gigantyczne składy oleju napędowego, do których nikt się nie dostał w ciągu pierwszych pięciu lat po Katakliźmie. A potem okazało się, że się zepsuł. Próbowali go wzbogacać i filtrować, ale nic z tego nie wychodziło. Energia agregatów diesla okazała się być drogą rzeczą, z paliwem coś kombinowali, ale moim zdaniem niezbyt im wyszło.

Paliwo rozłożyło się na frakcje, wytrącił się osad, jakaś smoła, zatykały się cienkie rurki w silniku, ogólnie mówiąc, ciągle powstawały jakieś problemy z tymi zapasami paliwa. Ktoś mi mówił, że taniej zbudować rafinerię, ale do tego trzeba by wszyscy Moskwianie się pogodzili, a chęci do zakończenia konfliktów nie miał nikt. Też coś, rafinerii mu się zachciało...

Mówili, że mityczni Baumańcy, mieszkańcy inżynierskich podziemi na północnym wschodzie, wymyślili jakąś technologię ożywiania nie tylko diesla, ale i benzyny, która doszczętnie straciła swoje

właściwości! Ale gdzie ci Baumańcy? Jacy specjaliści ocaleli z wielkich instytutów w dzielnicy „Baumańska”, nikt dokładnie nie wiedział. Czy istnieją naprawdę? Nie wiadomo.

Nic nie było wiadomo.

Ale, mimo braku pewności, już dawno przestał mnie zadziwiać ten świat, który zmieniał się z kilometra na kilometr i w końcu ostatecznie uformował się na nowej stacji w świat, czasem pozornie podobny, ale całkowicie inny. Na przykład mogę łatwo odróżnić po zapachu „Dynamo” od „Aeroportu”, nie mówiąc już o „Sokole” z jego wielkimi, rozległymi i zadziwiającymi fermami zwierząt.

Czyści mieszkańcy „Dynamy”, żołnierze krawieckiego frontu, żyli zupełnie inaczej aniżeli świniarze z „Sokoła”. I sprawa też nie w tym, że „Dynamo” było budowane metodą głębinową, a „Aeroport” metodą odkrywkową, sprawa nie w rozmiarach podziemnych miast, które oczywiście nie ograniczały się torowiskami i stacjami, a ciągnęły się daleko od siebie, wzdłuż podziemnych rzek, położonych w kolektorach, w opuszczonych przejściach, czasem kończących się jaskiniami krasowymi, a czasem porzuconymi przez ludzi bunkrami i schronami bombowymi. Sprawa była w stylu życia, który zależy czasem dość przypadkowymi czynnikami.

Styl życia był związany z tym, jacy ludzie znaleźli się przypadkowo na stacji dwadzieścia lat temu i z tym, jaką drogą poszli w tym czasie.

I jeśli wszystko było u nas tak niezwykłe, to można było tylko przedstawiać, jak dziwacznymi podziemni ludzie są za granicami naszego obwodu. U nas pokój i ład, jesteśmy wszystkim potrzebni. Jesteśmy koszem metra i jego spichlerzem, a tam wilcze wycie, zgrzyt zębów i koszt życia liczony nie w godzinach, a w nabojach.

Tam jest wojna, a my mamy wieprzowinę, no i jeszcze zboża. Mamy szczury wielkości arbuza. U nas nawet arbuzy rosną, tylko z jakiegoś powodu białe w środku, ale słodkie jak cukier.

Ale arbuzy są takimi drogimi zabawkami.

Władimir Pawłowicz powiedział kiedyś, że żyjemy jak Dania w czasie przedostatniej wojny. Tylko okupowana Dania karmiła Niemców i nikt Duńczyków się nie czepiał. No pewnie, pożyjesz i zastrzelisz karmiciela, i skąd będziesz brał masło i chleb. Jakoś tak wychodziło też z nami. Czas nam płynął, jak masło w systemach grzewczych.

Ja już od dawna jestem specem od urządzeń niskoprądowych. W sumie naprawiłem sprzęt od hydroponiki, naprawiałem bioreaktory, dużo robiłem, ponieważ nie bałem się elektryczności.

Kobieta, która opiekowała się gospodarstwami i warunkami do życia, dobra baba Toma, lubiła mnie i ścierpiała nawet wizyty Władimira Pawłowicza z jego flaszkami i butelkami. Domyśliłem się, że ona chce widzieć we mnie syna, tylko że nie byłem podobny do jej chłopca, który zginął w konflikcie gdzieś na południowych stacjach metra. Z zewnątrz baba Toma przypominała klasyczną rosyjską babcię, ale wiedziałem, że dźwiga na ramionach ciężki los. Kiedyś powiedziałem jej nazwisko w Polis przywódcy reżimu i wprawiłem rozmówcę w osłupienie. „Sama Raszydowa? Raszydowa?!” – mamrotał, chociaż szczegółów i tak się nie dowiedziałem. Znajdywała się w jakichś dziwnych instytucjach do Katakliizmu i oczywiście nie na zwyczajnych stanowiskach.

Miała bardzo dobry wzrok w stosunku do ludzi, czasem bezwzględny, a czasem, jak w moim przypadku, łagodny. Powiedziałbym, że dobry, chociaż słowo to jest idiotyczne i niczego nie wyjaśnia.

Jakieś dziesięć lat temu na fermie zwierząt wpadłem pod chwytak wciągarki, który rozpruł mi nogę. Winowajcą oczywiście byłem ja: nie sprawdziłem sprzętu, włączyłem silnik elektryczny i zacząłem podnosić ponadgabarytowy ładunek. Ale lina pękła, zęby się rozłożyły i stukilogramowy fragment hartowanej stali zwałił się prosto na mnie. Wpadłem do zagrody ze świniami i podczas gdy leżałem nieprzytomny, one pogryzły mi nogę. Po tym przeleżałem w łóżku dwa miesiące, a baba Toma dosłownie utuczyła mnie.

Z tego powodu była w rzeczywistości zamiast prawdziwej babci – nie matki, ale właśnie babci.

Tak właściwie, to można powiedzieć, że dziadka też miałem – starego Koreańczyka Kima, który przyszedł dawno temu z „Timiriazewskiej”. Kim uczył mnie koreańskiej gimnastyki. Najpierw myśleliśmy, że władą specjalną sztuką walki i może nauczyć zabicia człowieka gołymi rękami.

Okazało się, że on w rzeczywistości zna się na gimnastyce, ale całkowicie pokojowej. Wtedy zainteresowanie nim zniknęło, wszyscy się rozeszli uczyć czegoś bardziej zabójczego i zostałem jedynym uczniem. Pod opieką Kima w opuszczonym przejściu między tunelami stworzyłem siłownię i

podnosiłem tam szynę zamiast sztangi. To mi się niesamowicie podobało, dlatego że to było nawet przyjemniejsze niż czytanie, można było nie myśleć o niczym, z wyjątkiem swojego oddechu.

Kiedy przybyłem na „Sokół”, to stwierdziłem, że nasze świnioluby chodzą w jakimś dziwnym transie. Poszedłem do szatni pod schodami zacząłem pić herbatę ze świniarzami. Okazało się, że oni też coś słyszeli o strzelaninie na dalekim podejściu do „Sokoła” i oczekiwali napadu.

Świniarze mnie zadziwiali. Z jednej strony, bardzo lubiłem ludzi, którzy znajdowali się na swoim miejscu i zajmowali się ważnymi i potrzebnymi sprawami. Z drugiej strony, byłem dla nich obcym i wszyscy to odczuwali – i ja, i oni. Byłem z „czystych”, ale musiałem się męczyć, przecież bez prądu oni nie mogliby żyć. Ponieważ jedliśmy i piliśmy razem, śmiałem się z ich prymitywnych żartów, czasem sam opowiadałem coś śmiesznego, ale wszyscy odnosili się do siebie z niechęcią.

I to do takiego stopnia niechętnie, że oni bez wahania nakarmiliby mną świnie. Jeśli świniom wyszłoby to na korzyść. Ale widocznie świnie ich o to nie prosiły, a świniarze jeszcze nie zdecydowali, czy będą dla nich korzyścią.

Władimir Pawłowicz świniarzami szczerze gardził i wcale nie przez zapach gardził. Chociaż delikatny, ale całkiem wyczuwalny zapach amoniaku był obecny na fermie zwierząt, ale nie on obrzydzał Władimira Pawłowicza.

- Szczerze mówiąc – wyjaśnił – ja się tych świni boję. I ludzi, którzy się nimi zajmują też się boję. Nasze świnie są naprawdę bardzo podobne do ludzi. Człowiek zresztą jest mniejszym czyściochem. I fizjologia świni jest bardzo podobna do ludzkiej, budowa serca kropka w kropkę jak człowieka, choroby u nas takie same. Gówno też śmierdzi tak samo. Ale, widzisz, świnia jest jeszcze zwierzęciem społecznym. Dzieci, kiedy dorosną, nie opuszczają rodziny, ale jeśli coś jest nie tak – zeżrą... Matriarchat jeszcze...

- A matriarchat co ma z tym wspólnego?

- Nie wiem. Coś. Źle się czuję przy świniarzach, dlatego że nie mogę czasem odróżnić podopiecznych od opiekunów.

Potem przyszli do nas zmiennicy i przekazali, że żadnej napaści nie będzie, za to ze strony „Wojkowskiej” przyjedzie do nas poselstwo w dreźnie zaprzężonej w psy-mutanty.

- Psy tam mówią – zauważył narrator, jak coś rozumiane samo przez się.

Twierdził, że nie może tam być żadnych psów, a czy nie mogli przyjechać na humanoidalnych robotach? W rezultacie wszyscy zaczęli zgadzać się z tym, że chyba nie poselstwo przyjechało na robotach, tylko sami są robotami. To znaczy, że przysłali nam połączone humanoidalne roboty.

Z irytacji niemal splunąłem. Nie kłóć się z nimi! Diabeł jeden rozumie tych inżynierów lotniczych. Mówią, że oni broniąc się przed mutantami próbowali poprzez pęknięcie przeniknąć do tunelu, zabrali z doświadczalnego stanowiska biura projektowania „MiG”, które było niedaleko, silnik odrzutowy od myśliwca, zamontowali go w tunelu dyszą na zewnątrz i spalili całe dziadostwo.

Później okazało się, że nie humanoidalne, ale jednak roboty, że nie z poselstwem, a tak, z jakąś informacją... Ale nie mogliśmy wtedy niczego zrozumieć. Chociaż to, że lotnicy chcą pogodzić się z nami, było samo z siebie nowiną. Prawda, nowiną wykorzystaną – każdego roku wszyscy mieli nadzieję, że przyjdą się pogodzić i za każdym razem okazywało się, że nikt do nas nie przyszedł.

Poszedłem sprawdzić automatyczne karmniki – była w nich przerwa i w dalszych rzędach nie działał automatyczny podajnik karmy. Kiedy wróciłem, to spotkałem świniarzy zebranych na peronie.

Wszyscy oczekiwali gości...

I oto pojawili się... Do „Sokoła” przyjechała dreznina z trzema nieznanymi. Poza tym jeden leżał pomiędzy skrzyniami. Położył go serią nasz czujny ochroniarz. Myślałem, że ochroniarz otrzyma wdzięczność, ale niemal go nie rozstrzelali.

Okazało się, że nieznanymi przybyli przez kanały D-6, tajnego metra, prosto od Instytutu Kurczatowskiego i podawali wszystkie określone sygnały.

Sygnały rzeczywiście były. Pamiętam, że kiedy chodziłem na posterunek na „Sokole”, odczytywali mi spis umówionych sygnałów, które mogą podać ludzie z tej strony. Ale przez dziesięć lat nikt żadnych gości stamtąd nie widział i wszyscy zapomnieli, jak wyglądają małe ogniki lamp i jak brzmią ustalone słowa.

I tak ochroniarz ze strach dał serię z automatu, łamiąc od razu kilka punktów Ustawy służby wartowniczej. A teraz przed nami pojawiła się dreznina z dwoma gośćmi i jednym półtrupem.

Siwy człowiek leżał na żelaznej podłodze i jęczał z zamkniętymi oczami. Kiedy odesłali go do lazaretu, zwróciłem uwagę, jak mimowolnie drga jego noga, pełźnie po metalu obcasem i nijak nie może się uspokoić.

- Nie długo – potwierdził moje domysły Władimir Pawłowicz. – Do jutra nie dotrwa.

No i tak było.

Kilka razy przechodziłem koło biura, w którym zamknięto przybyłych i rozmawiali z naczelnikiem stacji.

Potem na naszych oczach z wózków wyładowali dwie dziesiątki skrzyń. W jednych bezbłędnie odgadłem skrzynki z amunicją, przy czym było widać, że to nie są stare zapasy, a zupełnie dopiero co zrolowane maślaki. Nie pamiętam już, kto nauczył mnie słowa „maślaki”, ale ono mi, człowiekowi pokojowemu, bardzo podobało się.

Rozmowy trwały do wieczora, a następnego dnia zdarzyło się najdziwniejsze.

Wezwali mnie do biura całkowicie z innego powodu: coś niezrozumiałego stało się z maszyną konserwującą, zbiorniki przeciekały. My tu nie zawiniłiśmy – problem był z uszkodzoną blachą, którą otrzymaliśmy od Hany. Oczekiwałem swojej kolei, siedząc na taborecie na korytarzu, kiedy nagle z pokoju wyszli wszyscy trzej – nasz naczelnik, łysy człowiek w dużych, zakrywających twarz okularach i niewysoki azjata.

- To wszystko jest bezsensowne! – powiedział okularnik, przy czym było widać, że chociaż mówi spokojnie, to ledwo się powstrzymuje. – Mieliśmy pilota, a teraz nie mamy pilota. Możecie nam znaleźć pilota?

Naczelnik coś mruknął. Pierwszy raz widziałem naczelnika „Sokoła” w takim stanie.

Bywało, że wzywał do siebie i karcił nierozważnego robotnika, a tu jakiś nikomu nie znany typ obojętnym tonem, ale we wściekłości beształ naczelnika:

- Na Linii okrężnej będziecie pilota szukać przez rok, a my przerzucimy wasz przełącznik w miesiąc. Nie, nie możecie urodzić pilota, ja rozumiem. To skąd go się weźmie?

I wtedy zrobiłem coś, czemu sam się potem dziwiłem.

Oczywiście!

Jeśli widziałbym z boku, jak zrobiłby Władimir Pawłowicz, to nie zdziwiłbym się, a zwyczajnie pomyślał, że dzień już przewinął się od obiadu do kolacji i on jest do reszty pijany. Ale Władimir Pawłowicz, jakby nie był pijany, nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Już prędzej sklepienie metra runęło by na nas.

Albo widziałem kobiety z „Dynamy”, na które raz w roku spada jakaś tęsknota i robiły naprawdę dziwne rzeczy. Jedna przyszyła swoją rękę do świńskiej skóry maszyną do szycia. Kiedy ją nieśli nasi sanitariusze, to ona błogo uśmiechała się. I ten uśmiech był jednym z najstraszniejszych obrazów, jakie widziałem.

Czasem byliśmy świadkami tego, jak ludzie tracili rozum, zwłaszcza w pierwszych trzech-czterech latach przebywania pod ziemią.

Ale tu głównym bohaterem byłem ja. Jakieś widmo prowadziło mnie i, jak przykryty ciężkim, gumowym płaszczem od kombinezonu ochronnego, uwalniając się i biorąc wdech pełną piersią, wstałem.

Wstałem ze swojego stołka i powiedziałem:

- Ja jestem pilotem.

Wyraźnie pamiętam, że powiedziałem to niezbyt głośno, ale cisza, która wtedy nastąpiła, nagle boleśnie uderzyła mnie w uszy. Naczelnik stacji spoglądał na mnie, jakby nie do końca rozumiał, co się stało. Pierwszy raz w życiu zadziwiłem Butowa – i zapamiętam to na zawsze. To stałoby się najważniejszym wydarzeniem mojego życia, opowiadaliby o mnie legendy, ale następne wydarzenia były o wiele bardziej strasne.

Łysy okularnik wbił we mnie wzrok.

Miał bardzo złe spojrzenie. Jakiś taki oceniający. Tak świniarze patrzyli na nasze elitarne świnię, przez wsadzeniem im elektrody w serce – z miłością i okrucieństwem, zespolonymi razem.

- Ile. Macie. Godzin. Lotu? – wyrzucił w kilku podejściach okularnik.

- Dziesięć – odpowiedziałem.

Jego twarz nabrzmiała, mięśnie jakoś rozpląły się i zjechały w dół, jak rozplywa się parafina w cieple. Wiadomo, że „dziesięć” nie spodobało mu się. Jeszcze mniej by mu się spodobało, gdyby dowiedział się, że godzin samodzielnego lotu nie mam żadnych. Nie miałem samodzielnego lotu i nie

mogłem mieć z powodu wieku, ale wiek po dwudziestu latach życia w metrze został u nas wszystkich wymazany

Jednakże zrozumiałem, że w świecie coś się ruszyło. Stało się coś, co nieodwracalnie zmieniło moje życie.

- Szybowce? Lotnie?

- Nie – odpowiedziałem. – Jak-18T. Szkoleniowy.

Okularnik nagle pochylił głowę w bok i, niemal kładąc ją na ramieniu, zaczął patrzeć na mnie jakby z pozycji leżącej.

- Gdzie jest dźwignia startu? – spytał szybko.

- Przycisk. Nie dźwignia, a guzik. Przycisk uruchomienia silnika jest czerwony, z lewej na panelu.

- Co jest z prawej?

- Z prawej od niego jest ciśnieniomierz.

Zdjął okulary i zaczął je przecierać. Jego towarzysz był cichy, nasz naczelnik stacji też. Butow patrzył na mnie jak na człowieka, który na jego oczach zdjął buta, wsadził duży palec u nogi w osłonę spustową i wsadził sobie lufę pistoletu do ust. Pięć lat temu widziałem taką scenę, ale wtedy wszyscy rzucili się na samobójcę i wyrwali mu broń z rąk. Tutaj nikt nic nie mówił i pauza wszystkim się przeciągała i przeciągała.

Okularnik, nareszcie, wytarł szkła i, założywszy je, rzucił:

- Biorę go. I jeszcze jednego, którego wskaże. Ale nie za grubego – ostatecznie powiedział, zwracając się już do mnie i dodał: - Mirzo, idź za nim i niech przyniesie bagaże nam do kabiny pilota.

Azjata, okazuje się, zareagował na nieznane słowo „Mirzo”. Podczas gdy szedłem razem z nim, to przez pół drogi zastanawiałem się, imię to czy nazwisko. Miałem znajomego brygadzystę świniarzy, z narodowości Ujgura, ale on miał zwyczajne imię Roman. A tu jest Mirzo.

Jak nazywali jego naczelnika, ja i tak nie dowiedziałem się i dla siebie nazwałem go Matematyk. Matematyk był podobny do mojego nauczyciela w szkole i można powiedzieć, że nie lubiłem tego szkolnego despoty – znaczy niczego nie można powiedzieć.

Jednakże Władimir Pawłowicz gdzieś poszedł. Czekałem na niego, czekałem, ale, koniec końców, przeniósłem swój worek w inne miejsce. Goście zatrzymali się u nas w całkowicie złodziejskim kącie – w specjalnym miejscu dla VIP-ów. Mieli swoją toaletę i stolik na środku pokoju – nie domowej roboty, a prawdziwy antykwarski stolik jeszcze ze stalinowskich czasów, mocny, wytrzymały, na którym stało kilka puszek tuszonki i leżał bochenek świeżego chleba. Nie żebym głodował, ale stało się dla mnie jasne, że z tego przepychu można korzystać bez ograniczeń, poza racjami i dystrybucją. Tak w starych powieściach na stół stawiali wagę z owocami.

Przydzielono mi koję i rozciągnąłem się na niej, wpatrując się w deski drugiego piętra. Wewnątrz wszystko drżało – dokonałem swój wybór, a już zły czy dobry, zobaczymy później. To ludzie z Kurczatnika, oni przyszli, żeby lecieć gdzieś. Niedaleko od nas są ruiny Akademii wojsk powietrznych, na pewno oni chcą tam coś znaleźć. A może, oni nie chcą lecieć, a po prostu zabrać jakiś sprzęt. A nasi zabili ich specą i jestem zamiast niego? Nie, nie tak – prędzej poszukiwaliby inżyniera, jeśli muszą znaleźć jakiś sprzęt. Albo najęliby kogoś. Nie, oni oczywiście muszą gdzieś polecieć.

Następnego dnia poszedłem za Władimirem Pawłowiczem. Wysłuchawszy mnie pomilczał z minutę. Przysięgam, liczyłem sobie sekundy jego milczenia i te sekundy lekko długie, jak stary smar ze składu kolejowego... A potem kiwnął.

Zebrał się znacznie szybciej ode mnie i ponownie pod eskortą Mirza poszliśmy do apartamentów przybyszy.

Najważniejsza rozmowa musiała odbyć się teraz, chociaż rozumiałem, że to czysta formalność. Zgodziłem się dawno i co by tam nie było, mowa była tylko o miejscu przeznaczenia.

I rzeczywiście, Matematyk stanął ze swoim towarzyszem przed nami i zaczął tak, jak zwykle zaczynał swoje publiczne przemówienie na Nowy rok naczelnik stacji „Sokół”.

- Pozdrawiam was – przemówił Matematyk. – Cieszę się serdecznie.

Ostatnie słowa, według mnie, były całkowicie idiotyczne, wisały na końcu frazy jak niepotrzebny ciężar.

- Jestem przywódcą ekspedycji – kontynuował Matematyk – która ma pokonać około siedemset kilometrów i ma dotrzeć w celach badawczych do miasta Petersburga.

„Ciekawe – pomyślałem sobie – z żoną rozmawia? Moja droga, jestem zmuszony przez okoliczności i upoważniony zaparzyć herbatę, a także dokonać zakupu porcji świńskiego białka w dopełnieniu do racji żywnościowej... Czy jak tam u nich z racjami?”

Stop. Petersburga... Czyli trzeba dotrzeć do Pitera, do miasta, w którym przepadł mój ojciec! Do miasta, które czasem mi się śniło, gdzie plac z ogrodem, kamień z jeźdźcem, no i okrągła kopuła... Teraz już, tak sądzę, nie ma kopuły, z pewnością już nie zostało z niej nic, ale wszystko pozostałe... Do miasta, gdzie ja, koniec końców, urodziłem się.

Myśli poplątały się, jak druty pod stoiskiem ze świńską karmą. Przez tę plątaninę iskrzących przewodów spędziłem jakoś kilka godzin z głodnymi świniami i mnie prawie te stworzenia nie zjadły. A przez plątaninę we własnej głowie opuściłem jeden moment z przemowy Matematyka. Okazało się, w jego głowie coś powstawało, jakby ktoś przestawił przełącznik i wewnątrz Matematyka zadziałał adapter. Matematyk stał przed nami i niespodziewanie zaczął skrzypieć, jak jakaś pozytywka. Nieludzki miał głos w tym momencie, taki nienaturalny:

- Jestem upoważniony zagwarantować wam materialne wynagrodzenie po wypełnieniu zadania. Będzie wam przyznane obywatelstwo jednej z najbezpieczniejszych stacji. Wasz trud będzie owocny i dobrze opłacony, a w ramach najwyższego aktu zaufania otrzymacie broń osobistą. Jeśli będziecie bezwarunkowo i niezwłocznie wykonywać nasze rozkazy, jeśli będziecie trzymać wszystko w ścisłej tajemnicy, czeka was zasłużona nagroda. Jeśli złamiecie naszą umowę, to czeka was surowa kara zależna od warunków polowych.

Cholera! Już gdzieś to czytałem, a może czytałem. Stał przed nami jak wrogi oficer przed więźniami, skłaniając ich do zdrady. Albo jak pirat przed więźniami.

- Zgadzą się - szybko odparł Władimir Pawłowicz.

Matematyk spojrzał mu w twarz swoim drapieżnym wzrokiem, ale Władimir Pawłowicz był niewzruszony i tylko oblał przybysza swoimi śmierzącymi wyziewami alkoholowymi.

Matematyk skrzywił się i cofnął o krok, ale, trzeba oddać mu hołd, niczego nie powiedział. Nie każdy może znieść ten zapach, całkiem nie każdy.

Potem Matematyk przeniósł spojrzenie na mnie. Ze mną jego rozmowa była krótka: po pierwsze, sam zgłosiłem się na ochotnika, a po drugie, beze mnie nie mógł niczego zrobić.

- Zgadzą się - odpowiedziałem od niechcenia.

Oczywiście dali nam uzbrojenie. Dwa nowiuteńkie automaty w smarowaniu fabrycznym, ale z jakiegoś powodu bez numerów. Nie, numery nie były spiłowane, ich zwyczajnie nie było. Ich nikt nie naniósł na stal przed oksydowaniem².

I to mnie od razu przestraszyło. To znaczy, ogólnie rzecz biorąc, niepokoiło mnie wszystko, ale taka broń oznaczała, że Matematyk nie jest przypadkowym awanturnikiem, a członkiem jakiegoś gangu.

Nasze władze były specjalnie uzbrojone. Matematyk w ogromny pistolet automatyczny, a Mirzo pokazały się zaraz dwie lufy, automat i karabin snajperski.

Mirzo, jak zrozumiałem, był kimś w rodzaju adiutanta przy Matematyku. Adiutanta i jednocześnie ochroniarza.

Następnego dnia zacząłem rozbierać karabin, starannie wymieniając smar.

Mirzo siedział obok i czyścił swój automat.

- A zabiłeś kiedykolwiek? – spytał nagle.

- Nie – z czystym sumieniem odpowiedziałem.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem, jak na człowieka, który nagle przyznał, że nie ma nóg.

To wszystko bzdury. Widziałem wielu ludzi opowiadających o swoich krwawych wyczynach tak, jakby wyłożyli trupami całe przejście z „Puszczińskiej” do „Barykadnej”. Jedni z takich przyszedł kiedyś do naszych świniarzy. Nie wierzyłem w jego głupie historie i myślałem, że on podnosi swoją wartość.

Kiedy nasze medium powiedział, że on nie kłamie, nie przestałem mieć wątpliwości, bo jeśli przez kilka lat powtarzać jedną i tą samą, to sami w nią uwierzysz. Będziesz gawędził o poprzednich wyczynach jak papuga, a za rok-dwa żadne medium nie zliczy wymyślonych żyć z przeszłości.

Ale później przyszli ludzie z okrężnej i mówili, że wszystko jest prawdą. Strzelał i zabijał – ręce po łokcie we krwi i tym podobnym.

² Oksydowanie – proces pokrywania metalu cienką warstwą jego tlenków przeciw korozji i dla ozdoby

Byłem bardzo zdziwiony, on był tak podobny do nieodpowiedzialnego, głupiego gaduły. Jego dawno postanowili pokroić świniom, tylko że „swoim” nikt go nie nazwał, świniarze nimi gardzili. No i niczego wartościowego w nim nie było.

Głupi gość.

I żaden zabójca.

Starannie nasmarowałem broń, wytarłem ręce i pomyślałem, że nikt, oprócz ludzi, nigdy nie wzbudził we mnie nienawiści. Lubiłem podziemne bestie, może dlatego, że nie widziałem prawdziwych mutantów. Nie, mutantów bałem się, ale to były dziecięce lęki. Tak jak boisz się złego Babaja³, kiedy matka straszy cię nim, żebyście z kolegami nie wybiegali z podwórka lub jak dzieci boją się ciemności.

Lubiłem także domowego szczura jednej dziewczynki z sąsiedniej stacji. Szczur ten wychodził z ciemności na dźwięk puknięcia. Był z lekka zmutowany, ale mutacja wyszła mu na korzyść. W tym sensie, że w rozum. Niczego krwiożerczego w tym szczurze nie było, chociaż w warsztatach tkackich na „Dynamo” twierdzili, że osobiście odgryzł jakiejś tkacze palca. Niczego stwierdzić nie mogę, aczkolwiek tkaczy zawsze mają dosyć.

Podejrzewam, że krawiecko-tkacki lud, daj im wolę, obgryzłby sobie nie tylko palce, ale i głowy.

Tak więc, ten szczur był niezwykle mądry i, jak mi się zdaje, mógł zrozumieć ludzką mowę. Obawiałem się go, tego mądrego szczura, choć sprawa była właściwie w tym, że podobała mi się jego właścicielka. A kłócisz się z tym oto „pieszczoszkiem”, to i właścicielka nie jest dla ciebie życzliwa.

Zupełnie nie życzliwa.

Ale ten szczur, jak się okazało, skądś wiedział, że omówiłem polowania na jego krewnych i był dla mnie łaskawy.

Jednym słowem, najniebezpieczniejszymi stworzeniami okazywali się dla mnie ludzie. „Na cmentarzu i w lesie najstraszniejszym zwierzem jest człowiek” – jak zawsze powtarza mi naczelnik stacji „Sokół”, kiedy patrole graniczne skarżyły się mu na niewidzialne potwory. Ale tylko lasów, niezliczonych studzienek zarośniętych jakimś nie wymagającym światła łykiem, nie widzieliśmy już dwadzieścia lat, a cmentarzy widzieliśmy jeszcze mniej – pod ziemią miejsca na cmentarz nie było. Umieszczą cię w bioreaktorze albo zeżrą świnię i dokona się naturalny cykl białek.

Mówią, że kiedyś ludzie próbowali kremować i chować prochy, ale jakoś z latami populacja w metrze stała się bardziej cyniczna.

Tak przygotowywaliśmy się do drogi.

Kilka razy, nie rozstając się, poszliśmy za wszystkimi skrzyniami, które przywieźli nasi gospodarze, na „Dynamo” i zamknęliśmy je w pomieszczeniu gospodarczym za magazynem amunicji. Gdzie znajduje się mityczny samolot, na razie nie mówili.

³ Babaj – w rosyjskim folklorze demon, którym straszy się małe dzieci. W Polskiej wersji zależnie od regionu zwie się Bobo, Bobok, Babok lub Bebok

Rozdział II Niebo, samolot i chłopiec

Jeżeli osoba naruszająca obszar nadal zbliża się do stanowiska, bądź wyznaczonej granicy, wartownik oddaje strzał ostrzegawczy w powietrze. Jeżeli naruszający nie zastosuje się do ostrzeżenia i podejmie próbę dostania się na stanowisko (lub przekroczy wyznaczoną granicę), wartownik oddaje strzał w sylwetkę

Regulamin służb garnizonowej i wartowniczej.

Pomimo całej tajemnicy wszyscy dowiedzieli się, że wychodzimy na powierzchnię. Matematyk strasznie się nadał, Władimir Pawłowicz był niewzruszony, a ja ledwo powściągałem radość. Przy czym zrozumiałem, że chłopiec, który nie skończył bawić się swoją zabawką, skacze i cieszy się we mnie i że moje drugie „ja”, pulchny, dorosły facet, patrzy na tego chłopca wyrozumiale, również potajemnie się ciesząc, że w końcu w życiu dorosłego człowieka dzieją chociaż jakieś wydarzenia.

Od miejsca naszego zamieszkanie do głównego bocznego przejścia trzeba było przejść dwieście metrów. Ale wszyscy nasi znajomi jakby przypadkiem tłoczyli się na krawędzi peronu.

Przyszła też baba Toma, spojrzała na nas i wytarła łzę. Spojrzała znowu, odwróciła wzrok i powiedziała smutnie:

- Do zobaczenia chłopcy. Spróbujcie wrócić z powrotem.

Szliśmy tunelem i, korzystając z chwili, spytałem Władimira Pawłowicza, dlaczego zgodził się wyruszyć w drogę.

On spokojnie spojrzał mi w twarz:

- Nie było wyboru. I chcę żyć.

- W jakim znaczeniu? – nie rozumiałem.

- Gdybyśmy się nie zgodzili, to by nas – i ledwo słyszalnie gwizdnął.

- Daj spokój. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Widzisz, nasz nowy naczelnik od razu odkrył wszystkie atuty⁴. To oznacza, że o wewnętrzne lub zewnętrzne tajemnice się nie martwi. On wiedział, że na zewnątrz nic nie wycieknie, a jego asystentowi Mirzo ostrożnie się przyjrzałem: kiedy zgadzaliśmy się, jego to jakby zasmuciło. I lufę z kolan zdjął. Chociaż myślę, że nas zdjęliby po cichu. Widziałeś, jak Mirzo za nami patrzył? Dal nich przecież jest ważne, żebyśmy sami nie uciekli i widać, że po prostu jesteśmy mało potrzebni i usuną nas, jak kamyk z szyny, jednym pstryknięciem.

- Tak, wciągnąłem cię w robotę.

- Nie martw się. Ja sam chciałem: zasiedziałem się tutaj. Chęć do życia straciłem. A na górze zobaczymy, kogo weźmie.

- Czyli i tak nas nagle pobiją?

- Ach, mój przyjacielu, Saszeńka! Pamiętasz, klóciliśmy się z tobą z powodu wojen w Centralnym metrze i co ci mówiłem?

- Ty wiele mówiłeś.

- A mówiłem ci, że oni wiedzieli za co umierali. A ty nie wiesz, dlaczego żyjesz. Tak więc nie ma potrzeby żyć tutaj jak warzywo. Metro to kolebka nowej ludzkości. Ale nie dane jej wiecznie żyć w kołysce. Ty już powinieneś dokładnie wiedzieć ze swoich książek.

Ku swojemu zawstydzeniu, nie rozumiałem, skąd to jest. To zapewne jakiś cytat, ale znowu – słyszę dzwonek, ale nie pamiętam skąd. Jakiś slogan. Pionierzy. Pałace pionierów. Kołyska. Nie, nie pamiętałem, no pięknie.

Prawda, pamiętałem inny, ten, jak klóciliśmy się o przyszłość mieszkańców podziemi, konkretnie w tych dniach, kiedy z pewnym opóźnieniem dochodziły do nas wieści o wojnach wewnątrz Linii okrężnej.

Władimir Pawłowicz mówił tak:

- Ty wiesz w czym rzecz - rośnie nowe pokolenie. Zaraz po Katakлизmie, wiadoma rzecz, nikt dzieci nie robił, a potem ludzie osiedli - i się zaczęło. Dzieci, oczywiście, jest niewiele, nie na każdej stacji można je wychować, ale zrozum, zbliża się zmiana, co nigdy nie widziała nieba. Dzieci stały się

⁴Atut - kolor w kartach, który jest w stanie przebić inne karty o kolorach nieatutowych

odporne na te choroby, na które umieraliśmy, one są inne. Mają dwie opcje - albo stać się młodymi wilkami, pijącymi krew w podziemiach, albo stać się ludźmi, co wyjdą do światła. Jedyne, co możemy im dać to sen o niebie. Żeby miały gdzie pójść. Ach, Sasza, to bardzo ważne, dać marzenie.

- Za to można słono zapłacić.

- Za wszystko można zapłacić. Ale gdzie mamy iść dalej - zdegenerowani w bezmyślnych Morloków⁵, powoli umierający w swoich norach?

- To do niczego nie prowadzi. Tak, wiem, kim są Morlokwie, jakby co.

- Jedynym, gdzie jest sens biec, jest powierzchnia. Życ w mieście, jak mi się zdaje, nie można. Ale poza granicami miasta nadal powinno być życie.

- Ale czy można tam dotrzeć, do tej oazy?

- Nie mam pojęcia. A co cię tu trzyma?

- No nic nie trzyma.

Ale skłamałem. Coś mnie trzymało. Nie, nie sytość i bezpieczeństwo, a coś innego.

To się wydarzyło nie tak dawno...

Poszedłem na "Dynamo" całkiem przypadkowo, przywieźliśmy tu ładunek świńskiej skóry na dreźnie. Na "Dynamo" szyli. Szyli dużo i szybko, na moje oko, komiczne rzeczy, ale popyt na licznych stacjach mieli duży.

Tam, w sprawie przyjęcia, odwiedziłem Katerinę. Ona była istotą z innego świata. Dla mnie wydawała się być naprawdę niesamowita - żadnej karłowatości, typowej dla wielu dziewczyn podziemi, w niej nie było. "Silna dziewczyna..." - pomyślałem sobie wtedy. Jednakże później dowiedziałem się, że jesteśmy prawie w tym samym wieku. Zamieniliśmy wtedy ze sobą tylko kilka słów i po kilku dniach, kiedy znów przyjechałem z ładunkiem - także.

Ale potem kilka słów przerodziło się w dziesiątki, a potem w setki.

Była u niej jedna dziwna rzecz: przyjaźniła się ze szczurem. Szczur był nadzwyczajny, żył nie wiadomo gdzie i przychodził na wezwanie. To był domowy szczur z różową wstążką na szyi. Szczury w metrze nie były czymś, na co się bardzo narzekało, a zwłaszcza takie duże, widocznie zmutowane. Ale trzeba złożyć hołd tym stworzeniom: jeśli zaprzyjaźnisz się ze szczurem, to on stanie się dodatkowymi oczami i uszami. I to były bardzo wrażliwe oczy i uszy.

Bywałem na "Dynamo" coraz częściej i częściej, i nasz romans rozwijał się powoli, w anegdotach starych czasów. Szczur uważnie i ze zrozumieniem patrzył na mnie, myślę, że oceniająco. Długo podejmował decyzję, a potem wciąż uznał mnie za odpowiedniego do roli przyjaciela jego właścicielki.

Czasem szczur nawet zostawiał nas samych, jak gdyby mówił mi przed odejściem: "Słuchaj, nie zrób jej krzywdy, ufam ci. Na razie ufam".

- A wyobraź sobie, że żyjesz nie w więzieniu, a w klasztorze. To bardzo ważne - kontynuował Władimir Pawłowicz.

- W sensie, to jest lepsze?

- Tak, pomyliłeś się: lepsze, gorsze. W naszym świecie nie ma żadnego "lepszego" i "gorszego". Zwyczajnie człowiek, kiedy siedzi w więzieniu, myśli, że wyjdzie na wolność. To znaczy większa część ludzi, tych, co siedzą w więzieniu, myśli, że prawdziwe życie zaczyna się tam, na wolności. Zliczają dni do wyjścia na wolność, zastanawiając się, jak i co wtedy wydarzy się...

- Cóż, niektórzy siedzieli dożywotnio.

- Niektórzy tak i w tym właśnie rzecz. My wszyscy siedzimy dożywotnio i, zdawszy sobie z tego sprawę, wielu ludzi wówczas, dawno skończyło ze sobą. Ale wyobraź sobie, człowiek poszedł do klasztoru i to na zawsze. I wiesz, że przebłytki życia są tu i poświęcasz się okolicznościom tego życia. To jest po prostu stan, a nie opóźnienie do jakiegoś lepszego czasu, kiedy cię wypuszczają. Chcesz – wychodź, dróg na powierzchnię zbadano wystarczająco dużo, można wyjść na górę dziesiątkami dróg. Tylko jaki w tym sens? Po co? Co tam robić? Co jeść, co pić? Informacje o faunie są ogólnie sprzeczne. Jedne mutacje delta czegoś istnieją.

⁵ Morlokwie - rasa hominidów, bezwłosych albinosów, zamieszkujących podziemia z powieści „Wehikuł czasu”

O mutacjach delta, być może, wiedziałem. To był typ mutacji, który dawał stabilny obraz już w drugim pokoleniu. Na przykład, u jaszczurek natychmiast wyrosły skrzydełka i przeobraziły się w coś smokopodobnego.

Zbadać tego, oczywiście, nikt nie zbadał.

Smoki i pterodaktyle, jasna sprawa, widzieli, traktować je jak obiekt nauki mogli tylko intelektualiści Diggsowie ze Szmaragdowego grodu⁶. I nie jest jasne, czy byli na świecie ci Diggsowie. I to też, obok z Baumańcami, jedna z miejskich legend.

Krewni pterodaktyłów zrodzili się z gołębi. Ale pterodaktyle oczywiście istniały, a o Diggsach krążyły tylko legendy.

I mutacje delta też były pod ręką, czyż świnię, które dorastały w podziemnych hangarach na „Lotnisku”, nie są przykładem? Wiedzieliśmy, że one zmutowały, któż tego nie wiedział? Świnie były naprawdę niezwykle, szybko tuczące się, olbrzymie, normalnie chodząca kielbasa. Nawet nie wiem, co było bardziej opłacalne: nasze uprawy na hydroponice i cud-ziarno czy te świnię.

Racja, o tych świniami także krążyły legendy.

Świniarzy u nas baliśmy się, dlatego że oni byli jakby nie z tego świata.

Wygląda na to, że świnię były im bliższe od ludzi. U nas pewnego razu ktoś z Hanzy wydał zakaz na żywe świnię. Władze radziły się, radziły i postanowiły sprzedać. Poszedłem do świniarzy i zatrzymałem się. Z tego powodu wezwali do mnie pomoc, tak, jakby robili mi przysługę, i następnie razem ładowaliśmy świnię na wózek.

Świniarze nagle zaczęli płakać, żegnając się ze zwierzętami.

Potem mi w ogóle wydawało się, że oni ze świniami rozmawiają. Ale to nie moja sprawa. O świniarzach mówili, że wielu z nich nie chowają, a proszą po śmierci o położenie się w bioreaktorze, żeby poszli na karmę dla swoich podopiecznych...

I tak nastąpił pierwszy dzień wyjścia na powierzchnię. Wiedziałem, że jeśli wszystko będzie dobrze, to nie polecimy od razu, a będziemy długo przygotowywać się do lotu.

Z widocznym niezadowoleniem Matematyk puścił mnie po rzeczy. Puchowa kurtka nie szczególnie była mi potrzebna, ale prawie zrobiłem histerię twierdząc, co trzeba wziąć jeszcze ze sobą na powierzchnię.

Całkiem oczywiste jest, jaka pogoda jest na górze, wrzesień mógł być zimny, a mógł być i ciepły, jak wcześniej.

Klimat – rzecz nieprzewidywalna, a nas cały czas straszili to nuklearną zimą, to piekielnym żarem przyspieszonego Kataklyzmem globalnego ocieplenia.

Poszedłem do Katii, która wszystkiego się domyśliła. Nie miałem nic do stracenia, oprócz niej, oczywiście i opowiedziałem jej wszystkie szczegóły.

Ona zamilkła na długo, dokładnie jak tego dnia, kiedy wędrowaliśmy po nieobudzonej jeszcze stacji „Dynamo” i poszukiwaliśmy na kolumnach śladów starożytnych stworzeń.

B słabym światłem światła awaryjnych nasze twarze miały kolor ścian –tagilskiego marmuru. Dotykaliśmy palcami pylony, tam, gdzie mogliśmy odkryć skamieniałe kolonie koralowców, nieznanymi mi bezkręgowców, które zachowały się tam jak zwoje.

- Popatrz, to mureks⁷, purpurowy ślimak – mówiłem i nasze palce, splecione, prześliznęły się po marmurze.. – Dawno temu rozcierano je i otrzymywano purpurowy barwnik, którym barwiono płaszcze greckich archontów i togi imperatorów. Pisał o nim jeszcze Homer...

Na tych słowach zgubiłem się i kontynuowałem, pamiętając to, co napisano w jakiejś książce:

- A w ogóle to jeszcze je jedli...

Miłość nasza była jak ten ślimak, szczelnie zamknięta pod ziemią.

Katia przejrzała mnie od razu i po krótkiej chwili, kiedy słyszałem jej oddech, pokazała całe nasze życie po moim zniknięciu.

- Rozumiem. Tak trzeba. Powinno być, tak powinno być.

- Wróć.

Ona przemilczała, dlatego że trzeba było odpowiedzieć: „Będę czekać”. Albo: „Wierzę, że wrócisz”. Ale mówić tak było głupio, a i sam do końca nie wierzyłem, że wróć. Nawet nie tak: ja nie wierzyłem, że mogę wrócić. Z góry, z której przez okno patrzy na nas porcelanowy piłkarz z

⁶ Odniesienie do „Czarnoksiężnika z krainy Oz”

⁷ Gatunek wodnego ślimaka (*Chicoreus palmarosae*), nie posiada polskiej nazwy

podniesioną do kopnięcia nogą: mecz jego dawno się skończył i piłkarz zdziwiony patrzył na czubek swojego buta.

To był kolejny pylon i od tego, z którego na nas patrzył porcelanowy piłkarz, stał daleko – we wszystkich tego znaczeniach.

I wróciłem do naszego obozu.

Rozdział III Czy jest życie za MKAD⁸

Jeśli chodzi o ubrania George powiedział że wystarczy wziąć po dwa dresy z białej flaneli, a jak się zabrudzą, to wypierzemy je w rzece. Spytałismy go, czy próbował kiedykolwiek wyprać białą flanelę w rzece. Na to odpowiedział:

- Prawdę mówiąc to nie. Ale mam znajomych co próbowali i byli z tego bardzo zadowoleni.

Jerome K. Jerome. Trzech Panów w łódce, nie licząc psa.

Długo przygotowywaliśmy się do tego wyjścia na powierzchnię. Matematyk cały dzień porównywał jakieś schematy z prawdziwymi drzwiami w bocznych chodnikach stacji „Dynamo”. Część z tych drzwi była zamknięta na głucho, a część zamknięta na zagubionych na zawsze kluczami. Matematyk, podkreślając sobie specjalnym ołówkiem, porównywał numery drzwi i ich oznaczenia na swoim planie.

W końcu, biorąc kilka jego zagadkowych skrzyni, respiratory⁹ i gogle, wyruszyliśmy w drogę.

Pomimo wszystkich starań, długo płataliśmy się, a wyszliśmy, koniec końców, sto metrów od stacji, na samym środku Prospektu Leningradzkiego. W tym czasie, jak mi się zdaje, mogliśmy dojść i do „Białoruskiej”

Tylko Mirzo odsunął włącz studzienki kanalizacyjnej, opuściliśmy ciemne gogle. Chociaż słońce zachodziło, nasze oczy nadal musiały się przyzwyczajać i przyzwyczajać do światła.

Prospekt okazał się być pusty. Wiatr rzucał po nim ni to liście, ni to trawę: tak stwierdziłem, ponieważ ludzkie śmieci powinny zostać zabrane stąd jeszcze dwadzieścia lat temu przez różne wiatry.

Matematyk sprawdził teren radiometrem i dał nam znak, że można...

Wyszliśmy i zaczęliśmy się rozglądać.

Rzeczywiście, to było jak pierwszy seks. Na pewno tak czuli się ludzie stąpający po Księżycu. „Pierwszy seks na Księżycu”, jak stwierdziłby mój znajomy, szef świniarzy Ujgur Roman i oczywiście nieprzyzwycię by zarżał.

Ale co prawda, to prawda: w moich skroniach uderzała krew, w uszach dzwonił dzwon i serce wyskakiwało z piersi.

Wokół było pusto – prospekt okazał się zaskakująco szeroki, a samochodów na nim nie było. Nawet estakada nie zaważyła się... Nie, z nią runęły jakieś bloki, ale w pozostałym węzle drogowym na trzecim kole wyglądała tak, jak na zdjęciach.

Matematyk zabrał nas do sklepu sportowego na rogu i przeczytał krótkie wprowadzenie:

- Obiekt znajduje się w fabryce, która położona jest za tymi domami. Pięć lat temu próbowaliśmy dostać się stąd – nawet zabraliśmy paliwo. Przez pięć lat, oczywiście, mogło ulec pogorszeniu, ale myślę, że nada się. Mamy jako taką nadzieję. A wy, Aleksandrze, kręćcie głową, jak w walce powietrznej – to się wam przyda. To miejsce jest niepokojące.

Wyszliśmy na ulicę, gdzie pośród źdźbeł trawy wnioskowałem tory tramwajowe. I prawda, próbowały się tutaj przebić: niedaleko stał transporter opancerzony, który, jak było widać, przyjechał tu całkiem nie dawno.

Oczywiście było również, że drużyna była widoczna. Z górnego wjazdu zwisał szkielet bez głowy. Ktoś odgryzł mu głowę z ramionami – wszystko pozostałe było trudniej dostępne, nawet oderwany wężyk od maski przeciwgazowej, który szedł gdzieś w łachmany.

- O, to dopiero Huhus. Zabawny był facet, specjalista od wizualnej propagandy. Tylko był zawsze bardzo porywczy – wykrzyknął Władimir Pawłowicz.

Drugi trup leżał przy kołach – w jednym kawałku, a wewnątrz opancerzonego pojazdu, spojrzałem, kiedy wspinałem się po kanistry z paliwem, wewnątrz były jeszcze dwa, ale bez widocznych uszkodzeń. Przynajmniej byli w kombinezonach ochronnych bez widocznych dziur.

Zabrawszy paliwo, poszliśmy obok rozkradzionego domu: na ziemię spadły wszystkie płytki, ściany były szare i gąbczaste, jakby budynek zbudowano z jakiegoś ciemnego piasku. Bardzo chciałem się wspiąć tam do środka – tak po prostu, żeby popatrzeć, jak ludzie żyli wcześniej.

⁸ Obwodnica Moskwy, swego czasu także granica administracyjna miasta

⁹ Rodzaj maski z filtrem

W końcu znaleźliśmy się przed wejściem do fabryki. Kiedyś szklany pawilon stracił swoje ściany i teraz na brankach wejściowych naniesione były śmieci i pył. Bramki wyglądały jak ogromne, metalowe szafy – wyższe od człowieka. W niektórych z nich zadziałały przekaźniki i wczepiły się z dwóch stron w pustkę metalowymi kleszczami dokładnie tak, jak to robiły kiedyś stare bramki w metrze. Teraz wydawały się być martwe i niegroźne, ale nigdy nie wiesz, co się wydarzy.

I kiedy przeciskaliśmy się przez te bramki, i kiedy znalazłem się w miejscu, gdzie trzeba było podać kody i, widocznie, zdać automat w szczelinie swojego przejścia, wszystko zdrząło: nagle wewnątrz nich znalazła się Bóg wie skąd energia elektryczna, pociągnij dźwignie i wciągnie cię do środka tego urządzenia – wciągnie na zawsze.

Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Poszliśmy po szerokiej asfaltowej drodze między warsztatami. W poprzek niej stał wózek widłowy, za sterami którego siedział zadowolony z życia szkielec w plastikowym kasku. Zwyczajnie gotowa reklama BHP – co jak co, ale czaszkę miał całą i zęby były po prostu idealne – równe, zadbane, ja nie mogłem się takimi pochwalić.

Matematyk wyciągnął z plecaka swoją potwornie obszerną książkę i, wspomagając się nią, wskazał drogę do pożądanego warsztatu.

Na końcu warsztatu były aluminiowe drzwi-żaluzje. Jak tylko spróbowaliśmy je otworzyć, runęły nam z łomotem pod nogi.

Przed nami naprawdę stał mały samolot i przez kilka sekund wystraszeni patrzyliśmy na niego, przy czym Władimir Pawłowicz zadał ogólne pytanie:

- Ej, właściciele, a skrzydła to gdzie?

Skrzydła nie było. Samolot stanął w wąskim hangarze – bez skrzydeł.

Zdaje się, że byłem jedynym, który się nie przestraszył. Matematyka, sądząc po jego wyglądzie, oblał zimny pot. Pierwszy raz się przy mnie bał – w milczeniu, ale przerażająco. Stałem obok i widziałem, jak na jego czole pojawiły się wielkie krople. Ale Tadzyk od razu pobiegł do półek, schował się za nimi i doszedł nas stamtąd jego krzyk w zaskakującym i niezrozumiałym języku. Żałuję, że go nie znam.

Skrzydła znalazły się – kłopot w tym, że trzeba by znowu je przyczepić do samolotu. I tu miałem trochę wątpliwości, czy mam wystarczające kwalifikacje. Ale kwalifikacji miałem dość. Za trzy dni zabraliśmy samolot, jak konstruktor.

Przetestowałem silnik. To być może był kolejny przerażający moment, ale silnik odpalił, jak gdyby nie minęło tak wiele lat.

Matematyk wkręcił, na koniec, na brzuchu samolotu kamerę bezpieczeństwa.

Jego plan był dla mnie dość jasny. Mamy wykonać zwiad drogi i spróbować nawiązać kontakt. Kamera tylko utwierdziła mnie w znaczeniu mojej misji – za nami, po utwardzonej drodze, pójdą inni. I w tamtym momencie wydałem się dla siebie Kolumbem, który widział, że jemu na karawelę przywieźli podarowany przez królową dziennik pokładowy – oprawiony w skórę, z klamrami z brązu. Tak, tak, wiem, że Kolumb nie płynął na karaweli i o dzienniku pokładowym też mi się przewidziało. Ale odczucia miałem właśnie takie.

Tej nocy miałem sen o zbiorce na wojnę. Co to była za wojna, z kim – było mi to zupełnie niezrozumiałe. Ojciec mówił, że jeśli tam pójdę, to wrócę za dwadzieścia lat biedny i bez towarzyszy. Następnie, drżąc ze strachu, dokładnie w tym śnie, udawałem szalonego. Dokładnie na skraju lotniska, nie wiadomo skąd się wziął, stał kultywator¹⁰, wziąłem go i zacząłem kruszyć pas startowy. Dziwne, że nikt nie przybiegł słysząc dźwięk. Zaorawszy ogromny pas, zacząłem siać jakieś ziarno. Zasiałem już połowę pasa startowego, kiedy, ostatecznie, wpatrzyłem się w to, co miałem na dłoni. A była tam sól.

Roztarłem ją palcami i rozejrzałem się bezradnie.

Ojciec jeszcze tam był i powiedział, że nie trzeba się krzywić. Przy tym śpiewał starą pieśń o Cyganach, u których w sercu nie ma śladu, a i widocznie samego serca nie ma.

Tylko potem ojciec poklepał mnie po ramieniu i dodał, że Cyganom nie należy wierzyć – przewidujesz, że oni są w porządku, a w przyszłości nie pójdziesz, dlatego że przewidywania i porady niszczą życie tak samo, jak pragnienie bycia pierwszym:

¹⁰ Narzędzie uprawowe do spulchniania roli bez jej odwracania oraz do niszczenia chwastów

- Nie staraj się być we wszystkim pierwszy, prosta sprawa. Teraz będziesz w obcym miejscu, więc w ogóle nie wrócisz. Podróż tak jest – będziesz pierwszym, możesz stać się ostatnim. Bądź na swoim miejscu, a wyleziesz w bimbry i upity.

Spotkaliśmy się z Katią, jak złodzieje, obmyślający złe czyny. B jej klitce było pusto i cicho. Szczur gdzieś poszedł, zniknął. Zniknął.

„Z delikatności” – pomyślałem.

Przyłgnęliśmy do siebie i zaczęliśmy, nie ruszając się, słuchać się nawzajem, naszego oddechu i dotyku palców na skórze.

Nasze palce splotły się same i przytuliłem ją bardzo mocno.

- Zauważyłaś – szepnąłem jej na ucho – że kiedy próbujesz wzmocnić niektóre słowa, to wychodzi tylko gorzej? Więc jeśli powiedzieć: „Kocham cię” – wyjdzie jak trzeba. A jeśli powiedzieć: „Bardzo cię kocham”, to wyjdzie jakoś słabiej?

Oddychał w moich rękach często, jakby próbowała wyrwać się i odlecieć.

- Jesteś moja, żeby nie ważne co się działo – powiedziałem i mocno przytuliłem do siebie Katię i poczułem, jak jej piersi naprężyły się i zaokrągliły pod moimi dłońmi.

- Wszystko, co mam – odparła.

- Nie tylko.

- Dotknij. Nie, nie trzeba, one zawsze są pod ręką – powiedziała i zachichotała. – Pogładź lepiej... O, tak dobrze... Proszę, Sasza, kochaj mnie. Tam, gdzie będziesz. Zrozum, że życie mamy krótkie i tylko zdążysz poznać innego człowieka, jak jego już nie ma obok. Pozostaje wierzyć, że on gdzieś tam wspomina o tobie.

Zamknąłem oczy i poczułem na sobie jej lekkie ciało i że bariera między nami stała się mniejsza. Oczy nie były w ogóle potrzebne, ponieważ lampy awaryjne zgasły, a światło z pomieszczeń ochroniarskich nie docierało. Staliśmy szczepieni ze sobą, nie ruszając się, przysłuchując się sobie, naszemu oddechowi i ruchowi palca na skórze. Przesunęła rękę w dół najpierw z niepewnością, a potem śmieje. I świat się zmienił: wszystko stało się całkowicie inne, rzeczy zmieniły właściwości.

Jej ciało było zaskakująco odporne, tak, że wydawało się nienaturalne. Inne stały się zapachy, zimne stało się ciepłym, a miękkie twardym. Znowu poczułem, jak przyciskają się jej piersi do mojej piersi i usta do moich ust. Przytuliła się do mnie, a ja poczułem na sobie niezwykłą ciężkość jej ciała.

- Racja, teraz nie pojdziesz, kto z nas jest kim?

- To znaczy: jeden diabeł, tak? - spytała.

- Tak. Powiedz, dawno to wymyśliłaś?

- Nie wiem. Cóż, dawno.

Pocałowałem ją tak, że stuknęliśmy się zębami.

Przycisnąłem Katię do siebie z całej siły i pomyślałem sobie, czego by tu nie powiedzieć: "do jutra", jeszcze raz "jutro my...", dlatego że żadnego jutra nie mamy, wszystko można tylko tu i teraz, a "do widzenia" mówić nie chce się.

- Jeśli chcesz, to będę nazywać cię Catherine jak w starych powieściach. W starych powieściach bohater zawsze żegnał się przed podróżą i obiecywał coś przywieźć. Szkarłatny kwiat, na przykład.

- Szkarłatny kwiat to już kazirodztwo. Nadal nie jesteś moim tatą - uśmiechnęła się w ciemności, ale ja, choć niczego nie widziałem, wiedziałem, że ona się uśmiecha. Na szczęście.

- Nie gadaj.

Pomyślałem "Powieм »do widzenia« i nikt mnie nie usłyszy. Dlatego że nie wrócę, że nie mamy jutra".

I my znowu zaczęliśmy się ruszać, jak Srebrny Pociąg, nocny pociąg-widmo, który jedzie bez światła, którego nikt nie widzi. Nie ten, w którym jest silnik elektryczny, a taki, gdzie sapie parowóz i szybko przemieszczają się takie długie, stalowe części, co latają tam i z powrotem, to zaśługa wchodzenia w cylindry.

Świeża para zmienia się w spaliny pary, ruszały się tam i z powrotem korbówód i tłok, pracował zawór tłokowy, ale za tymi słowami nie stoi żadne znaczenie. Ogólnie nic nie istniało, oprócz nas. Ani metro z różnokolorowych ludzi, ani tajemniczej spalonej ziemi na górze, ani reszty świata, w którym nie dowiesz się, czy są ludzie. Nie, być może nigdzie nikogo nie ma, za wyjątkiem nas dwoje obok pylonów stacji „Dynamo”.

Była absolutna cisza, a mnie wydawało się, że odgłosy naszego oddechu napęniają wszystkie stacje, niosą się po tunelach i wyginają się pod ich wpływem hermetyczne wrota w odległości kilku kilometrów.

Ciemność pulsowała i chciałem, żeby to trwało wiecznie.

Ale w tym momencie wszystko się skończyło.

Staliśmy, oparci o stacyjny pylon, czując, jak stajemy się miękkimi i wiotkimi Morłokami. Tylko mistrzyni świata roku 1948 w łyżwiarstwie figurowym Marija Isakowa, podniósłszy nóżkę i rozstawiając ręce, patrzyła na nas z porcelanowego medalionu.

- Tylko wysoko przy Carskich wrotach – szepnęła Katia – wtajemniczony w sekret, płakało dziecko o tym, że nikt nie wrócił.

Wiedziałem, że to jakaś modlitwa z dawnych czasów, jeszcze względem Katakliizmu. Gdzieś ją słyszałem, ale nie chciałem o tym myśleć.

Teraz trzeba było zrozumieć, gdzie, tak właściwie, wystartować. Potrzebne nam było około dwieście metrów, ale to musiało być wymierzone dwieście metrów. Na przestrzeni wewnątrz fabryki to było zbyt dużo. Ruszyć z miejsca wózka nie daliśmy rady i pozostało wypchnąć samolot na ulicę, korzyści były takie, że wrota już dawno upadły.

Za to kok¹¹ śmigła spoglądał teraz w kierunku naszego celu – niemal dokładnie na północny-wschód. Zacząłem się modlić – nie na głos, a wewnątrz siebie, jakby rozmawiać z nieznaną mi istotą, co patrzy na nas wszystkich i zarysowuje życie każdego – od najlepszych, jak Kati i mojego ojca, do świniarzy, których nienawidziłem, ale teraz, już w kabinie samolotu przygotowując się do opuszczenia ich, zacząłem ich lubić. Poprosiłem tę wielką istotę o szczęście, niewielkie szczęście w moich poszukiwaniach, w naszej wielkiej desperackiej podróży.

Zadrzał silnik, śmigło zakręciło się w błyszczącym kręgu.

Założyliśmy gogle na oczy i zacząłem powoli dodawać gazu.

¹¹ Nie znalazłem polskiego tłumaczenia, część do której przyłączone są łopatki śmigła

Rozdział IV Miasto Piter, co życie mi zabrało¹²

Co się tyczy moich informatorów, to zapewniam was, że to bardzo uczciwi i skromni ludzie, którzy wykonują swoje obowiązki starannie i nie mają zamiaru nikogo obrażać. Ci ludzie zostali wielokrotnie przez nas praktycznie sprawdzeni.

Osobiste i tajne od Premiera i. w. Stalina Prezydentowi p. f. Rooseveltowi, № 288, 7 kwietnia 1945 roku. Kopia ... m., 1957, z. 207

Tysiące razy wyobrażałem sobie co czuję odrywając się od ziemi, ale właśnie tego momentu nie zauważyłem, taki byłem napięty. Z kilkusekundowym opóźnieniem pojąłem, co powinienem był zrobić, powinienem był zapamiętać, ale głowa była zbyt zajęta, żeby zwrócić uwagę nie tylko na odczyty, ale i swoje odczucia.

„No i ładnie – pomyślałem i wiedząc, że następny raz może nastąpić lub nie, dodałem dla siebie: - Następny razem”.

Mocno trzymałem wolant, nawet zbyt mocno, jak dotąd nie wspomniałem słów ojca, że drążka sterowego prawdziwy pilot trzyma nie za słabo i nie za mocno, a jak żołnierz łyżkę.

Po półgodzinie czułem się bardziej pewny siebie – ton pracującego silnika był równy, a paliwo nie zawodziło.

Ale niespodziewanie radiometry w kabinie dosłownie oszalały. Kabinę wypełnił pisk.

Matematyk dostrzegł moje spojrzenie i wyjaśnił:

- Wyjaśnię wam, co to jest. Nie trzeba panikować. Wygląda na to, że zadziałała tarcza antyrakietowa wokół Moskwy, to znaczy Pierwszy Okręg armii Obrony Przeciwpowietrznej. Zestrzelili większość głowic i one upadły tutaj, w połowie drogi z Moskwy do Petersburga. Nie wpłynęły na wszystko i skażenie jest bardzo wysokie. Rozmawiałem z ludźmi zaznajomionymi z tymi rzeczami – był tam jeden major, nazywał się Zielonyj. On opowiadał, że na standardowym wyposażeniu mieli przewidziane dwie rakiety z ładunkiem jądrowym. Właśnie po to, żeby oczyścić niebo w przypadku masowego przybycia celów. To jest obrona przeciwrakietowa, która stała w pięćdziesięciokilometrowych odstępach, waliła w nadlatujące obiekty i one spadały (znaczy się, oczywiście te, w które trafiły) sto-dwieście kilometrów za miastem. Teraz wiatr zawiewa pył, no i to wpływa na odczyty. Poleć wyżej, tylko ostrożnie.

Ale szybko przelecieliśmy przez teren podwyższonego promieniowania i zauważyliśmy, że poza nią odczyty były w normie.

Chociaż jak jest tam, na ziemi, pozostawało nieznanne.

Polecili mi lecieć dokładnie nad autostradą i to było najlepszym punktem orientacyjnym. Od czasu do czasu znikła, tu i tam droga zarosła trawą, ale wsie, które leżały niżej, nie pozwoliły zniknąć.

Wsie były wszędzie i nie straciłem nadziei na zobaczenie jakichś oznak żywych ludzi. Niczego, co by wskazywało na życie, przynajmniej z wysokości, nie było widać.

Wlecieliśmy w chmury, ale wskazany kurs był prawidłowy, a miejsce naszego przeznaczenia zbliżał się.

Tu, trzeba wspomnieć, wszystko poszło nie tak, jak myślałem. Oczywiście popełniłem głupstwo.

Dokładnie przed nami pokazała się wielka woda.

Matematyk zagłębił się w mapę i stwierdził, że to zatoka. To znaczyło, że przed nami jest Zatoka Fińska i przedstawiała sobą nieopisane piękno. Nie, ja widziałem morze na obrazach, zdaje się, że widziałem je nawet w dzieciństwie, zresztą, na pewno widziałem, ale prawie niczego nie pamiętam. A tutaj przede mną, lecącym po niebie, leżała wielka woda, powierzchnia której połyskiwała w słońcu różnymi odcieniami błękitnego i granatowego.

Widok był fantastyczny, ale dali mi się nim długo nacieszyć. Matematyk dokonał korekty naszego prawie prostego lotu i, odbiwszy na prawo, zacząłem wlatywać do miasta.

¹² Skrót od idiomatycznego rosyjskiego zdania, które podobno wypowiedział przyjezdny chłop co w Piterze został robotnikiem. „Miasto-ojciec Piter zabrało mi życie, brat-fabryka zabrał mi najlepsze lata, a w matce-rowie dokonałem żywota”

Przelecieliśmy dokładnie nad ujściem Newy, kiedy z roju zardzewiałych dźwigów i jakichś dziwnych konstrukcji poderwały się stada czarnych ptaków.

Ptaki poszły nam naprzeciw i wtedy przestraszyłem się nie na żarty. To nie były pterodaktyle, a wielkie białe ptaki z błoniastymi skrzydłami, ale nie mniej straszne. Minęła minuta i dziesiątki dziobów zastukało w skrzydła i kadłub samolotu, jak groch. Było widać, że jeśli to będzie się przedłużać, maszyna straci kontrolę i wpadnie prosto do Newy.

Dodałem gazu, zrobiłem beczkę i stado zastało za nami. Matematyk ostrożnie obrócił głowę i zrozumiałem, że on teraz porównuje te ptaki z moskiewskimi. Moskiewskie, podobne do pterodaktyli różnych wielkości, były zdaje się mutacją delta gołębi i wron.

A te harpie-półjaszczury dziwnie białe pojawiły się niewiadomo od czego.

Potem mnie olśniło – to dawne mewy!

Ale, tak czy inaczej, roztrząsać dalej tego tematu nie mogłem. Czas się kończył – trzeba było lądować.

Od razu postanowiłem zrobić to na któryms z wałów, opierając się na ich szerokości i tym, że wszystkie miejskie przewody były rozerwane przez czas i ludzi.

Przed nami leżało ogromne miasto i ja rozumiałem, jakie ono jest wielkie, zwłaszcza teraz, kiedy patrzyłem na nie z wysokości, bezdechu ze strachu. Byłem jedną krwią z nim i razem z tym wszystkim to było obce miasto, minione niebezpieczeństwo.

Przelecieliśmy nad mostami, nadal złotymi kopułami Soboru Izaaka, z którego miejscami było zarwane poszycie, ale, do jasnej cholery, to był prawdziwy Sobór Izaaka, który mogłem poznać! I on był także majestatyczny, nawet jeszcze fajniejszy, niż sobie go wyobrażałem. Ale jego masa przechyliła go na bok, z lewej błyszczały rostalne kolumny... Stop. Na zdjęciach były dwie, a nie jedna, jak tutaj, w nowej rzeczywistości.

W oddali, prawie przy horyzoncie, wystawała pochylając się ogromna wieża, podobna do wrzeczona. Czas czy wybuch nie oszczędził jej, wybił wszystkie okna i zostawił tylko szkielet - wieża wydawała się być utkana z sieci, przezroczystej, i przez każde jej piętro było widać niebo.

Po środku Newy, odrzucony nie wiadomo jaką to siłą od wybrzeża, stał zatopiony w połowie statek z trzema wysokimi rurami. Prosto z korpusu sterczały jakieś metalowe konstrukcje - i domyśliłem się, że to zerwany z miejsca swojego stałego pobytu krążownik "Aurora"¹³. Na rejach¹⁴ powiewało kilka ludzkich sylwetek, ale co to za sylwetki, nie można było zrozumieć. Wizja błysnęła niżej i zacząłem przygotowywać się do lądowania.

Jak uczył mnie ojciec, wysunąłem podwozie, zwolniłem i, wybrawszy dobrze widoczne miejsce na szerokim nabrzeżu, skierowałem samolot ku ziemi.

Mocno uderzyliśmy o ziemię, zatrzęsło nami i samolot znowu był w powietrzu. Zachowałem całkowitą kontrolę, zachowałem ją wtedy, kiedy maszyna zaczęła się rzucać. Nie, uczyć się kontroli we śnie, w dwadzieścia lat po tym, jak ostatni raz siedziałeś w kabinie, jest oczywiście niemożliwe. Ale siedziałem, siedziałem! I teraz samolot kręcił się po obcym mieście tracąc prędkość. Wszystko się okazało i wszystko się skończyło. Ale... Ale, zdaje się, miałem pecha.

Trzystu, nawet dwustu pustych metrów nabrzeża nam jak raz nie wystarczyło. Na końcu drogi prawe koło podwozia nagle wpadło w dziurę. Później ciężko było zobaczyć: wielka wyrwa w asfalcie była wypełniona szarym pyłem i dostrzec ją nawet z bliska było niezwykle trudno. Ale tak czy inaczej, zgubiliśmy prawe koło i, szorując samolotem po ulicy, nakreśliliśmy prawie pełne koło.

Dziwne, ale nawet nie cieszyłem się z tego, że wylądowaliśmy. Przez pierwsze minuty rozmyślałem o tym, że zostaliśmy zakładnikami tego miasta. I, zdaje się, nie ja jeden o tym wiedziałem. Matematyk z rozdrażnieniem powiedział:

- Przynajmniej wszyscy żywi.

Widać było, że bardziej by mu się podobało, gdyby samolot był cały, a on jeden pozostał żywy. Nie, raczej on i ja, żeby dowieść go z powrotem.

A aj myślałem, że stało się w końcu to, co zawsze mi się śniło, poleciałem za ojcem. Ale był jeszcze jeden szczegół, który nas łączył. Pośród innych książek ojca, pilnie czytałem wspaniałą książkę "Instrukcja dla załóg pojazdów lotniczych, dotycząca przeżycia i działania po przymusowym lądowaniu w nieznanym terenie lub wodowaniu". Jej słownictwo i rady na zawsze zakorzeniły się w

¹³ Okręt-muzeum, symbol rewolucji październikowej

¹⁴ Poziome drzewce przytwierdzone do masztu

mojej duszy. I tak: "Po znalezieniu się w bezludnym miejscu, zanim podejmiecie jakąkolwiek decyzję, najpierw uspokójcie się, uporządkujcie myśli i oceńcie powstałą sytuację. Przypomnijcie sobie wszystko, co wiecie o przeżyciu w podobnych warunkach. Działajcie zgodnie z konkretną sytuacją, porami roku, charakterem miejscowości, odległością od niebezpiecznych miejsc, stanem zdrowia członków załogi. Wasza wola, męstwo, aktywność i inwencja zapewnią powodzenie w najbardziej złożonej sytuacji samodzielnego przetrwania."

I od tego czasu wiedziałem, że po wylądowaniu na spadochronie zawsze będę śledził kurs samolotu, tak jak dowódca zostawia ostatnią deskę. Poprzysiągłem sobie, że będę wypatrywał w wodzie meduzy, jak wydmo najbliższej plaży, na którą postaram się wejść razem z falą. Poprzysiągłem sobie, że sztuczne oddychanie będę wykonywał do pojawienia się spontanicznego oddechu mojego towarzysza lub jawnych oznak jego śmierci, takich jak zdrętwienie ciała lub plamy opadowe. I porażą mnie pogarda i gniew członków mojej załogi, jeśli na obszarze skażenia radioaktywnego nie będę naśladować dokładnie garbować złapanych zwierząt i usuwać ich wnętrzności. Jeśli nie będę gotować i smażyć mięsa tego zwierza, unikając przy tym użycia w jedzeniu serca, wątroby, śledziony i mięsa przylegającego do kości.

Byłem wierny tej księżce, jak zaprzysiężenie nieistniejącemu państwu, którego nigdy nie złamałem.

To była niebieściutka książeczka z czarnym konturem gwiazdy na środku.

I tak oto teraz stała mi przed oczami sześćdziesiąta trzecia strona Notatki: „Decyzja o pozostaniu w miejscu lądowania lub opuszczeniu go to jeden z najważniejszych elementów waszego przetrwania”.

Trzeba było wyjść. W ostatniej chwili zdecydowałem, że pójdę pierwszy. Już skacząc, przyłgnałem do drzwi i wylądowałem na nich, jeszcze wcześniej spadając na gąbczaste nabrzeże. Tadżyk przybiegł za mną, ale wyszło tak, że to on pierwszy dotknął petersburskiego asfaltu.

Wyciągnęliśmy skrzynie z samolotu i tylko tutaj zrozumiałem, że cały ten czas nas obserwowano. Stado psów stało niedaleko i w całkowitej ciszy obserwowało, jak wylądowujemy nasz ładunek. Tylko od czasu do czasu któryś z psów przekręcał głowę w bok i kontynuował w milczeniu patrzenie swoimi czarnymi, niemrugającymi oczkami.

Same te psy wcale nie były straszne, wyglądały jak zwyczajne mieszańce. Widziałem takie na obrazkach, na pocztówkach i w dziecięcych gazetach. I te i tamte psy były nawet sympatyczne – biorąc je osobno. Ale teraz wszystkie razem, zebrawszy je w stado, powodowały bardzo dziwne uczucie, jakbyś miał do czynienia z jednym zwierzęciem, sto razy odbitym w lustrze.

Matematyk polecił odnieść skrzynie do jednego z domów na rogu placu. Kiedy nieśliśmy ładunek przez tory tramwajowe, obróciłem się w kierunku ogromnego posągu stojącego przed łuszczącym się dworcem.

Ogromny Lenin machał ręką, stojąc na jakiejś dziwnej konstrukcji. Najwspanialsze było to, że miejsce poniżej pleców zjeżdżało postrzępionymi krawędziami. Sprawiało to takie wrażenie, że kilka razy rozrywali mu tyłek, potem naprawiali, potem znów rozrywali – jak gdyby szukali czegoś ważnego.¹⁵

Ale rzeźbiarskie cudzy stolicy północy wyraźnie nie chwyciły za serce moich towarzyszy.

Matematyk zatrzymał się i stał przyglądając się dworcowi, coraz bardziej i bardziej unosząc brwi.

- No i co? – okazując niesubordynację spytałem.

Jednakże nasz pracodawca, zamiast puścić moje pytanie mimo uszu, nagle odpowiedział, że tam, na lewo od zegarów, powinien być szyb wentylacyjny, przedmiot naszego pragnienia i symbol zbawienia w obcym mieście.

On mówił tę długą frazę i dopiero na jej końcu zrozumiałem, że on musi się ze mnie nabijać.

Szyb powinien być na dachu, ale część dachu okazała się być zburzona, a część wisiała na armaturze. Wszystko wypełniały odłamki betonu, przez które, być może, przepływało powietrze do filtrów i wentylacji, no ale my nie przejdziemy. Jak szukać wejścia pod ziemię, nie było wiadomo.

Spojrzałem na pozostałości tarczy dworcowego zegara. Gdzieś czytałem, że stojące zegary zawsze wskazują godzinę katastrofy. Może tak było i tutaj?

Zegar Dworca Fińskiego oczywiście stał w miejscu, ale rzecz w tym, że na nim w ogóle nie było wskazówek. Poetycki symbol nie wyszedł.

¹⁵ Faktycznie w 2009 roku pomnik został uszkodzony przez podłożony ładunek wybuchowy

Matematyk spojrział do swojej księgi.

- Tak. Dwieście szósty szyb – rzekł ignorując nas i objaśniając sytuację swojemu tadżyckiemu adiutantowi: - Dwieście szósty niedostępny. Spójrz tam, jest drugie wejście, o tutaj, na Leśnym prospekcie. Przybliżona odległość półtora kilometra plus minus dwieście metrów. Nie, raczej minus. Jest tam charakterystyczny punkt – odpowietrznik przedziału napędowego. Są zastrzeżenia?

Mirzo zastrzeżeń nie miał i poszliśmy przez słoneczne i przepiękne miasto, taszcząc skrzynie naszego pracodawcy. Trzeba przyznać, że niosłem ładunek całkiem przykładowie, błogosławiąc swojego koreańskiego nauczyciela. Rzecz nie w silnych mięśniach, a mianowicie w wytrzymałości, która mnie uratowała. Tylko pot zalewał oczy i ciężko było oddychać przez maskę.

Jednakże słońce zachodziło z lewej, świetlny czas kończył się. I chociaż prawie dotarliśmy do pożądanego punktu, przyszło nam szukać noclegu na powierzchni. Matematyk bał się (i słusznie) iść dalej na zewnątrz. Rosły tam bardzo dziwne krzaki i ogólnie obszar wyglądał na niezbyt dobrze zlokalizowany.

W narożnym Domie znajdował się bank i weszliśmy przez niezamknięte drzwi do Sali operacyjnej. To tutaj spotkaliśmy pierwszego petersburżanina.

Mieszkaniec północnej stolicy był, prawda, nie żywy. Pozostał po nim pokryty pergaminem szkielet w zbutwiałym kształcie osłony. Kabura na jego pasie była pusta już jakieś dwadzieścia lat – widać było, że plastikowy materiał kabury w ogóle nie ucierpiał, a pistolet ktoś dawno wyjął.

Władimir Pawłowicz usiadł obok i spojrział strażnikowi w to, co było twarzą.

- Młody chłopak – powiedział – zęby czyste, równe, ani jednej plomby. Był zatem moim rówieśnikiem.

Zamyśliłem się nad paradoksalnością tego zdania, a Matematyk z Mirzo, nie skłonieni do poetyki, poszli daleko korytarzem szukać najbezpieczniejszego do noclegu pokoju.

Kogoś ten martwy ochroniarz mi przypominał. I dokładnie, on mi przypominał takiego jak on, tylko moskwianina. Tego kierowcę wózka widłowego, który już dwadzieścia lat siedział w swojej maszynie w moskiewskiej fabryce samolotów.

W tym narożnym domu zanocowaliśmy, nie rozpalając ognia, noce były ciepłe.

Z rana Matematyk wziął mnie i Mirza i poszedł na rekonesans, pozostawiając Władimira Pawłowicza pilnującego skrzyń. Wszystko okazało się takie, jak przedstawiał Matematyk. Pierwszą rzeczą, jaką znaleźliśmy, była długa rura wydechowa, prawda, była już od dawna przewrócona i zardzewiała. Jednakże dzięki niej znaleźliśmy szarą kostkę szybu wentylacyjnego. Od razu nasz dowódca zrobił dość dziwną rzecz: zdobył kod do drzwi, ale nie zaczął schodzić po drabinie, a znalazł metalową szafeczkę przykręconą do ściany.

Wewnątrz skrzyni znalazły się urwany przewód i dwa przyciski.

Matematyk westchnął, urwał kawałek sznurka i wyciągnął z torby słuchawkę telefonu z dokładnie takim samym przewodem na końcu. Wsadził wtyczkę do gniazdka i kilka razy nacisnął na czerwony przycisk.

Minęła minuta i Matematyk, odkaslnąwszy, powiedział do słuchawki:

- Uwaga, kod dwieście. Kod dwieście. Znajduję się w szybie numer... - Spojrzął na cyfry na szafeczce i podał numer: - Powtarzam. Kod dwieście. Kod dwieście...

W ogóle nie wiedziałem, co to jest kod dwieście. Za to wiedziałem, co to takiego „ładunek dwieście”, ale mam nadzieję, że nie będę musiał używać tych słów zbyt szybko. Trzeba poczekać, postanowiłem, i wszystko stanie się jasne.

Rzeczywiście, słuchawka ożyła i całkiem głośno, tak że mogliśmy usłyszeć, odezwała się w końcu:

- Co? Kto mówi?

- Mówi Moskwa – odparł cierpliwie Matematyk. – Kod dwieście.

Słuchawka zamilkła, ale było jasne, że człowiek po tamtej stronie przewodu był całkiem oszołomiony. Zaraz rozmówca Matematyka doszedł do siebie i poprosił o podanie ilości jednostek. Prysięgając, on powiedział: „Podajcie ilość jednostek”. Gdyby nie nerwowe napięcie, wybuchnąłbym śmiechem z tej dziecinnej gry.

- Cztery jednostki – odpowiedział niewzruszony Matematyk.

- Trzydziestominutowa gotowość – odpowiedziała słuchawka, szczęknięła i rozłączyła się.

Wróciliśmy do Władimira Pawłowicza i naszych bagaży i zaczęliśmy schodzić w dół po metalowej drabinie, nabijając sobie przy tym całkiem dużo siniaków tymi durnymi skrzynkami.

W końcu szyb wentylacyjny skończył się i, idąc już poziomo między dwoma ogromnymi wentylatorami, znaleźliśmy się przez niewielkimi drzwiami hermetycznymi.

Otworzyli nam i znaleźliśmy się na muszce strażnika. Ochrona tu była nie podobna do moskiewskiej – trzech całkiem czystych marynarzy wycelowali automaty w nasze brzuchy. Człowiek w mundurze marynarki wojennej, ale już z pagonami chorążego, powiedział cicho:

- Starszy grupy do mnie, reszta zostaje.

Matematyk wystąpił naprzód, został przeszukany i zbadany jakimiś urządzeniami, w jednym z nich rozpoznałem dozymetr, a drugi pozostał zagadką. Matematyk odpowiedział na kilka niesłyszanych przez nas pytań, został, zdaje się, uznany za godnego i wpuszczony. Potem przyszła nasza kolej.

Stacja „Plac zwycięstwa” leżała przed nami i czułem się jak Kolumb dotarłszy do Ameryki. No dobra, zwolniłem, jednym z członków załogi Kolumba. Jednakże wiedziałem, że wiele lat temu to wybrzeże osiągnął mój ojciec i miałem nadzieję znaleźć go. Nie bardzo w to wierzyłem głową, ale za to bardziej wierzyłem sercem.

Przeszliśmy przez drugą strefę kontroli i drogę zagroził nam oficer. Przy czym nie dokładnie oficer, a kapitan trzeciego stopnia. Mundur miał podstarzały i, jak zauważyłem, ręcznie robiony – czyli tutaj szyli sobie sami mundury, a nie używali starych zapasowych. Widać wielu było tu tych wojskowych na nieskończony okres wyjątkowy.

Kap-tri¹⁶ podniósł rękę, na której była czerwona wstążka dyżurnego:

- Tylko z bronią do strefy sanitarnej nie wolno.

- To znaczy jak?

- Mamy tu szpital i na terytorium szpitala nie wolno z bronią. Uzbrojenie możecie zostawić w przechowalni sprzętu.

Pokręciliśmy głowami – znaczenia słów kap-tri dodawali dwaj marynarze z automatami na piersiach i miałem podejrzenie, że to tylko ci, co wyszli do światła. A z ciemnych zakątków celowało w nas znacznie więcej.

- Czyli złożyć broń – nagle świadomie wesoło powiedział Matematyk.

Poszliśmy do przechowalni sprzętu, która okazała się być czymś w rodzaju szatni. Tylko szatniarz był w mundurze – ponury mężczyzna w cętkowanym mundurze.

Prawie się roześmiałem, kiedy on naprawdę wpisał nasze imiona do księgi i wydał plastikowe numerki z tłoczeniem. Miałem przecucie, że na nich będzie odcisnięte coś jak „Teatr młodego widza”, ale tam pojawił się nieznany skrót WAM¹⁷.

Nasze lufy ustawiono w piramidzie z broni, a za nimi zatrzasnęły się metalowe drzwi.

Kap-tri zmienił się na posterunku i poprowadził nas do szefa ochrony.

Prowadzili nas całkiem długo. I zdołałem odkryć, że stacja ta jest ogromna, z racjonalnym wykorzystaniem ślepych zaułków i pomieszczeni, ze schludnymi podpisami i nazwami, napisanych przy użyciu szablonu z tą samą czcionką, która jest tylko u wojskowych.

I jeszcze zdziwił mnie specyficzny medyczny zapach. Ten zapach przychodził nie z tunelu, on przyszedł z dzieciństwa. Coś pobudzały w pamięci te zapachy z „Placu Lenina” – klinika, kolejka do lekarza. Odpowiedź była prosta – stacją nie zarządzali zwykli wojskowi, a medycy wojskowi.

Mnie coraz bardziej i bardziej cieszyła ta stacja. W moim dzieciństwie zwykle krytykowano żołnierzy za głupotę, a tutaj widziałem odwrotną sytuację pozornie bezinteresownego działania. I oto na przykład owe numerki: dostałeś ten kawałek plastiku do ręki i wspomniałeś inne życie, życie przed Katakлизmem. I poczułeś, że jest miejsce, gdzie podtrzymuje się porządek, gdzie są zasady, a nie anarchia walki wszystkich przeciw wszystkim w niewzruszonym tunelu.

Przedstawili nas jakiemuś dowództwu. Ono, żeby nie stracić twarzy, nie zaczęło przepytować. Wszystkich Moskwiaków wsadzili do izolatki i dokładnie przebadano.

Tam po raz pierwszy zobaczyłem elektroniczne mierniki stopnia mutacji, które potocznie nazywali „mutometry”, a jeszcze bardziej dziwiłem się temu, że Matematyk miał dokładnie to samo. Tylko u medyków wojskowych to były większe pudełka w zielonych, trochę uszkodzonych opakowaniach, a u Matematyka gładki, elegancki przyrząd w czarnym plastiku.

Jednak okazaliśmy się godnymi zaufania, chociaż zakwestionował to agent wywiadu - bardziej dla zasady, niż widząc w nas wrogów. Po tym rozłożyliśmy się w boksie za stacją i przygotowaliśmy

¹⁶ Skrót od „kapitan trzeciego stopnia”

¹⁷ Wojskowa Akademia Medyczna im. S.M. Kirowa – najstarsza szkoła medyczna w Rosji

sobie posłania z naszych własnych skrzyni. Tak się złożyło, że Matematyk i Mirzo od razu wyszli gdzieś w swoich sprawach, coś związanego z lokalnymi władzami, a my z Władimirem Pawłowiczem odpowiadaliśmy za wszystkich.

Poważni lekarze wojskowi przepytali nas, jak swoich pacjentów, tylko nie o choroby i samopoczucie, a o życie w Moskwie.

Okazało się, że nie jesteśmy pierwszymi, którzy dotarli do północnej stolicy, ale właśnie na "Placu Lenina" ostatni Moskwianin trafił piętnaście lat temu.

Poczułem dziwne zaufanie do tych dających nam schronienie ludzi i naprawdę opowiadałem o moskiewskim metrze długo i ze szczegółami. Przy tym opowiadaniu zauważyłem za sobą dziwną chęć upiększenia naszego życia, przedstawienia moskwian w pozytywnym świetle, jakby nie było u nas wojen i bezsensownego mordowania. I nawet moje opowieści o mutantach wychodziły jakieś takie zbyt wesołe. O nas kłamią, a my rośniemy w siłę, jak mówił naczelnik stacji "Sokół", kiedy na stacjach Hanzy rozpoczęli kampanię przeciw wieprzowinie, żeby obniżyć cenę.

W końcu zmęczeni usnęliśmy dokładnie w zgodzie z wewnętrznymi przepisami armii. Na drugi dzień powtórzyliśmy dokładnie to samo, a nasi gospodarze i tak nie pojawili się. Jedno było dobre, rozważny Matematyk dał nam masę przydatnych rzeczy na wymianę. Wtedy zrozumiałem, po co te wszystkie skrzynki, które taszczyliśmy: Matematyk, jak oszczędny kupiec, opłacał ekspedycję przydatnymi przedmiotami. A jako przydatne rzeczy były naboje, tabletki i Bóg wie co jeszcze.

Byliśmy podobni do tubylców, którzy zabrali sprzedane białym kolonizatorom korale, lustra i noże i zaczęli znowu przekonywać ich kupców do jakiś płatności, teraz już za ich gościnność.

Rozmawiałem z jednym lekarzem wojennym, kapitanem pierwszego stopnia, o tym, że zajmował się ochroną "Placu Zwycięstwa" przed zagrożeniem biologicznym, czyli przed mutantami z powierzchni.

Zainteresowało mnie zaskakująco zrozumiałe wytłumaczenie, czemu występuje mutacja delta. Lekarz wojskowy mówił, że w którymś momencie program rozwoju zawodzi i żywe stworzenie zmienia się w jeden z tych gatunków, gdzie powinien dojść do łona matki. Dlatego ptak zmienia się w swojego poprzednika - protoptaka. Dlatego też jest podobny do potomka pterodaktyla. A człowiek, który powinien być wewnątrz matki przejść stadium owada, ryby, zwierzęcia, małpy i czegoś tam jeszcze, nagle wyłamuje jedno z tych stadiów w bok.

Prawda, to nie wyjaśniało innych mutacji delta. I stąd wygląd Bibliotekarza czy Konduktora w Petersburgu. Po raz pierwszy usłyszałem o jakimś Konduktorze i nadstawiłem uszu. Okazało się, że Konduktorem nazwali dziwnego mutantą, który z wyglądu przypominał konduktora. Był on stworzeniem zupełnie niezbadanym i nikt, na przykład, nie wiedział, czy rzeczywiście nosi na głowie czapkę, czy to po prostu jakiś dziwny kształt głowy. Właściwie, przezwisko Konduktor ten stwór otrzymał i za wygląd zewnętrzny, i za to, że pojawiał się niespodziewanie, z niczego.

Nie było żadnych oznak, dzięki którym można by przewidzieć pojawienie się Konduktora, ani jednego, oprócz tego, że wyszedłeś na powierzchnię. Wyszedełś na powierzchnię, a to oznacza, że żyjesz bez biletu.

Ktoś widział, jak Konduktor podchodzi do swojej ofiary, a nawet z dużej odległości, a oznak ludzi, że podchodzili na bliską odległość, zwyczajnie nie było, tak więc nawet z dużej odległości człowiek zaczynał odczuwać rozpacz i paniczny strach. Przy czym to był strach przed jakimś strasznym i nieuchronnym wyrokiem. Ci, którzy przeżyli mówili, że w tym momencie bardzo obficie się pocili, natychmiastowo tracąc kilka kilogramów wagi.

Od razu przypomniały mi się moje sny, stające się dla mnie drugą rzeczywistością, i to, że ubrania na mnie po tych odlotach nadawało się do wyciśnięcia.

I tak, do tych, do których podchodził Konduktor, potem już nikt nie widział, a znikanie ciał stwarzało bardzo tragiczne opowieści. Przy czym tragiczność mieszała się z głupimi wierzeniami ludowymi. W szczególności mówili, że Konduktor jest po prostu śmiercią, którą teraz częściej dostrzegają na powierzchni i że teraz osobisty Sąd Ostateczny następuje, można by rzec, na poczekaniu. Był pomysł, że Konduktor jest zwyczajnie potworem ze zdolnościami hipnotycznymi, który od razu tłumi wolę, ale nie działa osobiście, a na placach. To też było w sobie logiczne, ale nie wyjaśniało, jak i dlaczego on wychodzi na polowanie.

- Konduktora nawet Blokadniki się obawiają - dokończył kaperang.¹⁸ - A już ostrzejszych od Blakadników nie ma.

Postanowiłem podtrzymać rozmowę o mutantach i wspomniałem o stadzie, które spotkaliśmy zaraz po wylądowaniu:

- Psy macie dziwne. Wyuczone...

- Poczekajcie towarzyszu - kaperang ożywił się, jakoś niedobrze ożywił się i wtedy klepnął klepnął innego oficera:

- Gubajłowski, oni widzieli psy.

- Na pewno? Właśnie tutaj widzieliście? Daleko od wejścia?

Odpowiedziałem, że widzieliśmy je w dwóch etapach, ale poprosili mnie, żebym pokazał na mapie. Pokazałem i obaj oficerowie spochmurnieli.

- To znaczy, że one zaczęły przechodzić przez most. Pozwólcie nam wyjaśnić. Widzicie, towarzyszu, to tak zwane psy Pawłowa. Była legenda, wierzymy, że to tylko legenda, która mówiła o tym, że w Instytucie Fizjologii imienia Pawłowa żyły eksperymentalne psy...

- Muzealne - wtrącił ten, kogo nazwano Gubajłowskim.

To był oficer marynarki, tylko niższej rangi, ze zadbaną bródką.

- I tak po Katastrofie...

Już zrozumiałem, że w tym mieście nazywają Katastrofą to, co my nazywaliśmy Katakлизmem - jednakże nigdy nie używano słów "wojna" czy "atak".

- I tak po Katastrofie te psy rozprzestrzeniły się na Pietrogradzkiej stronie¹⁹ i żyją teraz w kilku grupach. Sama w sobie grupa bezpańskich psów - to już nieprzyjemne, ale okazuje się, że one mają wspólne odruchy. To znaczy nie wspólną świadomość, a właśnie wspólne zachowania obronne. Kiedy kontaktowaliście się ze stadem, nie było jakiś głośnych dźwięków, nie strzelaliście może?

Odpowiedziałem, że nie.

- To was ocaliło. Rzecz w tym, że według fragmentarycznych informacji, które mamy, ostry dźwięk - zgrzytnięcie lub wystrzał z automatu pobudzają u nich apetyt. To znaczy one suną do przodu i rzucają się na jeden cel, który znalazł się w polu widzenia stada. Można je zabijać, kosić seriami z automatu - wszystko na nic. Ten odruch wydaje się silniejszy od instynktu samozachowawczego. Dlaczego jest zbiorowy, dokładnie nie wiadomo. I w to, że to psy z Instytutu fizjologii też mam duże wątpliwości. Ale nazwa pawłowskich psów²⁰ umocniła się już dawno i nic z tym nie zrobisz. Ale pawłowskie psy to nic w porównaniu z tym co mówią o Czarnym Psie.

- Kolejna legenda?

- Niczego sobie legenda. To jest, oczywiście, legenda, ale bardzo stara. Mówią, że żyje gdzieś Czarny Pies Petersburg. Pies Petersburg jest bardzo dziwnym stworzeniem - jego gabaryty w różnych opowieściach wahają się od wielkości zwykłego psa do małego konia. Myślę, że stara legenda nałożyła się na prawdziwego mutantą, może to nawet nie jest pies. W ogóle, to nie jest stadne, w odróżnieniu od psów Pawłowa, zwierzę, ale bardzo mądre.

- No tak, żre, znaczy?

- Żre.

- Znaczą, jak u wszystkich, żadnej tajemnicy.

- Tajemnicy w ogóle na świecie nie ma. Ale Pies Petersburg jest niebezpieczny nawet z dużej odległości, kiedy pada na kogoś jego cień. Według legendy, kiedy cień tego psa, którego jeszcze nazywają Wszystkichpsówpies, padał na dom, to dom popadał w zapomnienie, a ludzie w nim pogrążał. Żartownisie mówią, że nie cień pada, a to jakiś eufemizm tego, że Czarny Pies Petersburg oznaczał dom, po prostu podnosił nogę, ale żartować o tym u nas wszystkich odczyli. Coś podobnego przychodzi i teraz - najpierw myśleliśmy, że to zwyczajnie silne promieniowanie, komórkobójcze, a potem postanowili nie mnożyć znaczeń. Daleko na "Awtowie" nawet konia wodnego widzieli, co tu dyskutować, wszystkiego stąd nie widzimy, co tam jest na rzeczy.

- Wodnego konia? Behemota? A co jest tam na "Awtowie"?

¹⁸ Kapitan pierwszego stopnia

¹⁹ Dzielnica Petersburga

²⁰ Dostłownie - pawłowskie psy; wg tłumaczenia P. Podmiotki - psy Pawłowa

- Na "Awtowie" jest dom wariatów. Albo był dom wariatów - ale tej stacji w ogóle nie zrozumiesz. Tylko przed "Awtowem" jest jeszcze "Kirowski Zawod", a tam jest "Kirowska brygada", z których nie żartuj. Oni bez żadnych psów rozrywają, jak piesek termostat.

Gubajłowski dość rozsądnie opowiedział mi, co i jak jest poukładane w podziemnym Petersburgu. A było w nim kilka podziemnych miast i dziesiątki niezależnie żyjących stacji.

Wielkie miasto rozciągało się pod Instytutem Smolnym z oddziałami w kierunku Wielkiego domu²¹ i ogromnych podziemnych bunkrów. Było miasto targowe na Siennej-Sadowej, całkiem głupie - to w terminologii Gubajłowskiego zabrzmiało jak niewiadomo kto niewyraźnie uprawniony. Było półwojskowe miasto na "Placu Powstania" w bazie bunkrów i sztabu MCzS²² i było technokratyczne miasto na "Technolożce"²³.

Cały ten podziemny świat był prawie jak moskiewski - był, ale nie aż tak. Niewiele różniły się tutaj zasady, kilka miało inne brzmienie. Różnice leksykalne: katastrofa i kataklizm, chodnik i ścieżka, bułka i baton - wszystkie te niuanse nigdzie nie zniknęły. Tylko zrozumieć, że oni istnieją, nikomu nie było. Moskwian w tym mieście od dawna nie widzieli.

Gubajłowski jednak mówił, że ekspedycje do Moskwy były regularnie wysyłane, ale ani jedna nie wróciła. Ludzie z "Technolożki" wybudowali nadajnik z anteną na powierzchni, ale wybuchł lokalny konflikt, nadajnik spalono i znowu wszystko stanęło. Logika życia podsunęła dwa miasta do kontaktu, ale tylko zniknęła, jakby zły los ciążył nad odległościami, że ich rozdzieliło.

Jednakże była też śmieszna historia - na południu, w "Kołpinie" zdaje się, powstała utopijna komuna, która, przy użyciu starej technologii, zaczęła ryć tunel w kierunku Moskwy. To był projekt odkurzonych stalinowskich planów zmiany geografii, a jak on się skończył, Gubajłowski nie wiedział - kontakt z utopistami się urwał. Możliwe, że podzielili los wszystkich innych utopijnych komun.

Pojawił się Matematyk ze swoim uzbrojeniem i długo rozmawiał z naczelnikiem. O czymś tam zgodzili się, ale nie wiadomo o czym. Potem Matematyka oddelegowali do poznanego już przeze mnie Gubajłowskiego. Naczelnik podał mu otwarty dziennik, w którym była powielona notatka.

Korzystając z tego, że nikt mnie nie odganiał, przeczytałem tekst przez ramię Gubajłowskiego. To był telefon jakiejś Leny, adres, kilka niezrozumiałych słów, widocznie odnosiły się do jakiejś Waśki.

Zdaje się, że Matematyk był podobny do mnie - on także szukał kogoś, bardzo dla niego ważnego. Może to jego siostra? Albo matka? Albo Waśka jest bratem?

Gubajłowski uśmiechnął się do mnie, widocznie zapomniałem się i zadałem ostatnie pytanie na głos.

- Dotrzeć tunelami przez centrum nie u was nie zadziała. Najdalej, gdzie dojdziecie, to do "Czernyszewskiej". W centrum tam mamy działania wojenne. Wstyd powiedzieć, czemu jest wojna. Przyjdzie wam dostać się do "Gorkowskiej", co tam teraz jest, nie wiem. Długo ją remontowali i mało prawdopodobne, czy wam tam pomogą, ale spróbujcie. Dalej pójdziecie do "Newskiego"²⁴ i "Gostinki"²⁵, a stamtąd dojdziecie gdzie chcecie. Najprawdopodobniej tylko, tam znajdziecie w końcu waszą Lenę. Zrobimy wam kopię mapy.

Gubajłowski poprawił mundurowy krawat, zamyślił się, a później, widocznie wstrzymując się, niczego nie powiedział. Ale mimo wszystko medycy wojskowi obiecali nam pomoc, sądząc po wszystkim, oni mieli jakiś interes, który łączył się z interesem Matematyka. No właśnie, skąd mam wiedzieć? My z Władimirem Pawłowiczem mogliśmy gadać o mechanizmie, w którym obracały się te zębaki. Nosilo nas po ziemi i później byliśmy żywi. A już ja miałem własny cel, o którym wołałem nie rozpowiadać. O nim dowiedział się tylko Władimir Pawłowicz, a i jemu rozpowiadać nie było na rękę.

Pomieszkaliśmy na stacji trzy dni i ja zaprzyjaźniłem się z Gubajłowskim. Zostaliśmy na ty i doża część mojego czasu spędzałem w jego laboratorium.

- Słuchaj, a co jest za zasada ze świniami? - kiedyś spytałem się go.

²¹ Siedziba oddziału Federalnej Służby Bezpieczeństwa

²² Ministerstwo do Spraw Nadzwyczajnych

²³ Stacja Instytut Technologiczny

²⁴ Stacja Newski Prospekt

²⁵ Stacja Gościnny Dwór

- Zasada jest bardzo prosta. Badaliśmy mutacje delta i byliśmy zaskoczeni tym, co dzieje się ze świniami, one zaczynają działać wspólnie. One wcześniej już były zwierzętami bardzo mądrymi i do tego też społecznymi i wtedy zaczęliśmy obserwować u nich wspólne myślenie. U nas jest tylko jeden biolog i ogólnie on uważa, że mutacje delta to rzecz, która zatrzymuje wspinaczkę po szczeblach ewolucji i zaczyna zejście. To znaczy, że idzie nie ewolucja, a inwolucja i zwierzęta, w tym także i człowiek, degradują. Taki normalny zawyły wywód, ale u świńskiego zarodka widoczne są zaczątki pięciu palców i głowa z twarzą u embriona kropka w kropkę pokrywają się z twarzą małpy.

- I co, świnie zmieniły się w ludzi?

- Prędzej, ludzie w wyniku huraganowej inwolucji przemienili się w świnie - powiedział Gubajłowski. - Na wszelki wypadek przenieśliśmy miejsce pracy o mutacjach świni. Nie trzeba tego, nie warto drażnić ludzi. Nie mówiąc już o tym, że staraliśmy się huraganowymi albo, jak mówicie, mutacjami delta przystosować ludzi do przetrwania w ekstremalnych warunkach: w podwyższonej radiacji, w miejscach lokalnego skażenia chemicznego, ze złą wodą i jedzeniem. Coś udało się uzyskać, ale cena była niewiarygodnie wysoka. Wydaje mi się, zrobiliśmy wtedy niektóre potwory.

- Co, bezpośrednio zrobiliście? I Konduktora waszego?

- Konduktora! Weź spierdalaj.

Z jakiegoś powodu zezłościł się. Zapewne, tak zezłościłby się na "Pietrogradzkiej", gdybym splunął na Carycę nocy lub powyrywał jej kwiatki. Nie, o Konduktorze trzeba było nie mówić, Konduktor był tutaj, jak mówili, głupim tematem.

- Wynos się stąd - powiedział Gubajłowski. - Mam jeszcze pełno rzeczy do roboty.

I on, nie mówiąc więcej ani słowa, wystawił mnie za drzwi.

Więcej się z nim nie widzieliśmy.

Zrozumiałem, że będziemy mieli dużo trudności, kiedy zobaczyłem, ile będziemy musieli nieść na sobie - prawie wszystkie nasze rzeczy, przywiezione z Moskwy. Ale cóż, służba nie drużba: właśnie tak zdefiniowałem nasz status z Władimirem Pawłowiczem, chociaż on nigdy nie dyskutował. Ładunek akurat wszedł do zielonych kapronowych plecaków, wymienione na coś Matematyka.

Matematyk wziął nas dalej w drogę, pokazaną przez wojskowych, przez niedokończony odcinek między stacjami "Sampsoniwską" i "Botaniczną". Wojskowi dali zgodę na przejście przez kontrolowane terytorium, ale nie dali żadnej gwarancji na przejście tunelu.

Tunel był normalny, typowy dla takiej struktury, tylko nie było nam dane długo nim wędrować - trafiliśmy na zawał.

Matematyk sprawdził specjalistyczne mapy i zaprowadził nas do kolektora. Zdawało się, że tutaj obok idzie gigantyczna rura głęboko położenia - od czterdziestu do dziewięćdziesięciu metrów - z wyjściami do kanalizacji burzowej i kanalizacji. Ubraliśmy się i ruszyliśmy dalej.

I prawda, mapy nie kłamały. Tunel był duży, w kształcie ośmiokąta, ozdobionego cermetem. Wody było mało, tylko tło mi się nie podobało, w osadach na dnie było znacznie bardziej, niż się spodziewałem.

Wiadomo było, że cały radioaktywny piasek spływa tu z powierzchni. Pragnienie bezpieczeństwa obróciło się przeciwko nam - liczniki oszalały i piszczały, jak kocięta w worku. Już lepiej byśmy szli w stronę "Botanicznej" drogami do "Gorkowskiej", aby dotrzeć do "Gorkowskiej" górą.

"To by było takie proste - zastanawiałem się. - Rzut kamieniem - nabrzeżem przy Dużej Newce górą, przez Most Sampsoniewskij. Może żadnych psów nie byłoby wokół, a tam..."

I ze smutkiem wspomniałem przejrzyste jasnoniebieskie niebo. Przyzwyczaiłem się już do gotowości, kiedy wszystko idzie jak po maśle. A tutaj "jak po maśle" już dokładnie nie było.

Szliśmy i szliśmy, obserwując w świetle czołowych lamp boczne odnogi i zmiany w barwie ścian tunelu. Takich tuneli nienawidziłem - wąskie, z ciężkim duszącym zapachem. Do budowniczych nie miałem pretensji, wszystkiego tego nie budowali dla ludzi.

Ale ki diabeł zaprowadził nas na te galerie? Naprawdę trzeba było właśnie tak i tutaj złapać swoją dawkę? Chociaż nie podobała mi się nie tylko radiacja, nie podobało mi się wszystko.

Kiedyś mi mówili, że niepokój w człowieku, szczególnie w tym, kto wiele lat żył w tunelach, powoduje zwykłą drobnostka. Na przykład niewielki skok ciśnienia albo małe wahania temperatury.

Organizm przywykł do życia bez zmian, a kiedy coś się zmienia, to wszystko w organizmie nawala. A kiedy coś się dzieje, to znaczy dzieje się jakaś głupota, to świadomość łączy niewydolność organizmu z incydentem i nazywa to wszystko przecuciem.

Wtedy oblałem się potem, nogi w kombinezonie ochronnym przemokły, przy czym przemokły od wewnątrz od ciekącego potu. Przeczucie było trochę nad wyraz duże i ono mnie, niestety, nie oszukało.

Zacząłem się uspokajać i kiedy przeszliśmy dość daleko, to za nami rozległ się dziwny dźwięk. Matematyk z Mirzo z jakiegoś powodu nie zwrócili na niego uwagi, a my z Władimirem Pawłowiczem obróciliśmy się i jeszcze jak się obróciliśmy, dlatego że chodziliśmy w Moskwie po systemach kolektorów, a oni widać, nie.

Dźwięk narastał i to był odgłos spadającej wody, on się nasilał i nasilał, przechodząc w rumor.

Woda zaczęła bić po nogach, gwałtownie podnosząc się do kolan i szybko pobiegliśmy do szybu łączącego.

Tylko skąd my wzięliśmy siły! Ściągałem się przez tunel, prawie nie odczuwając na plecach ciężkiego plecaka z pudłami, automat latał mi na piersi, starając się wybić zęb tłumikiem płomieni. Władimir Pawłowicz też uciekał gdzie pieprz rośnie, tak, że nawet nasi pracodawcy, ludzie ćwiczący, byli nieznacznie z tyłu.

Woda sunęła obok nas, rozsiewając smród i pianę. Nadal wszyscy biegliliśmy wolniej od potoku i unosić w nim kolana było coraz trudniej. A już na pewno to, czego nie będę w stanie zrobić, to w nim pływać. Wątroba bolała mnie w boku. Stary Kim zaszczerpił we mnie ćwiczenia oddechowe, ale biegać mnie nie uczył. Nikt nikogo nie może nauczyć biegać po technicznych tunelach w okolicy stacji "Sokół", tam nie ma miejsca. A teraz przychodziło mi umierać z powodu tej słabości. Nawet kłąć nie miałem siły, a woda sięgała już do pasa i słyszałem tylko jej szum, zagłuszający i ciężkie dyszenie, i szalony pisk dozymetrów.

W końcu wbiegliśmy do szybu i, jak małpy, weszliśmy na żelazną drabinę.

Dokładnie pod nami gwałtownie wpadła woda podnosząc zieloną pianę. Dozymetr nie przerywał piszczenia, zrozumiałem, że to radioaktywny osad, pełno go było w niepewnym potoku wody. A wody przybywało, zaraz zalewając prawie cały tunel. Określić, gdzie granica płynu i piany, nie byłem w stanie.

Przywiązaliśmy skrzynie do drabiny i usiedliśmy na szczepkach, jak wrony. Prawda, szybko uspokoiliśmy się, prawie nas nie wzruszył powiew powietrza z tunelu, a potem wszystko się uspokoilo. Szum ucichł, woda opadła w dół, niewidoczna pod warstwą piany, ale nas trochę zachęciło.

Co było robić dalej - nie wiadomo, tym bardziej, że wody przybywało.

Ale nie było smutku... Poczułem, że na mnie jeszcze z góry się leje. Jakieś skaranie boskie! Długo tak siedzieć nikomu z nas się nie chciało, dlatego że czas działał na naszą niekorzyść.

Można, oczywiście, jak mokre, smutne ptaki siedzieć tu, oczekując momentu, kiedy woda opadnie, ale, po pierwsze, ona naprawdę śmierdziała, a po drugie, nie wiadomo jeszcze, kto do nas przyplynie z dołu. Pociuszające było, że oddech mi się normalizował, serce dłużej nie kołatało, a wątroba już nie bolała. To jest to, co nazywają "złapaniem oddechu".

Na górze jest strasznie, ale tutaj jeszcze straszniej i wyszliśmy na górę, na światło. Drabina była kiedyś pomalowana czerwoną farbą i dokładnie przed oczami widziałem jej pozostałe kawałki, rdzę, małe kawałki cementu, pozostałe na wewnętrznej stronie drabiny, zapewne z czasów budowy.

"Do światła, do światła" - mrucałem, jak zakłęcie. Tylko wtedy, kiedy jest to konieczne do poruszania się po podziemiach, tak to jest do światła.

Byłem na samej górze i to mi przyszło odsuwać ciężki żeliwny wąż. Byłoby szkoda poddać się szalonej wodzie, będąc już prawie że na powierzchni, ale wąż w ostatnim momencie poddał się i jeden za drugim wypadliśmy na chodnik. Wszyscy leżeliśmy plackiem, ciężko oddychając. Szczęście nam dopisywało, ponieważ nad studzienką mógł stać samochód, wąż mógł być zawałony gruzem, przez te lata żelazo mogło szczelnie złączyć z jego osłoną, nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Niczego sobie dzionek, pobyliśmy i małpami, i ptakami, i żabami, tylko nie staliśmy się rybami - i w tym rzecz! Było widoczne, że tutaj, na powierzchni, dopiero co padał deszcz - popękany asfalt szybko wysychał, woda parowała.

Odpczawszy wyjęliśmy plecaki z szybu i zaczęliśmy się rozglądać. Co to było za miejsce, tak ja nie wiedziałem, tak i Matematyk nie mógł znaleźć nas na mapie. Tabliczki na domach usunięto i pozostawało tylko orientować się przy pomocy kompasu.

I znów się ruszyliśmy, nie bardzo wiedząc gdzie, przez jakieś podwórka.

Matematyk prowadził grupę specjalnym zygzakiem, starając się iść tak, żeby widzieć otoczenie i samemu ukrywać się w cieniu.

Ja w duchu zgadzałem się z Matematykiem. W nieznanym miejscu trzeba mieć najlepszy widok, kontrolując przestrzeń wzrokiem na dalszych podejściach. A samemu trzeba było trzymać się ścian, żeby wykorzystać ostatnią szansę i w razie czego śmignąć do wejścia lub podjazdu. W wejściu, oczywiście, być może, też cię zezrą, ale nadal będziesz żył trochę dłużej niż w szponach tych pseudomew, które mogą obserwować cię w ciemności.

Skręciliśmy w prawo, potem w lewo, mijając jakąś cerkiew i nagle znaleźliśmy się na opustoszałym Prospekcie Kamiennooostrowskim. I wtedy właśnie upadliśmy na chodnik, który, nawiasem mówiąc, mocno tu popękał i porósł twardą, żółtą trawą.

I tutaj dostrzegłem czarną figurę samotnie wędrującego człowieka. Podnieśliśmy lufy, ale człowiek udał się dalej, jakby nas nie zauważył. Bardzo mi się nie podobał ten człowiek, było w nim coś przerażającego i zastanawiałem się, czy to nie jest ten Konduktor. Ale postać zniknęła i jakoś się nam upiekło.

"Gorkowska" okazała się być opuszczoną stacją. Westybul był zakryty workami z piaskiem, które, prawda, zgniły, rozpadły się i barykada osiadła. Na nasze szczęście schody ruchome nie rozpadły się i ostrożnie zeszliśmy na dół po pokrytych pleśnią schodach. Im niżej schodziliśmy, tym bardziej powietrze było bardziej wilgotne. To nawet nie był zapach krypty, a zapach opuszczonych podziemnych sztolni pod ruchomymi piaskami.

Jednak była tutaj elektryczność. Od czasu do czasu błyskała jedyna lampa pośrodku przejścia, a kiedy dotarliśmy do peronu to zobaczyliśmy, że chociaż słabo, to on jednak był oświetlony. Tylko nie można było na niego wejść - peron był zalany czarną wodą na poziomie dróg.

Milczeliśmy i w ciszy było słyhać, jak miarowo spadają z sufitu duże, napełnione mroczną siłą krople. Nie było gdzie iść - no chyba że płynąć.

Dobrze, że zostawiliśmy skrzynie na górze, bo przyszłoby nam wspinać się z nimi z powrotem. Z ciemności dotarł nowy dźwięk i, zdaje się, to był plusk wioseł. Wyobraziłem sobie, jak teraz z ciemności, niczym Stieńka Razin²⁶ na łódce, wynurza się surowy i nieugięty mieszkaniec Petersburga.

Ale nie, z ciemności żadna łódka nie wypłynęła, za to zobaczyliśmy, że z jakiegoś powodu, starając się nie hałasować, ale bardzo szybko, zaczęli się podnosić na powierzchnię. Cała rzecz w tym, że po stacji pływała wielki wodny wąż. Ale co tam, cała czarna woda okazała się być Śiwą²⁷, coś tam pływało i grzebało się, szło jakieś wewnętrzne, ukryte pod wodą życie. Sami nie rozumiejąc jak, w minutę wróciliśmy na górę i wpadliśmy prosto na grubą warstwę kurzu w westybulu.

Nagle nasz Tadżyk bezgłośnie zeskoczył z podłogi i cień rzucił się w bok. Obróciwszy się, pokazał Matematykowi jeden palec: mówi, że tam za barykadą jest jeden człowiek.

Miałem ból brzucha i z tęsknotą pomyślałem, że Konduktor jeszcze przyszedł za nami.

Okazało się, jednakże, że obok stacji na połamanej ławce siedzi wesoły, maleńki człowieczek i macha nam ręką. Nie był uzbrojony, raczej jego karabin był oparty o ławkę, a przy takiej beztroscie prędzej uznałbym człowieka za bezbronnego.

Człowiek okazał się być jakimś Siemieckim²⁸. Przedstawił swoje imię z dumą i spojrzał na nas wzrokiem: powiedz, co wy na to?

Spojrzeliliśmy po sobie i wzruszyliśmy ramionami. Żadnego Siemieckiego nie znaleźliśmy.

- No oczywiście, że jestem poetą. - Siemieckij prawie wyśpiewał ostatnie słowo.

- Poetą, to dobrze, to wspaniale. - uspokajająco powiedział Władimir Pawłowicz. - No a w świecie kim pan jest?

- Byłem stróżem w zoo.

To nas zaalarmowało. Po pierwsze, stróża w zoo nieczęsto spotykasz, nie mówiąc już o tym, że żadnego ogrodu zoologicznego, jak przypuszczam, od dwudziestu lat tutaj nie było. Po drugie, ten nasz poeta mógłby nas ostrzec, gdzie leziemy. Jak się okazało, on nas długo obserwował, jeszcze od czasu, kiedy tylko wyszliśmy na prospekt.

²⁶ Stiepan Timofiejewicz Razin (Stieńka Razin) - Kozak doński, przywódca powstania przeciw carskiemu samowładztwu w 1670 roku. Bohater pieśni "Wołga, Wołga..." i pierwszego rosyjskiego filmu fabularnego.

²⁷ Bóstwo hinduskie

²⁸ Jurij Michajłowicz Siemieckij - pierwowzór wielu bohaterów rosyjskich książek, zawsze ginie. Co roku przyznawana jest nagroda "Za najlepsze literackie zabicie Jurija Siemieckiego".

Ale dzielić się tą wiedzą jakoś nam nie przychodziło. Żywy człowiek, przychylny dla nas i nie mutant - to ma dużą wartość w obcym mieście.

Siemieckij wyjaśnił:

- Niczego nie zdziałacie na "Gorkowskiej". Tam aż do "Newskiego prospektu" jest jezioro, wcześniej była zaporą hermetyczna, ale potem zwyczajnie zamknęli tunel, już dwa lata nie było wyłomu. To przy tym, że tam jest nachylenie sześćdziesiąt procent.

Władimir Pawłowicz poprawił swoją kolejarską czapkę i uśmiechnął się ironicznie:

- Tego już się domyślamy... Dziękujemy, drogi towarzyszu.

- No tak z obu stron zamknęli. A tunel w stronę "Pietrogradzkiej" po prostu zasypali, kiedy pojawił się u nich przeciek, to jest jak Wymycie. Słyszeliście o naszym Wymyciu? Mieliśmy trzy Wymycia.²⁹

Matematyk przerwał mu:

- A jak możemy się dostać na "Ogród botaniczny"?

Siemieckij zerwał się i jakoś zaskakująco wysunął dolną wargę.

- Ogród botaniczny" znam dobrze. Tylko miejsce głupie. Jest wam potrzebne? - powiedział były stróż.

Spytaliśmy, co tam tak naprawdę jest.

- No już nie jest tak łatwo w "Ogrodzie botanicznym", tam była wojna traw - odpowiedział Siemieckij.

Miałem wrażenie, że to poetycka metafora, ale nie, okazało się, że po mutacji delta roślinni mieszkańcy "Ogrodu botanicznego" zaczęli dosłownie walczyć o miejsce pod słońcem.

Przy czym chodziły słuchy, że te rośliny stawały się inteligentne. Siemieckij w to nie wierzył, ale mówił o tym z dumą: tam, miasto mamy takie, nawet krzewy mają swoje własne zdanie. Chciałem mu zwyczajnie powiedzieć, że jesteśmy z nim jedną krwią i ja też urodziłem się w tym mieście, ale przemilczałem to. Najważniejsze, że on znał dozorcę pozostałego przy życiu.

Ruszyliśmy dalej i zrozumiałem, dlaczego "Ogród botaniczny" wydawał się Siemieckiemu głupim miejscem. To dlatego że żadnego ogrodu nie było, ale co jeszcze bardziej zaskakujące, nie było rzeczki Karpowki³⁰, zaznaczonej na mapie Matematyka. Z jednego brzegu na drugi ciągnęły się ogromne pnie jakichś roślin, podobnych do pnączy winorośli. W odkrytych miejscach rozciągały się ogromne lilie mające około dziesięciu metrów średnicy.

Wyobraziłem sobie, jak wyciąga się taki trzon, pełnie jak wąż i chwyta kogoś z nas za nogę. A potem ta dziwaczna roślina po kolei wsadza nas w usta jakiejś roszarki z mutacją delta. I tak to się wszystko kończy.

Zeszliśmy na "Pietrogradzką" i zaczęliśmy szukać dozorcę. Najpierw, oczywiście, czekaliśmy na niego na stacji, dlatego że dozorca, jak nam powiedzieli, poszedł do Carycy nocy. To było trochę dziwne, dlatego że nas kilka razy ostrzegali, że nocami na powierzchni robi się niebezpiecznie. Ale okazało się, że główną rośliną w "Ogrodzie botanicznym" po wojnie traw stała się Caryca nocy.

Ten angielski, krajobrazowy styl, którym szczycił się "Ogród botaniczny", zniknął na zawsze. Nie wiem, jak wojna traw, ale przypominało to wszystko wynik strasznego kwiatowego wybuchu - rośliny były rozrzucone w różne strony, misternie splotły się ze sobą, jakby nadal chcąc uczestniczyć w niekończącej się bitwie.

A po środku tego wszystkiego rósł kaktus Selenicereus, który rozciągnął łodygi po resztkach rozbitej szklarni. Teraz kaktus nie bał się ni chłodu, ni wiatru i kwitł nie jedną noc w roku, jak wcześniej, a każdego wieczoru z nastaniem ciemności zaczynał ruszać buro-żółtymi płatkami, pokazując biało-żółty, gigantyczny kwiat, mający ponad metr średnicy.

Następnie cała przestrzeń "Ogrodu botanicznego" wypełniła się zapachem wanilii i cynamonu. Ten zapach rozprzestrzenia się na całej Wyspie aptekarskiej, płynie nad wodą i bezludnym miastem. I każdy, kto zdejmie maskę przeciwgazową lub respirator, przedzierając się przez ruiny, może go poczuć.

A jeśli poczuje go człowiek żyjący przed Katastrofą, przypomina sobie mgliście wszystko, co było u niego w dzieciństwie: i komfort domu, i ciepło dziecięcej pościeli, i to, jak szcękają naczynia w kuchni, i jak idą stamtąd zapachy spokojnej radości, pasztecików i bułeczek.

Oto czym była Caryca nocy - wielkim kaktusem prowadzący miasto.

²⁹ Oryginalnie Размыв (Razmyw)

³⁰ Karpowka - jedno z ramion Newy

Mieszkańcy "Pietrogradzkiej" modlili się do niej, jak do bóstwa, wierząc, że ona nie tylko daje im do jedzenia swoich poddanych, ale i chroni od biedy i nieszczęść. Nie wszyscy z widzieli sam kwiatek, ale, jak nas ostrzeżono, w żadnym wypadku nie można powiedzieć o niej ani słowa w zaniedbaniu. Wtedy wasze ziemskie dni kończyły się.

Zamiast zniszczonego kiedyś przy pożarze, jeszcze na długo przed Katastrofą, witrażu z Komsomolcami i innymi sowieckimi symbolami mieszkańcy stacji wyłożyli na ścianie ręcznie robioną przedstawiającą Carycę nocy.

Prawie że się nie uśmiechnąłem, zobaczywszy tę sztukę ludową, ale do czasu - po pierwsze, ktośby to chciał zniknąć za brak szacunku do świętych miejsc innych ludzi, a po drugie, nie ma co się śmiać z ludzi, którzy sobie żyją, dają żyć innym, zaopiekowali się tobą i dali schronienie. A już kto w co wierzył, nas w ogóle nie obchodziło.

Jeden z mieszkańców "Pietrogradzkiej" zapewnił nas, że na południu i w ogóle traktują jak boga Stalina, a pierwszego budowniczego metra Kaganowicza jak proroka jego.

I co mamy zrobić? Palce zgiąć, zwzywać gospodarzy? Po nic

Dozorca pojawił się następnego dnia, widocznie, po spotkaniach i modlitwach. Okazał się być siedemnastoletnim chłopcem. Jednak Siemieckiemu wydało się to normalne. Obróciwszy się do nas wyjaśnił, że to od dawna ustalona dziedziczna funkcja - to już wnuk tego dozorczy, co zastał Katastrofę. Obowiązek dozorczy polegał na tym, żeby być pośrednikiem pomiędzy roślinami i ludźmi.

Dlatego w pobliżu "Pietrogradzkiej" życie toczyło się silnie i nieprzerwanie. I z powierzchni podziemny lud dostarczał roślinny pokarm. Przy czym całkowicie godne siebie, nie aktywne. Dotarliśmy na staję akurat w czasie spotkania Stacyjnej Rady - najlepsi ludzie podziemnego miasteczka rozwiązywali kwestie mieszkaniowo-komunalnego sensu w kręgu po obrazem Carycy nocy. Oni cicho dyskutowali i nikt do nich blisko nie podchodził, żeby, nigdy nie wiadomo, nikt nie usłyszał botanicznych tajemnic.

Stacyjna Rada dlatego przypominała mi zebranie kapłanów na chwałę potężnego kaktusa.

Zostałem poproszony o popatrzenie na szklarnię i dozorca z wyraźną przyjemnością powiedział, że nocą to może robić tylko dedykowane. Ale nagle okazało się, że dozorcę zaczęli prosić o nas naczelnik stacji i Stacyjna rada. Domyśliłem się, że rzecz nie we mnie, a w Matematyku, on pociągał za jakieś swoje sprytnie dźwignie i dozorca, z ciężkim sercem, wyprowadził nas o zmierzchu na zewnątrz.

Po drodze spytałem go o zmutowane rosiczki. Bardzo chciałem zrozumieć, czy mające mutacje delta rośliny nie jedzą ludzi zamiast much, chociaż z książek wiedziałem, że w rzeczy samej one tak naprawdę much nie jadły.

Chłopak zasmucony przewrócił oczami, wszystkim dając do zrozumienia, że przysłał mu Bóg pierwszego Moskwianina w życiu, a on okazał się być idiotą.

- Dlaczego nam cały czas widzą się rośliny-ludojady?! To wszystko miejskie legendy, to wszystko od ignorancji. U nas jest symbioza! Symbioza, rozumiecie? Nie ma niczego piękniejszego niż symbioza człowieka i rośliny. I dlatego mam taką funkcję: nie nadzorca, a dozorca. Patrzę i obserwuję, ale nigdy nie pozwoliłbym sobie myśleć o roślinach jak o ludożercach. Symbioza - oto co najważniejsze, to pozwala nam się wyżywić...

- No tak - mruknął do siebie Władimir Pawłowicz - zbieranina grzybów na całym ciele.

Dozorca nie dosłyszał jego zdania i dlatego nie powiedział niczego dziwnego:

-Nie, nie, z grzybami my walczymy.

Ceremonialnie usiedliśmy w szklarni, splątanej łodygami, i dozorca zapalił starą lampę.

Ogromna roślina rzeczywiście powoli otwierała swoje kwiaty, podobne do wielkich białych słońc, tych, co widziałem w książkach na dziecięcych rysunkach - z promieniami wokół, rzadkimi i ostrymi.

Matematyk wyciągnął z torby dziwne urządzenie i powiódł nim w pobliżu terenu kaktusa. Dozorcę trochę zirytowało takie świętokradztwo, ale przemilczał to.

Nagle Nocna piękność wypuściła jakieś ośmiokątne macki i pokrył mnie waniliowy pyłek. Poderwałem się, otrzepując się.

Dozorca zaskoczony spojrział na mnie. Ale nie patrzył na mnie jak na wariata bezczeszczącego świątynię, a jak na ulubieńca. Okazało się, że to wielkie szczęście i znak na całe życie. Tylko się uśmiechnąłem.

Matematyk był niewzruszony - po raz kolejny podziwiałem jego zdolność stawiania swojego pytania, prośby czy warunku w odpowiednim czasie. I wtedy zbliżył się do dozorca i uprzejmie zaczął:

- Szukamy kobiety nazywającej się Suchowa. Powinna mieć jeszcze około dwudziestoletnią córkę.

On powiedział to tak, że wszyscy zrozumieli: od takich ważnych ludzi jak my wymagano znalezienia nieznannej kobiety.

- Suchowa? Suchowa u nas była, ale zmarła pięć lat temu.

- A córka?

- Córka żyła u nas na "Pietrogradzkiej", ale potem zwabili ją grzybiarze.

- A co to za grzybiarze?

- Narkomani. Oni nawet próbowali negocjować z Ogrodem, ale nic z tego nie wyszło. Do rozmów z Ogrodem nie wystarczy tylko znać język, a rozumieć rytuały rozmowy. Ale wszyscy grzybiarze żyją na Dybienko. W sensie na stacji "Ulica Dybienko" Chwileczkę... A wam po co to? W jakim celu pan pyta? Grzybami się pan interesuje?

- Pan mnie zadziwia - szorstko powiedział Matematyk i powtórzył: - Pan. Mnie. Zadziwia.

I było jasne, że to nie zwyczajne "nie", ale "jak pan mógł tak myśleć?".

- No dobrze - wyminął dozorca.

- Dziewczyna poszła do grzybiarzy, a to oznacza, że jej zostały dwa-trzy lata życia. Zresztą ja jej od zimy nie widziałem. Może ją jeszcze zatrzymał gdzieś Konduktor. - Przy tych słowach dozorca nerwowo wzruszył ramionami.

"Ech oni boją się tego Konduktora" - pomyślałem.

- A gdzie teraz jest ta dziewczyna? - ponownie bardzo uprzejmie, ale stanowczo Matematyk wrócił do tematu rozmowy.

- Jest jedno miejsce na południe stąd, w kierunku "Gorkowskiej". Tam, obok Placu Austriackiego, oni żyją. O tutaj... - Wskazał gałązką na mapie. - Tylko tam schronienie słabiutki, miejsce gnijące i już nie uratujecie dziewczyny.

- Dziękuję, było dla nas bardzo ważne, żeby usłyszeć pańską opinię - z pewną urzędniczą obojętnością Matematyk zakończył rozmowę i niewiadomo było, do czego odnosiły się jego słowa, czy to z ironią do "nie uratujecie", czy to do wszystkiego, co opowiadał dozorca "Ogrodu botanicznego".

Wracać się na "Pietrogradzką" nie chcieliśmy. Siemieckij z początku myślał, żeby zostać u dendrofilów, ale po niedługich rozmyśleniach zabrał się z nami. Ja jeszcze myślałem, czy nie ostrzec go, jakie niebezpieczeństwa czyhają na niego ze strony Matematyka. Już jeśli się obawialiśmy, czy nie załatwi nas na końcu podróży, jeśli zobaczymy za dużo, to już jego, przypadkowego pasażera, na pewno nie będą żałować.

Ale Matematyk odniósł się do Siemieckiego z aprobatą, on jawnie chciał wykorzystać go jak jednorazowego przewodnika. Prawda, kiedy Siemieckij postanowił przeczytać mu jako rodzaj prezentu swoje wiersze, spojrział na niego takim wzrokiem, że poeta odsunął się i mruknął z urazą coś pod nosem.

Zaczęliśmy zbierać się do drogi i żegnać się z dozorcą.

- Słuchajcie, a gdzie wy chowacie zmarłych? - spytałem od niechcenia.

- Co?

- No, typie, gdzie macie cmentarz?

- Cmentarz? Po co? My ich odnosimy do Ogrodu.

I postarałem się już o nic więcej nie pytać.

Nagle zaczął padać matowy, szary deszcz. Intuicyjnie lubiłem deszcz - woda zbijała radioaktywny pył, jeśli tylko gdzieś była. do tego jeszcze moje oczy nie do końca przywykły do obfitego światła.

Ogólnie przez ostatnie kilka tygodni zmieniłem się i ze zdziwieniem zauważyłem w sobie nowe nawyki.

Automat już nie wydawał mi się czymś niezwykłym i nie przygniatał mnie jego ciężar. Minął adrenalinowy szok pierwszych dni po przedstawieniu oferty Matematyka, zrobionym w słabym świetle żarówek na stacji metra "Sokół". Stałem się spokojniejszy, ale przy tym szybciej reagowałem na niebezpieczeństwo. Czasem przerażało mnie to, jak szybko przywykłem do nowej rzeczywistości, bo wcześniej myślałem, że po jednym przejściu między stacjami w Moskwie będę długo do siebie

dochodził, będę wpatrywał się w każdy szczegół i powoli obmyślał wszelkie zmiany. Ale nie, życie gwałtownie przeleciało obok mnie, a ja nie jestem zaskoczony.

Matematyk otworzył na ławce dziennik, żeby jeszcze raz obejrzeć przeklejoną w nim mapę. Odnaleźliśmy obszary z ocalałymi budynkami z zaleceniami naszego poety.

Gdzieś tutaj, w rejonie Placu Austriackiego powinni być aspołeczni ludzie, jak wyrażali się na "Pietrogradzkiej", "grzybiarze", jak ich nazwał dozorca i widocznie ci, których z jakiegoś powodu szukał Matematyk.

Domy tutaj nie były zniszczone, ale szkła nie było w żadnym oknie. Wyszliśmy na plac jak prawdziwe siły specjalne, uzbrojeni po zęby. Przodem Mirzo, chroniący ciałem swojego szefa, za nim Matematyk z pistoletem, dalej my z Władimirem Pawłowiczem po bokach i z tyłu Siemieckij ze swoim karabinem. Siemieckiemu nie bardzo wierzyłem. On jest dobrym człowiekiem, no ale nagle palnie gdzieś przed czasem. Ale strzelać nie było nam w kogo i jak raz od strzelby nas Siemieckij uratował.

Na prospekt z Wielkiej Monetowej wychodziły jakieś duże brudne-szare balony i jakby stworzone przez wiatr, zaczęły odchodzić znikając za narożnym domem. Balony były niedużymi, sięgającymi do kolana dorosłego człowieka, ale coś w nich było groźnego, jak w węzach, w różności pokonywanych dróg. Takie widziałem w starej produkcji koło podziemnej rzeki Myszokoczka.

Na sekundę przed tym, jak mogliśmy otworzyć ogień, Siemieckij teatralnie krzyknął:

- Nie strzelajcieeee! To ją balony! Balonyyy!

Jego ton był taki, jakby Siemieckij stał na scenie we fraku i czytał swój wiersz publice. Tfu, durniu! Aż wybuchłem śmiechem. Nie śmiali się tylko Matematyk i Mirzo.

Matematyk odwrócił się do poety i niezadowolony zauważył:

- Siemieckij! Sam widzę. Co to balony. Balony, a nie cylindry lub piramidy. Wyjaśni pan, co to są za balony.

- Co to za balony nikt nie wie. Nie mamy żadnej wiedzy o balonach. Ale to nie są zwyczajnie balony. To są balonyyy!

Co za głupek! On był jeńcem jakichś obrazów i Matematykowi potrzebne było około pięciu minut, żeby, potrząsając nim za fraki, wyjaśnić, że balony są bardzo dziwnym zjawiskiem. Pseudociałem jednym słowem. Rozprowadzające biologiczną masę, która mogła przybrać różne kształty, ale przemieszczała się, można powiedzieć, metodą toczenia się. Niebezpieczeństwo było w tym, że balonom od czasu do czasu potrzebne było żywe białko. W zasadzie było im wszystko jedno, co integrować w siebie: kawałek mięsa, kotka czy człowieka.

Siemieckij panicznie ich się bał, przy czym nawet nie bał, a respektował, to znaczy odnosił się do balonów jak do poezji, niewiadomemu, ale osobiście do niego odnosząc się jak do bóstwa.

Przeczekaliśmy trochę, ale nic więcej nie wychyliło się zza rogu.

Dosyć szybko znaleźliśmy ten dom, o którym mówił dozorca. Tutaj rzeczywiście były ślady ludzi i już na pewno nie sprzed dwudziestu lat.

Nie podobało mi się to miejsce. Jakaś nieczystość tu była, chociaż nikt nie nasrał w pustym uroczystym pomieszczeniu, no i pachniało nie stęchlizną, a, jak wszędzie, kurzem i sprężonym czasem.

Siemieckij, czując, że rzecz pachnie pieczonym, powiedział, że będzie spał na zapleczu, że stąd jest lepszy widok. Jasne, widok! Uwierzyłem w ten widok, pewnie po prostu miał nadzieję uciec, zeskakując na zardzewiały dach dobudówki. Bądź moja wola, poradziłbym mu to zrobić, nie czekać na okazję, tylko tak, profilaktycznie. Nie chciało mi się o nic pytać i czekałem niewiedomo na co. Tak minął dzień i zasnąłem, budząc się kilka razy w nocy i uważnie rozglądając się dookoła.

Trzeba było zbierać się, ale Matematyk kazał nam nie rozmawiać i czekać. Potrzebni mu ludzie pojawili się tylko do następnego wieczoru.

Mirzo usłyszał szelest w domu wcześniej od nas. Matematyk zablokował drzwi tego pokoju, gdzie spał Siemieckij, porządną belką.

Ale dźwięk ten tu już ucichł. I spędziliśmy dzień, cicho przemieszczając się po pokojach i rozmawiając szeptem.

Nie mając nic lepszego do roboty wędrowałem pośród połamanych mebli i odkryłem, że w jednym z pokoiów dokładnie pośrodku w podłodze była dziura. Prawie bym wpadł do środka, gdzie zamiast mnie zalegała sterta gazet i czasopism.

Sto lat temu to były, zapewne, książki w twardych oprawach albo zbiory ze statystyki jakiegoś profesora ekonomii, a ja zrzuciłem przez gzyms "Znamię" i "Nowyj mir"³¹ - te czasopisma, które czytałem kiedyś w opuszczonej bibliotece obok stacji "Aeroport". Czasy się zmieniły, a więc także wartości. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że na niższym piętrze także jest dziura podobna do mojej i w ciemności w ogóle nie było widać, do jakiego piekła trafiła prawdziwa literatura zeszłego wieku.

Potem znalazłem szafę, w której znajdował się trup szczura - wyschnięty i zmumifikowany. Obok były plastikowe koryta, a w nich, zapewne, było wcześniej jedzenie, które zmieniło się w szary proch. Były tam jeszcze butelki - jedna rozbita i druga zwyczajnie pusta ze zniszczonym korkiem.

Niczego więcej tu nie było, tylko na zapleczu znalazłem prawdziwe biurko, zawalone zakurzonymi książkami. Obok na ścianie było napisane niezrozumiale: "Lucas, jestem na Waśce"³², jakieś bzdury i dziwne karykatury.

Było tam przedstawione dwoje ludzi na sobie i dziwne stworzenie z podniesionymi rękami na prawo od nich. Ten rysunek jawnie pokazywał jądrowego mutanta, przybłętego pożreć śpiących wieśniaków. Dla dopełnienia obrazu nieznanemu artyście dorysował do ust mutanta powietrzny dymek z jakimiś startymi już przez czas słowami w nim.

Na stole stał stary telefon z tarczą.

Odruchowo podniosłem słuchawkę i nagle w niej zatrzeszczało.

"Cholera, co jest - pomyślałem - nieoczekiwana elektryfikacja, czy co? Jakieś słabe pola?"

I bardzo ostrożnie odłożyłem słuchawkę.

Rankiem zjawił się Siemieckij. Jak myślałem, przewidziawszy strzał, skoczył na żelazny dach i przebiegnąwszy wokół domu znalazł sobie osobistą norę. A teraz znów wszedł po drabinie, idąc za dźwiękiem naszych głosów i zapachu ogrzewanych konserw. Zwyczajnie ten człowiek nie miał instynktu samozachowawczego, oto co twierdzę.

Wyszliśmy i bez żadnych przygód dotarliśmy do rzeki. Trochę przerażało mnie tylko to, że obsypana kolorowym pyłem głowa moja dziwnie swędziała. Wychodziło, że trzeba było iść przez Most Troicki do Pół marsowych, żeby na tą stronę. I tak poszliśmy.

Siemieckij męczył swoimi rozmowami Matematyka, Mirzo milcząc szedł obok, a mnie Władimir Pawłowicz potajemnie pokazał znak, żeby dać im nadażyć.

Kiedy zwolniliśmy, Władimir Pawłowicz z niepokojem powiedział:

- Zrozum, nie jesteśmy im dłużej potrzebni. Byliśmy im potrzebni, kiedy byłeś pilotem. Teraz samolot jest rozbity i udać się nie mamy dokąd. Pilota nie potrzebują...

- Dlaczego? Można naprawić. Nająć Piterców...

- A co by im obiecać? Miejsca w Szmaragdowym Grodzie? Nie rozśmieszaj mnie. Do tego jeszcze przyda się mieć jednego, a dwóch z nas wywalić. Nie pomieścimy się wszyscy w kokpicie. Spójrz na Siemieckiego, on ma intuicję zwierzęcia, czystą, dlatego że on sam w sobie jest po prostu zwierzęciem. Mówią, że wszyscy poeci to zwierzęta. Nasz matematyczny szef dlatego chodzi za nami, że swoim zwierzęcym instynktem rozumie: jemu potrzebna jest ochrona. On myśli, że my zastąpimy mu przyjaciół. Ale my znikniemy, a on tu zostanie, żywy lub martwy. Tu jest jego dom. A to po drodze do Moskwy, jeśli, oczywiście, będziemy mieli szansę wyruszyć do Moskwy, możliwość w każdym przypadku przyjdzie nam z tobą. Albo staniemy się po prostu niepotrzebni. Łuski po nabojach są przydatniejsze niż my, z nich można zrobić masę przydatnych przedmiotów. Można, oczywiście, stać się przydatnymi sługami-tragarzami. Oni obudzą się rano, a my im przeniesiemy kawę do łóżka. Czy słyszano o tym, żeby dorosłym facetom podawać kawę do łóżka?

- O czym ty gadasz? Jaka kawa? To jest cytat jakiś, nie wiem - próbowałem go przebić.

- Wszystko jedno, umiesz robić coś niezbędnego do życia? O właśnie. Ja nie. Zdaje mi się, że nie. A ty?

- I co robić?

- Myśleć, Sasza. Milczeć i cicho myśleć, jak możemy się do nich przyzwyczaić. Póki siła jest po ich stronie i buntu na statku nie planuję, no i tobie nie radzę. Trzeba wstąpić z nimi w symbiozę, zrobić tak, żeby naszym upiorom było korzystnie być razem z nami, a nie rzucić nas do przepływu przy pierwszej lepszej okazji.

³¹ "Znamia", "Nowyj mir" - rosyjskie miesięczniki o literaturze

³² Stacja Wasiliejostrowska

Dyszałem, dumając, jak to mogę być jeszcze użyteczny, z wyjątkiem jako bezmyślne zwierzęta pociągowe. Kawa, czy co, co rano parzyć? No nie ma tutaj żadnej kofeiny, oprócz w tabletkach.

- A poza tym - Władimir Pawłowicz, widocznie, postanowił mnie dobić - z czego postanowiłeś, że on jest ze Szmaragdowego Grodu?

- On sam powiedział, że... - zacząłem i zatrzymałem się.

No tak, cały czas brałem to jako oczywistość samo przez się. Gdzie jeszcze może być taki człowiek z jego wiedzą, z jego wyposażeniem. Nawet benzynę mają świeżą i te urządzenia... Skąd takie coś może być, gdzie wszystko to może, nie, nie przechowywane, a wytwarzane?

A Władimir Pawłowicz jest prawy, chodziły różne słuchy. Na przykład, u nas w Moskwie mówili, że jest taka realna siła - Baumańcy. To znaczy na stacjach metra i w podziemnych bunkrach przy Uczelni imienia Baumana, która dawno stała się uniwersytetem, zebrali się nie naukowcy, a inżynierowie i utworzyli swoją technokratyczną gminę. I w odróżnieniu od "czystych" uniwersyteckich, baumańcy zajmowali się prawdziwą inżynierią, stosownymi badaniami, wielokrotnie wychodzili na powierzchnię i niezauważalnie walczyli z "uniwersyteckimi" o władzę. Zresztą, to były tylko pogłoski. My już całą wieczność żyliśmy w świecie, w którym wszystko było oparte na pogłoskach, tylko że przez całą wieczność nauczyliśmy się tym pogłoskom nie dowierzać.

Podrapałem się po głowie i uświadomiłem sobie, że pręźnie rosną mi włosy.

Łysiałem, jak napromieniowany, ale napromieniowany nie byłem. Ponadto, czułem się o wiele lepiej niż za pierwszym razem powierzchni, a już znacznie lepiej niż kiedy lądowałem naszym sportowym Jakiem na nabrzeżu w pobliżu Dworca Fińskiego.

A potem z trwogą pomyślałem: "Nagle przychodzi mi przeżyć całe życie tutaj? Co wtedy?" Ale pocieszyłem się tym, że życie na powierzchni, nawet i w petersburskim metrze przy takich rozkładach będzie niezbyt długie.

Kręcąc głowami przeszliśmy przez most. I ponownie niczego niebezpiecznego nie zauważyliśmy: ciągle ta sama Newa, ta sama cicha pogoda i prawie gładka jak szkło tafla wody. Dotarliśmy do dworca nie po nabrzeżu, a po Milionowej, sprawdzając numery domów. Coś nie podobało się na nabrzeżu Matematykowi i nikt, nawet nasz poeta, nie dyskutował z nim.

Potem w prześwitach pasów zobaczyłem, w czym rzecz. Cały brzeg, nabrzeże i domy były pokryte jakąś połyskującą w słońcu szarą maź, przy czym maź ta oddychała i bulgotała.

- Co? Zwykła szarość! - powiedział Siemieckij widząc nasze zdziwienie. - To dobrze, a na Polu marsowym mamy ogień przez dwadzieścia kolejnych lat i to was z jakiegoś powodu nie interesuje. Albo tu z lewej jest dom, w którym umarł Puszkina. Chcecie popatrzeć, gdzie umarł Puszkina? Przy okazji, nocowałem tam i odkryłem w sobie poetycki dar. Właśnie tam okryłem. No więc, chcecie popatrzeć?

- Nas to strasznie interesuje, ale dawajcie dobry przyjacielu, pomówimy o tym później - odparł Matematyk.

A Władimir Pawłowicz cicho mruknął:

- Jemu Puszkina lirę sprzedał, a my ponosimy odpowiedzialność.

Jednakże, skończyliśmy gawędzić, dlatego że wyszliśmy na Plac Pałacowy i zatrzymaliśmy się, kręcąc głowami i rozglądając się. Po środku placu stała najprawdziwszego piękna kolumna. Byłem przygotowany do tego widoku książkami, ale coś w krajobrazie zmieniło się w stosunku do licznych pocztówek. Kolumna za to ostała się, ale z jakiegoś powodu trochę stopiła się, jak świeczka. A na szczycie kolumny stał, jak powiedziałby naczelnik stacji "Sokół", "anioł naturalnej wielkości". Anioł, prawda, trochę się zgiął, jakby rozmyślał, zeskoczyć czy nie.

A, oto w czym jest rzecz! Od jakiegoś nieznośnego gorąca krzyż stopił się i wypadł z rąk "anioła naturalnej wielkości", a skrzydła mu się złożyły. I nie anioł stał teraz na szczycie, a niewiadomo kto, przy czym depcze wiszący do góry nogami krzyż.

Cały plac wokół kolumny zarosła równą zieloną trawą. Ta trawa była naprawdę zielona, jakaś nienaturalnie zielona. Ale, jednak, co ja wiedziałem o trawie? Do czego ją porównać? Do rysunków w książkach, czy co? Jednak trawa cała była jakaś niesamowicie nienaturalna, jakby podrobiona.

I tutaj właśnie spotkaliśmy prawdziwego mutanta, a ja zrozumiałem, że te wszystkie pawłowskie psy były zwyczajnie nasionami słonecznika. Do nas przybliżył się jakiś kucharz-dryblas. Będzie on, jak przystało na mutanta, uformowany z jednych kości i ścięgien, wyposażony w kły i cały czas dychał jakby się ślinił, tutaj wszystko byłoby zrozumiałe.

Ale to było podobne do ludzkiej postaci, tylko jest znacznie wyższy - koło dwóch metrów. A to większe, tak. On był dosyć gruby, a na twarzy zastygł naprawdę nieprzyjemny uśmiech. Kiedy podszedł bliżej, pojąłem, że mnie przeraża. On był jakby z jednego kawałka, było na nim ubranie, czapka, spodnie, buty - wszystko tworzyło jedną całość z ciałem, choć były i różne kolory. Przy tym to nie był człowiek, a jakby parodia człowieka, kukła z przerośniętym nosem i pulchnymi rękami.

W cztery osoby zaczęliśmy walić w niego z automatów, ale on tylko radośnie pomachał do nas ręką. Przeszając z nogi na nogę, szedł do nas, odcinając od Mostu pałacowego.

I tu już nie do tłuszczy, byle być żywym. Rzuciliśmy plecaki i ruszyliśmy przed siebie przez wysoką trawę.

- Dawaj, poeta, dawaj szybciej - krzyknął Władimir Pawłowicz do Siemieckiego, ale bez skutku.

Nasz towarzysz, widać, już i tak nie był szczęśliwy, że wybrał się z nami. Biegać szybko nie mógł, a tylko machał rękami.

Przebiegliśmy na drugą stronę placu do Admiralicji, gdzie zaczynała się jakaś dżungla - rozwalony skwer był prawie monolityczny, ale między nim i ścianą Admiralicji zostało przejście.

Obróciliśmy się i znowu daliśmy nogę przez pseudokucharzem. Było widać, jak kula wchodzi w galaretowate ciało i utyka w nim. Pseudokucharz nagle obrócił się w bok i dostrzegłem, jak od strony Pałacowego mostu do nas podbiega kilka psów.

Prawie że od razu spościłem się i poczułem, że po wcięciu wzdłuż kręgosłupa, jak w strasznych snach, raczej, przy przebudzeniu, spływa mi zimny pot. Ale już po minucie zauważyliśmy, że psy nie widzą nas, coś przyciągało je do pseudokucharza. I właśnie, dziwny miał zapach, zapach, który już kiedyś znałem.

A później psy zaczęły czekać na pseudokucharza, jak na słonia. Kucharz tańczył i skakał w miejscu, jak postać komiczna, tylko że nagle z zewnątrz niewygodnie, ale bardzo dokładnie nadepnął na jednego z psów, a ten natychmiast przykleił się do jego ciała. Potem jeszcze parę schwytał rękami i z rozpędu usiadł na tyłku.

Podniósł psy, swoimi miękkimi na pozór rękami natychmiastowo złamał im grzbiety. Spojrzał na nie, podniósł na głowę i zaczął je zgniatać jak ciasto, a przynajmniej tak to wyglądało z boku. Psy zwiślały mu w rękach jak bezwładne szmaty, jakby od razu przeszły w inny stan skupienia.

Cicho siedzieliśmy na skraju skweru i obserwowaliśmy proces, obawiając się ściągnięcia na siebie uwagi. Mutant siedział Placu pałacowym i żarł Psy Pawłowa. To byłoby śmieszne, gdybyśmy się tak nie bali. Wtedy to był zamknięty i powiązany system - pseudokucharz jadł, a pozostałe psy patrzyły na niego, z jakiegoś powodu bojąc się i nie wając się ruszyć. Był u nich jakiś związek i nam zupełnie nie opłacało się naruszać go i wprowadzać trzeci punkt, nowy kąt w tej linii.

A mutant siedział i jadł. Przy czym robił to strasznie delikatnie, jakby miał w rękach nóż i widelec. Mutant grzebał się, wyrafinowanie podnosił psią nogę do ust, oblizywał się i poprawiał czapkę na głowie. Pseudokucharz przeciągnął się i znów wrócił do posiłku. Jeśliby mu wtedy przywiązać serwetkę, to tylko dopełniłoby obrazu - to był najprawdziwszy peterski mutant.

- Wiesz - powiedziałem do Władimira Pawłowicza - była taka anegdota o petersburżaninach - jeszcze przed Katakлизmem. O tym, jak inteligentny moskiewski programista poznał przez Internet petersburską dziewczynę. No, oni sobie tam slali po dziesięć listów dziennie, już żyć bez siebie nie mogli i oto on wybrał się do kulturowej stolicy do swojej ukochanej. Strasznie denerwując się przyjechał wcześniej rano, wałęsał się po mieście, żeby nie spotkać się zbyt wcześnie, a potem, w końcu zebrawszy się w duchu, stanął u niej na klatce. Tam ciemno i głucho, pachnie kotami, otwiera rozwalone drzwi windy i właśnie tam zdaje sobie sprawę, że drżą mu ręce. No, tutaj zapala i dojeżdża do właściwego piętra. Otwiera drzwi, wychodzi i widzi, że na półpiętrze siedzi żul i sra. Programista, wytrzeszczając oczy patrzy na niego i nie jest w stanie powiedzieć ani słowa. Wtedy żul nie wstając pyta go ironicznie, a pan, jak mówią, jest zapewne z Moskwy? No tak, odpowiedział ten, a jak pan to odgadł? Bardzo łatwo, odpowiedział żul, u nas w mieście wykształceni ludzie nie palą w windach.

Spojrzałem na Władimira Pawłowicza z pewnym przerażeniem. Obaj byliśmy cynikami, ale jakoś kawałów przy takich okolicznościach jeszcze nie opowiadaliśmy. Ale z jeszcze większym przerażeniem pojąłem, że to wydało mi się całkiem naturalne.

Zamilkliśmy i znowu spojrzeliśmy na mutanta. Ten już prawie skończył posiłek. "A teraz weźmie skądś z fałd ciała paczkę papierosów, wyciągnie jednego i zapali" - pomyślałem.

U nas już od dawna nikt nie palił, a w Petersburgu jak na razie spotkałem tylko jednego palacza, i w dodatku konopie. Pamiętałem dziesiątki książek, gdzie proponowano tak zrobić po obwitym

obiedzie. Ale pseudokucharz po prostu ostrożnie złożył płaskie skóry, zawinąwszy w nich resztki jadła, jak w serwetkę, wsadził sobie pod pachę i zaczął odchodzić.

W tym momencie psy przestały na niego patrzeć i wszystkie jak na komendę zwróciły głowy w naszą stronę.

Tego nam jeszcze brakowało! I, ciężko dysząc, puściliśmy się dalej biegiem.

Rozdział V W brzuchu konia

- *Zamierzam* - stwierdził Szwejk – *na to wszystko popatrzeć bezstronnie. Każdy może się pomylić się, a jeśli nad czymś bardzo długo się zastanawiać – to na pewno się pomylisz. Lekarze – to przecież też ludzie, a mylić się jest rzeczą ludzką. Kiedyś w Nuslach, przy moście przez Boticz, kiedy ja akurat nocą powracałem z "Banzita", podszedł do mnie taki jeden, i łup mnie pięścią w głowę. Ja – co zrozumiałem upadłem na ziemię. A ten oświetlił mnie lampą i mówi: "Błąd, to nie on!" tak ten błąd go rozzłościł że wziął i dzielił mnie jeszcze raz po plecach.*

Jarosław Halszek. Przygody dobrego wojaka Szwejka

Przebiegliśmy obok bardzo dziwnego pomnika Stalina - zresztą było napisane na tabliczce ze strzałką "Do Stalina". Z jakiegoś powodu był to jednocześnie pomnik Stalina i wielbłąda.

- Od wdzięcznych mieszkańców Kałmucji - powiedział później Władimir Pawłowicz.

Ale co nam było do Stalina, kiedy za nami pogoń, jak w starożytnych czasach, kiedy straż obozowa spuściła tresowane psy.

Te psy zbliżały się, my staraliśmy się nie patrzeć za siebie, a słyszeliśmy tylko trzask gałązek. Patrząc przed siebie ścigaliśmy się wzdłuż wybrzeża i skierowaliśmy się na plac z Miedzianym jeźdźcem.

Władimir Pawłowicz machnął nam ręką i Matematyk pierwszy zaczął się wspinać na postument. W tylnej części placu pojawiła się dosyć duża dziura. Podciągając się nawzajem, weszliśmy na jeźdźca i zamarliśmy, wstrzymując oddech.

Matematyk od razu sprawdził otoczenie dozymetrem: wszystko było prawie tak, jak oczekiwano. Widocznie deszcze wymyły radioaktywny pył. Zaczęliśmy przyglądać się otworowi, który był na zewnątrz.

Psy doszły po naszych śladach prawie do kamienia i, ciężko dysząc, zatrzymały się na dole. Zdawało się, że one nie mają czy to pomysłu, czy to zdolności, żeby kontynuować pościg. Ale nagle coś się zmieniło. Przyszedł ktoś inny i psy przerażająco zaskowyczały. Przyszedł ktoś straszny dla psów. Autorytet przyszedł - rozkazywać i zakazywać.

To dokładnie nie był delikatny kucharz czy jacyś jego nie mniej delikatni towarzysze. I nie było wiadomo, czy to dobrze, czy nie.

Starając się nie oddychać czekaliśmy. Ale absolutnie żadnych dźwięków, oprócz wiatru, który śpiewał w otworach posągu, nie usłyszeliśmy. Tak minęła godzina. Powoli uspokoiliśmy się, poczuliśmy się komfortowo i próbowaliśmy zasnąć. Władimir Pawłowicz zasnął od razu, Matematyk długo się powstrzymywał, ale też szybko zaczął chrapać, a ja myślałem i myślałem o dziwnych kolejach losu, co przywiodły mnie tutaj, w inne miasto i wepchnęły do łona miedzianego konia. Siemieckij przytulił się do mnie i cmoknął we śnie, jak wielki dzidziec. Tutaj człowieka zjedli, jak puszki konserw, a tutaj siedzisz ty, ja starożytny heros w środku drażonego konia, gdzie boisz się nie o to, że zrobisz masę dziwnych ruchów, ale zwyczajnie niewygodne drgnięcie. Tak przy okazji, to było dosyć zimno w tym dziurawym korpusie i gdyby nie to, że leżeliśmy w grupie, nie mógłbym zasnąć.

Wyobraziłem sobie, jak będą na nas patrzeć przyjaciele, kiedy opowiemy im o tym, co widzieliśmy. Ja także widziałem ludzi, wracających z dalekich stacji. Na przykład ludzi, co mówili o strasznej bitwie z potworami gdzieś w "Ogrodzie botanicznym". Brednie to były, straszne brednie. I człowiek, co opowiadał nam te wspomnienia, nagle zgubił się i zaczął wstawiać do opowieści jakieś szczegóły, podkolorowywać, żeby było bardziej zrozumiale i prościej. To znaczy, że już stało się wątpliwe, gdzie prawda, a gdzie zmyślenia.

Ja sam kiedyś, opowiadając o naszych świniarzach, którzy na pewno mają zbiorową świadomość, zacząłem fantazjować, dodawać detale, żeby stworzyć opowieść bardziej prawdopodobną. I widać wyszła prawdopodobna, te dwie dziewczyny z "Białoruskiej", którym to opowiadałem, uległy i uwierzyły mi.

Nawet zacząłem sam sobie wierzyć i później zaskoczony złapałem się na myśli, że, być może, to jak raz pasuje do systemu, który przedstawił pewien średniowieczny filozof - Ockham. Kiedyś przeczytałem w bibliotece historię o dwóch Amerykanach, którzy zrobili podobiznę milionera, posiadającego cechy obcego i zaczęli tworzyć jego następcę, że ten milioner-kosmita specjalnie niszczy przyrodę i atmosferę na Ziemi, żeby zmienić planetę w przyjazną dla kosmitów. Następcą

prowadził się, ale tutaj ci dwaj patrzą na siebie i rozumieją, że jeśli rzeczywiście ze wszystkich wyjaśnień trzeba będzie wybrać same najprostsze, jak to uczył Ockham, to milioner naprawdę był z Kosmosu. Znaliby tych bohaterów, jak z naturą i atmosferą wszystko zmienia się naprawdę! Po tym zacząłem z szacunkiem patrzeć na świnię. No i także na świniarzy.

Ale historii o innej stacji słuchałem już z dużą ostrożnością. Nawet jeśli ktoś przynosił fotografie. No i na przykład dzuma, była gdzieś na południu, zdaje się, w "Nowogiriejewie". Przyszło do nas kilka osób stamtąd i widziałem fotografię, gdzie po stacjach idą ludzie w czarnych płaszczach i dziwnych maskach z długimi dziobami. Potem zobaczyłem taki obrazek w książce i długo tępo patrzyłem na stronę. To był jakiś średniowieczny strój lekarzy.

Skąd na "Placu Iljicza" średniowieczni lekarze? Ale nikt niczego nie wyjaśnił. Wszystko to była jakaś iluzja. Później chciałem spytać jeszcze raz, ale uciekinierzy już poszli w kierunku "Wojkowskiej" i nie było kogo spytać. Tutaj najpewniejszym rozwiązaniem było w ogóle nie myśleć, co i jak. Myśleć trzeba, kiedy przewód iskrzy w przydzielonej tobie sekcji. Albo z tunelu leci dym. Przy czym myśleć szybko i logicznie. A tak to co? Głowa zaboli - a mi i tak z niej teraz włosy wychodzą.

Albo jak byłem mały i zabrano mnie do ogrodu zoologicznego. Tuż obok kas wędrował człowiek, a w rękach miał szalenie kręcące się dwa druciki. Człowiek ten krzyczał strasznie i przeciągle: "Teraz opowiadają o szczurach-mutantach w metrze! Operatorzy koparek wzięli to stworzenie za kapibarę, która uciekła z zoo! Bioloekacja na "Krasnopriesnieńskiej" mówi, że w tunelu są mrowie zwierząt! Terytorium Krasnopriesnieńskiego tektonicznego węzła! Tutaj zdrowi ludzie obracają się w ruinę! Tutaj są częste awarie samochodów! Ale w ogrodzie zoologicznym jest biały tygrys! Lepszego obrońcy nie znajdziecie! Zwierzęta neutralizują negatywy!"

Matka zamknęła mi oczy i przeprowadziła obok. Teraz ja, człowiek, który widział żywe przykłady mutacji delta, już nie śmieję się z tej historii. Ja takie kapibary w tunelach widziałem, że tylko trzymać się.

Głowa cała jeszcze swędziała i ze strachem poczułem, że na palcach rzeczywiście zostają mi kłęby włosów. To nie był sen.

My i tak przez oszczędzanie wody przywykliśmy do obcinania się krótko, a tutaj okazało się, że moje krótkie włosy zaczęły wypadać. Mnie to przerażało, pamiętałem, że wypadanie włosów jest jedną z oznak prześwietlenia, ale czułem się dobrze, jak tylko może się czuć mieszkaniec podziemi, szczur metra na ulicach nieznanego miasta.

Obudziliśmy się od porannej wilgoci i ostrożnie obejrzelśmy okolicę. Nikogo wokół nie było, tylko obok pomnika leżał stos jakichś dziwnych odchodów. Odchodów, może i psich, ale jakby przyszedł pies trzy razy większy od nieszczęsnych pawłowskich psów.

Wróciwszy na plac, do mrocznego cielska Soboru Izaaka, odkryliśmy, że wszystkie nasze rzeczy były tam, gdzie je zostawiliśmy. Żadnych śladów wczorajszego obiadu nie było widać. No i ładnie, jesteśmy wystarczająco zahartowani, żeby przyjmować takie rzeczy ze spokojem. Tutaj najważniejsze, to zadbać o siebie. Mało prawdopodobne, że nowy kucharz obserwuje nas w tym samym miejscu albo pawłowskie psy przyszedły się rozliczyć z nami lub z nim.

W kompletnej ciszy dotarliśmy do stacji "Admiratielska" i weszliśmy do niej z pomocą hasła. Dalej wszystko było prostsze. Stąd każdego dnia wysyłali drezynę na "Newski Prospekt", do wielkiego podziemnego miasta, skąd Matematyk chciał dostać się do "Instytutu Technologicznego". Ale drezyny nie było i poszliśmy na piechotę.

Poszliśmy w kierunku "Newskiego Prospektu" i prawie od razu usłyszeliśmy śpiew. To było niezwykle, ale nie tak niezwykle, jak zobaczyć fałszywego kucharza. Okazało się, że pod Soborem Izaaka znajdowała się ogromna podziemna cerkiew. Tam, pod właściwym soborem, co był na górze, pod gęstym lasem zmienionych w kamień drewnianych pali u jego podstawy, pod Petersburgiem powierzchniowym, był Petersburg podziemny i kapłani modlili się o powrót na górę, że ktokolwiek będzie wysłany mieszkańcom w nagrodę za sprawiedliwość.

To niższe miasto cierpiało na katar. Tak, na górze było białawe zachmurzone niebo, opisane najlepszymi pisarzami imperium, a tutaj - las, bałagan i żwir, worki zmieszane z betonem, mokre deski, kraciaste stalowe farmy.

Siemieckij głośnym szeptem wyjaśnił, że trzy pokolenia podziemnego Petersburga budowały tą symetryczną świątynię i jednym miejscu są specjalne schody, na górnej platformie, którą można

wykorzystać do jednego z sągów rusztowania Soboru Izaaka. Trzy pokolenia nielicznych parafian z ilości mieszkańców metra chodziły obok tego budowlanego śmiecia i modlili się o ten dzień, kiedy powstaną przez grubość ziemi, przez bagnisty grunt, a jeśli nie oni, to ich dusze wzniosą się na górę, w pustą przestrzeń między wyborskim granitem i ruskiealskim marmurem.

Zostawiliśmy broń na czymś podobnym do ganku, ale w tym momencie okazało się, że ani Matematyk, ani Mirzo za nami nie idą. Jeszcze z Władimirem Pawłowiczem nalegaliśmy, żeby spojrzeć, co jest w środku. Klócił się trochę. Matematyk wsiąknął w swoją książkę, a Mirzo nie poszedł z wiadomego powodu różnicy wiary.

Siemieckij pokazał nam, kiedy wstać i pół godziny staliśmy w cerkwi w czasie smutnego i cichego śpiewu. Podziemny wiatr kołysał nielicznymi świecami i przewodami z elektrycznymi lampami. Kapłani odprawiali nabożeństwo, parafian prawie nie było, a i ciekawe, jacy mogli tu być parafianie?

Podniósłszy oczy nagle zobaczyłem na wysokości, na granicy zakopconego sklepienia, pośród ikon, pokrywających całą ścianę, maleńkie drewniane dzieciątko. "Ale tylko wysoko-wysoko u Carskich wrót - wspomniałem - dopuszczony do sekretów, płakało niemowlę o tym, że nikt nie wróci".

- Oto co - powiedział głośnym szeptem Siemieckij - widzielibyście w świątyni pod Ławrą³³. Stoisz tam i rozumiesz, że duchy wielkich pływają nad tobą, dlatego że ich śmiertelne ciała są ponad sklepieniem. Dlatego i mówią, że to świątynie ostatniego dnia, dalej wszyscy słudzy boży idą tylko do wniebowstąpienia w górę. Dwie cerkwie są na podziemnej osi, o tym nam też mówią.

Nie doczekawszy końca nabożeństwa wyszliśmy i podeszliśmy do swoich pracodawców. Nie mówiąc ani słowa założyliśmy plecaki i poszliśmy dalej.

Matematyk doprowadził nas do "Newskiego Prospektu" i plan przywódcy stał się dla mnie bardziej zrozumiały. Matematyk nie chciał tylko stworzyć połączenie między miastami, on widocznie szukał sposobów i informacji dla swoich towarzyszy lub szefów, jeśli takowych miał. Chciał iść z argumentem w rozmowie z Piterczykami. Znaleźć koordynaty potrzebnych ludzi pomijając długich ludzi, kiedy przechodzą ci z rąk do rąk i podróżujesz między ludźmi, zależnie od woli innych. Lub nawet jeszcze przebieglej, jeśli jego, naszego przebiegłego Matematyka, ścigają na złamanie karku, to żeby ująć z niepastymi rękami.

Ale od takich układów głowę złamiesz. "Matematyk - myślałem sobie - zrobił najważniejsze. Dał mi skrzydła w różnych znaczeniach tego słowa. Zabrał mnie do miasta, gdzie, być może, ciągle jeszcze żyje mój ojciec..."

Po "Newskim", który nam się raczej na spodobał przez napięcie i nieufność mieszkańców, zatrzymaliśmy się w dziwnym miejscu. W łączniku między tunelami zobaczyłem dziwne światło. Na początku korytarza stał maleńki, jakby z drzazg domek. Ale on tylko przypominał domek dla lalek, a w rzeczy samej to była szafka, z której maleńkiego okienka wylewało się żółte światło słabej lampy. Tam, za okienkiem, plecami do mnie siedział w fotelu człowiek i nie zwracał uwagi na hałas za sobą.

Głośno zawołałem go, ale człowiek nawet nie drgnął. Przyjrzawszy się, pojąłem, że na jego głowie są nauszniki. On niczego nie słyszał. Z głębi korytarza wyjrzała babunia w chuście i szeroko uśmiechnęła się. Ja, szczerze mówiąc, odwykłem od tego, że ludzie się tak uśmiechają.

Babunia wciąż się uśmiechając oznajmiła:

- To jest Filemonow, mąż mój. On cały czas słucha muzyki, ciągle chodzi po płyty do Publiczki, niczego się nie boi. Przenieśliśmy się tutaj specjalnie, żeby być w pobliżu piwnic Publiczki.

Filemonow zdjął słuchawki i spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- A chcą panowie herbaty? - spytała babcia. - No siadajcie szybciej, mamy wspaniały koncentrat. I herbatę akurat wstawiłam.

Usiedliśmy z Władimirem Pawłowiczem, a Matematyk z Mirzo poszli dalej, do władz, do jakiś lepiej wyposażonych pomieszczeń.

Władimir Pawłowicz też był głęboko poruszony i dobył słoik wieprzowiny i nienaruszoną butelkę.

- Nie, nie - słabo uśmiechając się machała rękami staruszka. - Nam niczego nie potrzeba, a wy pijcie, pijcie.

Filemonow przeprosił nas, z powrotem założył słuchawki, usiadł w głębokim krześle.

³³ Ławra - określenie używane w stosunku do większych męskich klasztorów w kościele prawosławnym oraz w Kościołach katolickich wschodnich

A ja zastanawiałem się, jak niesamowite jest to, że tych dwoje starszków żyje tutaj, jakby czas się zatrzymał. Nic dla nich, jak widać, nie zmieniło się, niedogodności nie przerażały ich, żyli ze słuchawkami na głowie i żal płynął obok nich po tunelach.

Podświadomie wiedziałem, jak kruchy jest ich świat i nagle moje serce zamarło, podskoczyło. Prawie że do oczu napłynęły mi łzy. Szlag, szlag, szlag! To uczucie było całkowicie nie na miejscu. Jakies nieprzyjemne to było, jedna sprawa, kiedy zrozumiesz, że twoje życie jest skończone, a oto kiedy pojmiesz, że przed tobą są bezbronni ludzie i jakimś cudem przetrwali pośród historycznego szaleństwa, ty tutaj wprowadzasz grozę. Bojąc się tylko o tych, którzy są ci drodzy i jednocześnie bezbronni. A takimi bezbronnymi mogą być tylko starszkwowie i dzieci. Dzieci u nas mało się rodziło i często przypadkowo. Za to do starości dożywali rzadko, ci dożyli i przez ten cud byłem przerażony.

Jednakże szybko wypilem okropny alkohol, co był wyjęty przez Władimir Pawłowicza i tylko to odgoniło ode mnie sentymentalny ból.

Następnie przyszedliśmy na "Sadową", ogromną rozbudowaną stację, która naprawdę stała się miastem. I miasto to było handlowe, bazarne. To i tam latali po nim handlarze, a najczęstszymi towarami były naboje, tabletki i baterie. A co tam! Tu jeszcze można było kupić: jedzenie i ubrania, i naczynia, i książki. Nawet motodrezynę można było kupić, tak mówili, ale nie nam było to sprawdzać.

Naciągali wszystkich, tylko że naciągali chytrze, nieznacznie, a jeśli odkryłeś później oszustwo, to tylko rozkładałeś ręce, prawie że się uśmiechając.

Ale już za kradzież surowo karali. Przy nas zatrzymali kobietę, która ukradła kilka opakowań aspiryny. Rozebrali ją, przywiązali do słupa informacyjnego i zbili miedzianym drutem, zalewając krwią pół stacji.

Wielce nam to zaimponowało, jednak Siemieckij postanowił pozostać na tej stacji. Jakies poetyckie natchnienie nim zawładnęło i nasz kompan skrył się w chaosie tego targowiska.

My też rozdzieliliśmy się, jak tylko dotarliśmy do "Technolożki". Zdaje się, że Matematyk rzeczywiście miał jakiś interes na "Instytucie Technologicznym", raczej z dala od niego, w laboratoriach, a wszystko zgodnie z zaleceniami jego niesamowitej książki. Przy czym ten interes był taki, że, dotarłszy do "Technolożki" i zatrzymawszy się w gościnnym kącie, natychmiastowo puścili nas z Władimirem Pawłowiczem na wolne chleby³⁴. Nie byliśmy im tam potrzebni ani jako tragarze, ani jako świadkowie. Tak więc pracodawcy zaskakująco spokojnie zezwolili mi pójść na sąsiednią stację.

A wolne chleby i sąsiednie stacje dawały mi możliwość szukania ojca, a to wiele dla mnie znaczy. I oto z czym to było związane: na "Sennej", pośrodku peronu, spotkałem Cygana. Generalnie, w metrze było całkiem dużo Cygan i widziałem ich prawie na każdej stacji. Ten kocujący między stacjami naród stracił większość atrybutów swojego plemienia i Cyganki można było zobaczyć nie w kolorowych spódnicach, a w czarnych spodniach, schowanych w botkach. Zresztą, taki strój dopełniały czasem czerwona chusta i naszyjnik.

Zauważywszy, że uważnie obserwuję ich, jedna młoda Cyganka, ona była w spódnicy, spod której wystawały czubki wojskowych trepów, skinęła na mnie ręką. Patrząc m prosto w oczy, zaproponowała wróżbę.

- Aj, daj przepowiedzieć los - przemówiła niskim, zadymionym głosem - szczęście będzie przy tobie, co chcesz, powiedz, myśli poznasz, dobrze żyć będziesz!

To wszystko było nie bardzo interesujące, ale pyłek Carycy nocy kruszył się, uderzając mnie w skroń złymi młoteczkami. Słyszałem, jak szeptają znajome Cyganki, oceniali mnie, jak świnię gotową na zabicie. Dlatego nagle powiedziałem:

- Wróżyć? Ty chcesz wróżyć? A co bierzesz jak zapłatę, piękna? No ile trzeba ci za to zapłacić?

- Zapłacić - odpowiedziała Cyganka - zapłacić, łysolku, możesz, czym twoje serce zechce. Choćby antybiotykami, choćby nabojami do automatów. Mało dasz - w porządku, dużo dasz - dziękuję powiem!

- No to przepowiadaj - powiedziałem - jednak, ja ci sam przepowiem. Chodź tutaj!

Wziąłem ją za małą rękę, brudną rękę, rzeczywiście brudną, z plamami od oleju napędowego i jednocześnie silnie pachnącą rybą. Takie wrażenie, że ona dopiero co zabrała, nie bojąc się kary, raczej

³⁴ Zwrot pochodzi z czasów pańszczyzny. Właściciel dbał o swojego chłopca, karmił go, leczył, a kiedy puszczał go wolno - na wolne chleby - to chłop musiał sam wykarmić siebie i rodzinę i siłą rzeczy wracał do swojego pana.

leszcza od stojącego niedaleko pijaka. Ona chętnie dała rękę, śmiejąc się i mówiąc coś po cygańsku swoim towarzyszkom, które okrążyły nas ze wszystkich stron.

- Połączane rączki, szczęście będziesz miał! - powiedziała już po rosyjsku i, wyciągnawszy talię czarnych od brudu kart, pośliniła duży palec.

- Cyganki! - powiedziałem. - Wróżyć będziecie po mnie. Pierwszy wróżę ja.

Wziąłem rękę młodej Cyganki i zacząłem drwiąco uważnie wpatrywać się w linie ciemnej dłoni.

- Oto co ci powiem: zobaczyłaś mnie, ale nie wiesz, co przyjdzie ci zrobić w najbliższej przyszłości.

- No, powiedz, będziesz Cyganem! - zachichotała.

I rzekłem:

- Powiesz mi... - i cicho dodałem - jak znaleźć człowieka, którego zwą tutaj... Lotnikiem.

Nie spodziewałem się, że to imię będzie działać z taką siłą. Nagle zmieniły się twarze Cyganek. Staruszek, stojący przy kolumnie, otrząsnął się. Jakaś staruszka, zdjawszy chustę, rzuciła ją na siebie, zakrywając głowę. Dziewczynka wyciągnęła rękę i zabrała ją ode mnie. Z boku mogło się wydawać, jakbym miał zamiar uderzyć młodą Cyganekę.

Ale ja nie byłem wzruszony i, widząc to, Cyganka krzyknęła:

- Milcz! Wszystko powiem, czekaj tutaj; ciebie nie znam, odczytywać będę!

Nie wiem czy stchórzyłem, kiedy tak potwierdziła się magia przezwisk, ale męczył mnie też pogarszający się słuch - usłyszałem wszystkie słowa Cyganów, choć naradzali się cicho i ze zdenerwowaniem. Od tej nadzwyczajnej ostrości słuchu dzwoniło w uszach i nawet jęknąłem.

W końcu podszedł do mnie stary Cygan. Zobaczyłem, że pod rozpostartym płaszczem do szerokiego cygańskiego pasa doczepiony jest duży pistolet Stieczkina.

- Dlaczego masz takie zdanie? - odezwał się. - Co wiesz? Powiedz, bracie, nie bój się, swoi ludzie. Odpowiesz, my sami powiemy; nie odpowiesz, nie będziemy mogli zaufać!

Powiedziałem, że jestem krewnym Lotnika i Cyganie zrobili jeszcze jeden krok wstecz. Starzec, jednak, westchnął i pomachał mi palcem.

I zabrali mnie do dziwnego miejsca za "Sennym", gdzie powstał rynek rzeczy tajnych i zakazanych. Cygan doprowadził mnie do dziwnego człowieka z południowych peryferii. Ten gość nie był Cyganem, ale wygląd miał dziwny.

Był ten południowy człowiek maleńki i zwinny, cały jakiś niepeterski. Okazało się, że on faktycznie jest z południowych peryferii i z południa Petersburga, a tak właściwie to z Charkowa.

Zwali go Zabójca Królików. Z początku pomyślałem, że on jest zabójcą, ale nie, on był tylko złodziejem. Potem spytałem, w czym rzecz, on miał nazwisko, czy co, Królikow? Ale nie, swoje nazwisko w ogóle zapomniał. Coś w nim było związane z królikami, może on je kradł i zabijał, nie wiem. Ale to nie ważne, najważniejsze, ludzi nie zabijał. Albo zabijał tak, że nie lubił opowiadać, a w naszych czasach wstydy się mówić o morderstwie - to już o wielu mówi, już pewne rozgrzeszenie.

Zabójca Królików powiedział, że on jest członkiem jednej bandy, gdzie szefem jest jeden lotnik. Zabójca Królików chwalił go za przebiegłość i odwagę i od razu uwierzyłem, że ten lotnik jest moim ojcem. Czekałem, co mi się przyśni i szukałem w sennych marzeniach wskazania drogi - znaków drogowych. Ale nic mi się nie śniło. Kompletnie nic! Nie śnił mi się ani ojciec, ani lotnisko, ani w ogóle choćby coś, co mogło wydawać się znakiem drogowym.

Żadnych wskazań nie było. Za każdym razem budziłem się z pustą głową. Naprawdę wesoły. We śnie nie pocilem się i żadnych proroctw z wycieczek do ciemnej strony świadomości nie przynosił.

A później szliśmy tunelami na południe z długimi postojami i mój nowy towarzysz opowiadał o tym, jak trafił do Pitera:

- U nas, jak pamiętasz, we władzy ukraińskiej przed Katastrofą była mało znacząca wojna domowa. I kiedy wszystko się zaczęło, zdaliśmy sobie sprawę, że nasze problemy są jeszcze nasionami. Koniec świata przyszedł z tej strony, z której nikt go nie oczekiwał. No i to była prawdziwa ruina, a nie ta, o której krzyczeli nasi lokalni politycy na każdym rogu. Podsumowując, uciec udało się tym, którzy zdołali ukryć się w kijowskim metrze, Kerczowskich katakumbach i w podziemiach Sewastopolskiej bazy marynarki wojennej. No i u nas w Charkowie oczywiście. U nas kiedyś tam była szkoła inżynierska, bardzo silna. Metro charkowskie po Katastrofie utrzymało się, ale na zewnątrz, poza granice miasta, szczególnie baliśmy się zapuszczać. Co było na wielkiej ziemi nie wiedzieliśmy, konflikt zniszczył bardziej lub mniej potężne nadajniki, karmiliśmy się plotkami. Jednakże radiacja była umiarkowana w odróżnieniu od innych części Ukrainy. Konwencjonalny

sposób ochrony przeciwradiacyjnej wystarczał - nie były straszniejsze, niż te, o których wspomina mój ojciec, w dzieciństwie żyjący między Kijowem i Czarnobylem. I potem dorosłem, już kończyłem szkołę podstawową, kiedy wszedłem, jak mówiła moja mama, w złe towarzystwo. Przyjechali oni rzekomo z samego Pitera, a to jest jakiś dystans i ryzyko, specjalne grzyby, które hodowali gdzieś w szklarniach prawie że pod Murmańskiem, tam niby jakaś elektrownia atomowa przetrwała. Tak więc jest w niej energia i organizowali tworzenie tego śmietnika. A na Ukrainie po naszym Armagedonie wszystko w przyrodzie pozmieniało się i flora zaczęła zachowywać się w szczególny sposób, nie tak, jak wcześniej. Bydło wszelakie zaczęło ściągać się z ludźmi, nawet świnie. Wyobraź sobie, Ukraina bez tłuszczu! No, narodzie, wiadoma rzecz, w jakiś sposób trzeba sobie życie rozjaśniać.

Na rynkach spod lady sprzedawali peterskie grzybki, wsadzone w słoiki z etykietą "Opieńki". Byłem w łańcuchu i szybko dorosłem do szefa całej lokalnej partii sprzedaży. Krewni patrzyli na to z aprobatą, no i ogólnie pojęcia dobra i zła, jak również inne pojęcia dotyczące przyzwoitości, pozmyły się. Kilka lat przygotowywałem się do skoku na północ. I w końcu, dostawy ustały, ktoś namieszał w pierskim przewodzie. Przewód zabrali; chłopaki zasiedzieli się tydzień, nie dotrzymali terminu, no i niczego nie znaleźli. Mógłbym zawiesić pracę, mógłbym wysłać kogoś sprawdzić, to ktoś przekazałby uwagi drugiemu, ten - komuś jeszcze dalej i z każdym krokiem odpowiedzialność spadałaby, a ryzyko wykonawców rosłoby. Ale wykonawców w naszym systemie za ludzi nie uważa. Po pierwsze, nikt ich nie widział i my przyjmowaliśmy towar przez okno na granicy, po drugie, to byli nie nasi, a rosyjscy robotnicy. Zresztą, Sasza, reszta naszego biznesu nie różni się od zwyczajnego rolniczego, który stał się nie mniej kryminalnym od naszego, z tego powodu, że rośliny zostały zredukowane niemal do całkowitego wyginięcia. I pojechałem regulować biznes na Północ. Sam zgłosiłem się na ochotnika, bracia zeszytnieli, wszyscy kręcili palcami przy skroni, ale pomogli i odprawili. Lotnisko Pułkowo przekształciło się w szklany lejek, mieszkańcy miasta już któryś rok żyli pod ziemią, jak krety. Ci, którzy zostali na powierzchni, przypominali małpy, skaczące w pustym budynku naszego Gospromu w czasie poprzedniej wojny.

- Gazpromu? - spytałem.

- Gospromu.³⁵ Nie ważne, długo by opowiadać. Tak więc, szybko rozstrzelaliśmy jednego z dostawców, który chciał zmienić przepływ grzybów z Charkowa. No, zmienić przepływ grzybów i płatności, oczywiście, też. Robota była zrobiona, ale spóźniłem się na powrót. Wspólnicy moi postanowili zrobić lokalne i połączenia nie było. Nie było z kim wracać i przyszło mi osiedlić się na dalszych stacjach. Przyszło żyć tutaj, u leningradzko-peterskich. Słuchając Królika, robiłem nowe dla siebie odkrycia. To, co było dumną, kulturalną stolicą, okazało się normalnym miastem. I na południu od centrum, od stacji "Narwskiej", chodzili po tunelach jacyś bandyci. Normalny kryminalny sposób życia, gdzież bez niego...

Przyszlśmy na "Bałtycką", gdzie już długo i usilnie siedziały gliny, dlatego wcześniej tu było Ministerstwo Spraw Wewnętrznych metra. Gliny były same dla siebie, szczególnie ochroną się teraz nie zajmowali, ale jak korek zatkali wyjście Kirowskiej brygadzie do centrum. Na stacji od niechcenia spytałem, gdzie jest toaleta. Kupiłem sobie wstęp do toalety za jedną tabletkę znieczulającą. (Władimir Pawłowicz rekomendował nosić ze sobą kilka blisterów, żeby zmieniać na usługi, naboje w obcym miejscu samemu się potrzebuje.)

Jak tylko ułożyłem się w interesującej pozie nad dziurą w podłodze, z jakiegoś powodu nazywanej się ubicacją turecką, jeden z otworów obok wziął młodego faceta w fantastycznym milicyjnym mundurze z niewiarygodnie szerokimi pagonami.

Nie bardzo zmartwiłem się z tego powodu, że w tym intymnym procesie mam świadka, ale dalej zaczynało się najbardziej interesujące. Do toalety wszedł krzepki człowiek w lotniczej kurtce z pistoletem w ręce. Do lufy doczepiony był długi czarny tłumik. Człowiek dokładnie strzelił milicjantowi w czoło. Coś chlapnęło i ściana obok mnie pokryła się czerwienią. I, jak mi się zdawało, całą wieczność strumieniami uderzała o podłogę, odbijając się i tocząc, dzwoniąc, mi pod nogi.

Lepka fala strachu zalała mnie. Gorączkowo rozglądając się, zrozumiałem, że automat by mnie w żaden sposób nie czekał, nawet jeśli nie znajdowałbym się w tym haniebnym położeniu. Automat jest za daleko. Żeby schwytać go i wysłać gdzie trzeba, potrzebne mi były dwie lub trzy ciągnące się, lepkie, jak zimny pot, sekundy, ale nie dano mi nawet jednej. I w ciągu jednej sekundy zabójca położy

³⁵ Stacja charkowskiego metra

mnie symetrycznie względem nieznanego milicjanta i będę za spuszczoneymi spodniami siedział nad ubikacją turecką.

Człowiek spojrział na mnie i dobrodusznie powiedział:

- Nic a nic, koleś. Siedź, sraj spokojnie.

Cholera, cholera, cholera! Najbardziej mnie zdenerwowało to "siedź i sraj"! On rozmawiał ze mną jak miły wujaszek z małym chłopcem, który narobił w spodnie w przedszkolu! Spójrz na siebie!

Zabójca odszedł, jakby go nie było. Tylko milicjant leżał obok, krwawiąc.

Gorączkowo ubrałem się i zawołałem toaletowego stróża. Ku mojemu zdziwieniu nie zwlekał, a tylko przesunął pięść na plecy, mówiąc, bierz nogi, durniu, póki cały.

Widać, mieli tutaj własne rozkazy. Albo stróż był dla mnie zwyczajnie miłosierny.

Przez nikogo nie zatrzymany przeszedłem wzdłuż peronu, zeskoczyłem na dół i już w po pięciu minutach dogoniłem Zabójcę Królików.

I w pewnym momencie z moim przewodnikiem natchnęliśmy się na posterunki, na których silne chłopaki z zielonymi od niedostatku słońca twarzami trzymali obronę od takich wojowników jak oni. Ich rzeczywiście zwali Lataczami, no i sami podkreślali swoją przynależność do konkretnego bractwa, stosując w ubiorze styl "pilot". Przywódcą był u nich naprawdę jakiś lotnik.

Ale dotarłem do podziemi w niewłaściwym momencie, u Lataczy, których panowanie zaczynało się od dawno zamkniętej na wieczny remont "Narwskiej", trwała wojna z Kirowską brygadą. Trwała i na powierzchni, i w tunelach i była dosyć krwawa. Słabo przeszkoleni Kirowscy mieli dwie zalety - przewagę liczebną i specjalne porozumienie z wojskowymi siedzącymi obok w swoich podziemnych fabrykach.

Zobaczyłem, jak to dzieje się tutaj, a nie w naszym ogromnym, podobnym do mrowiska mieście. Ubrani w waciaki Kirowscy miażdżyli przeciwnika motodrezynami, a Latacze kładli Kirowskich na szyny i uważnie obserwowali, jak odcięte głowy wpadają pod koła.

Poszcęściło mi się, bezpiecznie mijając przypadkowych upirów-myśliwych³⁶ z "Awtowa", którzy dochodzili do samego "Instytutu technologicznego", przeszedłem obok zwiadu Kirowskich i po kilku dniach wędrówki po nieroboczych tunelach i noclegach w łącznikach dotarłem do grupy lataczy.

Latacze okazali się niedużą, ale dobrze zorganizowaną grupą. Wyglądali schludnie i wszyscy, jakby mundury, nosili brązowe kurtki lotnicze na zamek błyskawiczny. Powiedziałem, że potrzebny mi jest Lotnik.

- Lotnik? A skąd ty znasz Lotnika? - spytał mnie surowo jego zastępca.

Na wszelki wypadek nie chciałem się przyznawać i wyjaśniłem, że wpadłem w kłopoty w drodze do domu. Wersja była o tym, że mam wieści z domu dla samego Lotnika, przybiegłem niezwłocznie. A już o więzach pokrewieństwa nawet nie wspomniałem. Ale okazało się tylko, że Lotnik razem z małym oddziałem utknęli w jakichś ślepych tunelach wroga. Latacze żyli pomiędzy rozpaczą i chęcią odbicia wodza.

Siedzieć w tym dalekim tunelu można było niewiele dni. To przypominało starą anegdotę, którą opowiadał mi Władimir Pawłowicz o łapaniu uciekających kiedyś na "Sokole" zwierząt hodowlanych:

- Złapałem wieprza!

- To przynieś tutaj!

- Nie idzie!

- To sam przydź!

- Ale on mi nie pozwala!

Kłась połowy brygady przy szturmie tunelu Kirowscy wyraźnie nie chcieli. Czekali aż Lotnikowi skończy się jedzenie, woda i naboje. A podwładni Lotnika niestety pochowali się w swoich schronach, tunelach i pomieszczeniach technicznych.

Uważam to za rozsądne zachowanie. Jak było napisane w jednej książce, którą czytałem w opuszczonej bibliotece: "Należy dostatecznie długo czekać, a wtedy wszystko będzie pod kontrolą: przyjaciele poniosą cię na rękach, a obok ciebie przepłynie dom twojego wroga".³⁷

³⁶ Упір/Упир (ros. Упырь) - w mitologii słowiańskiej wampir co noc wstający z grobu i jedzący ludzi lub wysysający z nich krew, przesąd szczególnie silny na Ukrainie

³⁷ Oryginalnie "Jeśli długo siedzieć na brzegu rzeki, to można zobaczyć jak obok przepływa trup twojego wroga"

Tak minęły dwa dni, a to oczekiwanie było na rękę tylko jednemu człowiekowi - mnie. Latacze byli na granicy anarchii i choć to mi się nie podobało, tylko dzięki temu znosili tutaj obcego. Miałem tylko jedną rekomendację - od Królika. Tak, tutaj nazywali go po prostu Królik, i tylko uśmiechnąłem się przy tym, że on sam nosi imię zwierzątek, które skądś zdobywał. Jeśli, oczywiście, właśnie w królikodawstwie była historia jego przezwiska.

Do uzbrojenia mnie nie dopuścili, widocznie, przechowywanego w odosobnieniu i pilnowanego. Ale w ciągu paru dni pojawił się u mnie nowy towarzysz, kumpel Królika z kontyngentu grzybowego oddziału, wyglądający jak kościelny. On potwierdził, że choć jestem Moskwianinem, to jestem niezawodnym towarzyszem, mówią, że oprócz wódki - niczego. A dwie rekomendacje to było już coś.

Spytali mnie, co umiem, a ja odpowiedziałem - elektrykę. Założyłem oświetlenie obwodu stacji, wsadzili mnie na zasiłek i wrócili.

Minęło już kilka dni, a ja przebywałem pośród Lataczy bez większego powodu i nawet wymieniałem tabletki na taką samą skórzaną kurtkę, która służyła im wszystkim za mundur. Złapałem się na myśli, że odwlekałem spotkanie z ojcem.

Już odegrałem w głowie, jak obejmiemy się, jak zaczniemy opowiadać sobie nawzajem o życiu w odosobnieniu. Impasem była ta chwila, kiedy powiem, że dobrze byłoby wrócić do domu. Nagle powie, że jego dom jest tutaj?

Tylko że w każdym razie w moich żyłach wrzała krew, serce rozrywała adrenalina. Tyle lat przewidywałem spotkanie z ojcem i w każdym razie nie mogłem sobie wyobrazić, co mu powiem, kiedy okaże się, że on jest tam, w bandyckich tunelach, na zawsze.

Pierwszym, co zobaczyłem na "Narwskiej", był wiszący w otworze tunelu człowiek. Na nim był ten rzucający się w oczy waciak, który nosili chłopaki z Kirowskiego Zawoda. Pod trupem utworzyła się niewiadoma kałuża i wisiał on jak drogowy znak, coś w rodzaju połączenia: "Początek hamowani pierwszego wagonu" i "Stój! Strzelają bez ostrzeżenia".

Tu by mnie, jak wcześniej, załamać ręce, zacząć skarżyć się, dlaczego ja na typa spojrzalem, a potem przyjrzał się mu, szedłbym i zwracał uwagi. Ale w tunelu bardzo ciężko nie zobaczyć powieszzonego. Trzeba bardzo pragnąć, żeby nie zobaczyć powieszzonego, trzeba się oślepić, żeby go nie zobaczyć, a w każdym razie on dotrze do twojego nosa, poczujesz go po zapachu przy wejściu na galerię.

Albo było mi wołać o tym, że popiół wszelkiego rodzaju stuka mi w serce, a ja nie mam prawa odwrócić się, raz już wybierając się w taką podróż. Na pewno to był mutant. A prawdopodobnie to był bandyta. Bandyta, który zabijał ludzi, a teraz śmierć okaleczyła i jego. Albo życie pod ziemią go okaleczyło. I ja tu taki będę, i mnie okaleczą, od tego nigdzie nie dostaniesz się, i nie warto opierać się, trzeba przywyknąć. Może być, przed sobą mam tunele za tunelami, obwieszane ofiarami konfliktu.

Po tych zdaniach powinienem był ciężko oddychać i kontynuować podróż.

I ja, westchnąwszy, poszedłem dalej, mrużąc: "A chrzańcie się! Szukam ojca i znajdę go bez względu na wszystko..."

Ale, położywszy ręce na sercu, wszystko co się dzieje podobało mi się mniej i mniej. Nie, ja nie byłem aniołem, ale ta wojna, którą tu zobaczyłem, w ogóle nie była do niczego podobna - zwierzęca i straszna, pod dewizą "Umrzyj dzisiaj, a ja jutro".

Okrucieństwo połączyło się z dziwną opieką o swoje. Królik dał mi stopery, powiedziawszy:

- Noś zawsze ze sobą. Przydatna rzecz, tylko że w najmniej spodziewanym momencie.

Nie rozumiałem, po co mi to, a domyśliłem się, dlaczego warto nosić ze sobą zatyczki do uszu, znacznie później. Z moim słuchem ogólnie działało się coś dziwnego - czasami nawijał na mnie specyficzną psychozę, zdawało mi się, że słyszę wydarzenia w dalekich tunelach, przy czym dźwięki były zwyczajne, na przykład spadanie kropli z potoku, szelest jaszczurek w hodowli.

To zaczęło się od chwili, kiedy odwiedziłem Carycę nocy. W Mokwie u siebie czegoś takiego nie zauważyłem. Ale póki mi to nie przeszkadzało, to nie panikowałem, ale stopery wziąłem z wdzięcznością. Istotnie na wszelki wypadek. Wypadek zdarzył się, szybciej niż się spodziewałem. A póki oglądałem konflikt w tunelach, stopniowo zmieniałem się ze świadka w uczestnika.

W mojej rodzinnej Moskwie wszystko było pojęciem długotrwałej korzyści - żyj sam i daj żyć innym. Prawda, jednego maniak kiedyś powiesili na pozostałościach diabelskiego młyna i każdy mógł zobaczyć ciało przez lornetkę. Żadne dziadostwo go nie jadło, a on wisiał tam aż nie zgnił. Ale to była codzienna rzecz, a tutaj zabijali często bez żadnego powodu i korzyści. Widać taki mieli klimat.

Ale tutaj się zatrzymałem: przecież istnieje jeszcze inny Petersburg.

Petersburg wojskowych medyków ze stacji "Plac Lenina", zdesperowanych techników z "Technolożki", wesołych handlarzy z "Sennej". Oni przecież także są i zapewne nigdzie się nie wybierają.

Zajmowało mnie to, jak Latacze, no i inni kryminaliści dogadują się z bogami. W religii wszystko się pomieszało, doszły nowe przedziwne kultury.

Coraz bardziej trzymałem się Królika. Królik był złodziejem z mistycznym zacięciem. Cwaniakiem i złodziejem był, zresztą, całkiem normalnym. A jego kumpel w grzybowym temacie był osobą wyjątkową. Zwali go po prostu Hammer. Wiedziałem, że "hammer" oznacza "młotek", ale ani z wyglądu, ani z charakteru ten człowiek nie przypominał żadnego młotka. On nadal polecał mnie tutejszym ludziom, dlatego czułem się zobowiązany. Ale będąc szczerym, to potem całkiem mocno mnie zainteresował swoimi pokręconymi, dziwnymi przemowami. Ta osobistość zwyczajnie nie pasjonował się mistyką, on podobny był do jakiegoś sekciarza, ze swoją rzadką brodą i długimi włosami, opadającymi na ramiona. Jakież tu młotek... Niemniej jednak, szlachetny wygląd nie przeszkadzał mu rabować w tunelach.

Pewnego razu wspięliśmy się do górnego holu "Narwskiej", a on zaczął się na głos modlić, jak w cerkwi. Okazało się, że on się modli do Ojca naszego Stalina i Brata jego Kaganowicza. Spytałem, wskazując ręką na wpół zniszczone pomieszczenie:

- A tak w ogóle, co to jest?

- To jest chram. Tutaj stał Stalin. Spójrz. - Gestem przewodnika wskazał ręką na krąg, a ja zobaczyłem, że wszystkie przedstawione tutaj przy ścianach postacie patrzą na środek, w ziejącą pustkę, na miejsce, w którym zdecydowanie coś wcześniej było.

- I co? Tu był Stalin?

- No tak. Tylko Stalin nie był. On jest zawsze. W swojej książce napisał tak: "Jeśli ludzie dobrej woli zgromadzą się gdzieś, to będę między nim". A tutaj jeszcze miejsce jest wygodne, tutaj przychodzą się modlić. Przychodzą jeszcze na środek. Mamy tam jeszcze jeden pomnik Stalina.

- Z wielbłądem?

- No tak, widzisz, sam o tym wiesz. Mamy jeszcze miejsce do modlitw na Rzewce, ale ciężko się tam dostać. A modlitwy raczej stamtąd dochodzą.

- Do Stalina? - Przestałem rozumieć Hammera.

- No, a do kogo? I do Lenina się modliliśmy. Gdzieś jest pełno cerkiew, a my mamy to. Stalin ogólnie rzecz biorąc lubił ludzi pracujących, a my mamy proletariackie dzielnice.

- No człowieku, tak to było.

- Sporo rozumiesz! Ja to wiem, że jesteś zwyczajnie nie w temacie, z dalekich krajów moskiewskich. Ale ty to naszym wiernym powiedz, widzę, co z ciebie będzie. Byłeś ty kiedyś na "Nowokuźnieckiej"? A na "Kropotkińskiej"?

- Na "Kropotkińskiej" byłem tylko w dzieciństwie. A na "Nowokuźnieckiej" byłem, ale niedługo. Nic niezwykłego, ale ciemno bardzo - oświetlenie jest tam przyciemnione, a ludzie dziwni. Mówią, że stacja ta jest bardzo niedobra, tylko że nie wiem w czym rzecz.

-Więc ci powiem, Sasza, na tym polega różnica między moskiewskim metrem a peterskim. One oba wcześniej imienia Lenina, ale w środku one są całkiem różne. I nie wierz temu, kto mówi, że cała różnica w tym, że u nas w Piterze metro jest głębsze niż w Moskwie. To wszystko prawda, oczywiście, ale kwestia nie tylko w głębokości. Pomimo tego, że u nas wszystkie stacje, z reguły, są głębokiego założenia, mutantów mamy nie mniej i problem z ruchomymi piaskami są o wiele większe. Tam inżynierzy nas jak mafia nieustannie doją, wycuczeni do planowanych i nieplanowanych usług.

Hammer przytoczył argumenty: rzecz, jak mówią, w tym, że to całe ich metro zbudowano po Stalinie, a moskiewskie metro przeżyło zmianę idei.

- Zrozum, Sasza, każda ze znaczących epok historycznych zostawiła po sobie struktury, związane z tylko tą jedną - mówił natchniony. - Piramida Lenina, stalinowskie barokowe pałace i wysokie budynki są strukturami przywiązany do konkretnego stylu, nie do pomyślenia w innej epoce. Moskiewskie metro też jest mistycznym symbolem. Ludzie przez dziesięciolecia jeździli w nim, nie pojmując, jak są nasyceni mistyką architektury metra, nie pojmując, że zaczynają rozmawiać nie z innymi podróżującymi, a ze statuami na stacji... Według mnie, z reguły na ściany stacji pasażerowie nie patrzyli, u innych obawy były większe niż wystarczające. Widziałem stare albumy ze zdjęciami zrobionymi nocą na stacjach. Nocą robili, żeby było mniej ludzi i można było zrobić dłuższy czas

naświetlenia. Ale takie zdjęcie z dużym czasem naświetlenia robiła dziwne żarty oglądającym - na fotografiach powstawały dziwne, przezroczyste cienie, przez które prześwitywały marmurowe kolumny. Dla nas pozostaje zagadką, kim oni są? Ale, być może, właśnie te przezroczyste istoty są symbolem socjalistycznego człowieka.

Zacząłem wątpić w psychiczne zdrowie Hammera. Głupoty jakieś, duchy... W automat Kałasznikowa wierzyłem. W generatory prądu też. A wierzyć w duchy nie miałem żadnej potrzeby.

- Słuchaj dalej - kontynuował znajomy Królika. - Powinieneś zrozumieć, że symbolem nowego świata stał się właśnie ten środek transportu, stacja na drodze do świetlanej przyszłości. Ciemność gęsta, światła nie widać, ani z przodu, ani z tyłu nie można go dostrzec. Na dziesiątym polu było najbliższe wyjście, na jedenastym polu przed nastaniem świtu. Na dwunastym pojawia się światło. Pośpieszyło się, gaj z kamieni widać: karneol³⁸ zbiory przynosi, gronami obwieszony, z wyglądu przyjemny. Lazuryt wypuszcza liście. Owocuje także, z wyglądu zabawnie.

- Co to?

- To opowieść o Gilgameszu, który przechodzi podziemną drogą boga Słońca Szamasza.

Rozumiesz, że to o przewidzeniu wyjazdu pociągu z tunelu na peron stacji? No, pamiętasz to uczucie?

- Jak przez mgłę.

- Ale jeszcze jest ważne inne: w moskiewskim metrze wszędzie są ślady starożytnych cywilizacji. Pierwszym z nich jest temat Zigguratu, schodkowej wieży, która określała główną strukturę kraju - asymetrycznego Zigguratu-mauzoleum na Placu Czerwonym. Pamiętasz, że jest asymetryczny?

Nie pamiętałem niczego takiego, ale na wszelki wypadek kiwnąłem głową.

- Cechy środkowych piramid są też w wieżowcach Moskwy. Zachowały się te budynki?

- Niektóre tak. Nie jestem pewien, czy wszystkie.

- Tak więc, stalinowskie wieżowce z konstrukcji, kropka w kropkę jak Zigguraty w Międzyrzeczu, były punktami orientacyjnymi panoramy miasta. Taki sam kształt miał też naziemny hol "Dynamo"...

- "Dynamo" - nostalgicznie powiedziałem, wspomniałem wszystko to, co wiązało mnie z tą stacją.

- A przyjrzałeś się płaskorzeźbą i wzorowi stacji z antyczną gliptyką? To przecież brokatowy wzór babilońskich wałków. Jeśli kiedyś jeszcze znajdziesz się na "Nowokuźnieckiej", to zobaczysz, że stację jakby przejechało gigantycznym walcem, figury tam powtarzają się periodycznie z tematu na temat. Przecież nie będziesz się kłócił, że antycznym typem sumerskiego państwa jest, oczywiście, odwrócony obraz publicznego stroju ZSRR w przededniu Drugiej wojny światowej.

Papirusopodobne kolumny stacji "Kropotkińskiej" są dokładnym odwzorowaniem kolumn w Egipskiej świątyni znajdujące się obok muzeum. Ale tutaj zaczyna się najciekawsze: na wprost jest prostokątna przestrzeń wyspowych stacji pierwszej serii - to jest wnętrze komory grobowej. Tylko do komory grobowej przydzielono szyny i otwiera się droga do świetlanej przyszłości. To znaczy w krainie zmarłych! A nasze hermetyczny wrota? To jest ogólnie symbol przejścia z jednego królestwa w drugie, toż to oczywiste! Ale wtedy pojawiła się przerwa. A nawet powiem, kiedy dokładnie to się stało - w 1943 roku. Wtedy u nas w armii wprowadzono pagony i, o czym będziesz wiedział, prawie że weszły epolety. Stalin zmienił swój ochronny płaszcz na biały ze złotą tuniką i stał się podobny do naszego ostatniego imperatora.

- No tak - wtrąciłem - a ludzi, których sądzono przed wojną za rosyjski nacjonalizm, zaczęli po niej brać z powrotem z formalną prośbą usłużenie przed Zachodem.

Ale Hammer mnie nie słuchał i nie usłyszał.

- Cała rzecz w Kominternie! - wykrzyknął z fascynacją. - Ze zniknięciem Komunistycznej Międzynarodówki zniknął i stary duch metra. Skończyło się, można by rzec, przejście z "Komsomolskiej-promienistej" na "Komsomolską-okrężną". Ani jedna ze zbudowanych w przedwojennych latach stacji nie miała w sobie nacjonalistycznego ducha. Za to "Kijewska" i "Białoruska", nazwane tak od dworców, czyli stacje utworzone po wojnie, są już ozdobione ukraińską i białoruską ornamentyką, panneau z odpowiednimi tematami, sklepieniami i rzeźbami. Imperium jak następca poprzednich imperiów, oto co tam było. A u nas w Piterze wszystko utworzono po śmierci Stalina i dlatego żadnego nie było, u nas wszystko jest prostsze. Wszystko co nam zostało - to miejsce...

³⁸ Jedna z odmian tlenku krzemu

Nie tylko Hammer, ale też Królik opowiadał mi coraz dziwniejsze rzeczy. Opowiadał on o tym, że wszyscy boją się wyjść na powierzchnię w "Awtowie", ponieważ żyją tam mutanty szczególnego typu, podobne do bojowych hipopotamów³⁹. Poprosiłem i Królik przystał na tym, że one istotnie są podobne do "bojowych hipopotamów", bezwzględnych i strasznych. Najbardziej przerażające było w nich to, że nikt nie znał ich zwyczajów, nikt też nie wyjaśnił, czego trzeba tym stworzeniom, które mogą dosyć długo siedzieć w ruinach, a potem nagle zrywają się z miejsca i pędzą po ulicy, zgniatając i swoich i innych.

Opowiadał o tym, że niedawno pojawiło się w Piterze ugrupowanie "północnych ninja", że wyczyścili Kunstkamerę⁴⁰ i próbowali walczyć z karabinierami Kirowskiej brygady za pomocą zabytkowych mieczy. Ninja od razu zdziesiątkowali, a miecze, którymi wszyscy byli zainteresowani, zniknęły bez śladu. Wojna z Kirowskimi rozkręciła się. W pewnym momencie zdecydowali się na atak. Kirowscy dogadali się z wojskowymi z sekretnych obiektów pod fabryką. Rozumiem wojskowych, Kirowscy byli pod ręką i w pełni przewidywalni, a latacze przeszkadzali wszystkim.

Z tego powodu wojskowi, przemyślawszy sytuację, weszli z brygadami pracowników i przepuścili ich przez swoje terytorium. Dzień wcześniej byłem w tym położonym zawale i zwróciłem uwagę, że między kamieniami chodnika brakuje cementu. Tylko imię ojca trzymało mnie tutaj, a nie przyjacielskie uczucia. I z nikim nie podzieliłem się wątpliwościami.

I tak nocą Kirowscy starannie rozebrali chodnik i poszli przed siebie. Po krótkiej walce przycisnęli nas do granicy stacji i nawet mi, obcemu człowiekowi, przyszło chwycić za broń.

Z moim pogarszającym się słuchem natychmiast bym ogłuchł od wystrzałów, gdyby nie stopery. I w duchu powiedziałem dziękuję Królikowi, pochwaliłem. Wokół brzęczało i świstało żelazo - to był nie używany tunel, w którym nie było niczego, oprócz śmieci i motodrezyny z wagonem. Zakrywając się tą motodrezyną, Kirowscy przystąpili do ataku na nas. Stały tam stare hermetyczne wrota domowej roboty, zablokowane jakimś zdrajcą.

Królik spróbował je otworzyć, ale mechanizm zaciął się. Kable dawno tu zgniły, no i wątpliwe było, czy napęd elektryczny działał. Królik zaczął kręcić korbą ręcznego napędu, ale tutaj go dostali. Stałem tuż obok niego i zobaczyłem, jak rozrywa się jego kurtka lotnicza na placach - jakby ktoś w środku próbował się przedrzeć na zewnątrz przez brązową skórę. Tylko mi później trysnęło krwią w oczy, a do nozdrzy dotarł zapach spalenizny.

Królika nie było mi bardzo żal, ale on przecież był jednym z niewielu, z kim mogłem porozmawiać o czymś z wyjątkiem żarcia i istnienia. I wtedy stało się jasne, że w czarnej ciemności tunelu przejście jest maleńkie dla całej ludzkości, ale ogromne dla wszystkich małych dla nas zwierzątek i, wyczuwając nosem, wybiera, od kogo z nas zacząć.

Nadszedł czas zabijając i przyszło mi zbierać się. Ległem za stertą kamiennych płytek i wycelowałem powoli w idących do nas triumfatorów. Oto jak zmieniłem się od momentu rozpoczęcia podróży. Płynnie, jak mnie uczyli, uniosłem muszkę do szyi drugiego idącego. Właśnie drugiego, dlatego że pierwszy na pewno obróci się słysząc dźwięk.

I tak się stało, i druga kula była dla niego. Ale tutaj trochę nie wycelowałem i trafiła ciut niżej niż chciałem.

Tak zabiłem człowieka, nawet dwóch. Myślałem, że będę długo przyzwyczajał się do tych uczuć wewnątrz siebie, do tego, jak zmienia się świadomość po tym, jak po raz pierwszy zabijasz. Ale niczego takiego nie poczułem, oprócz zadowolenia z dokładnego strzału. Tak cieszyłem się, kiedy trafiłem w cel z procy. I tu jest tak samo, to byli wrogowie, spotkaliśmy się w boju, a ja ich załatwiłem. A teraz, być może, załatwią mnie i potem mnie zjedzą tunelowe szczury, które nie będą miały na szyi różowej wstążki.

Trafiłem, trafiłem, trafiłem! I dwa ciała spowodowały wątpliwości dla nadchodzących, a to było nam potrzebne. Ale tylko Latacze, może, poderwali się kiedyś w powietrze, w co wierzyłem, ale strzelali okropnie.

Strzelać w tunelach zawsze jest strasznie - kule rykoszetują od porowatych rur, naprawdę nie można pojąć, skąd strzelają. A Latacze byli kolejkami, szczególnie nie celując. Powietrze wypełniło

³⁹ Бегемот (begemot) oznacza zarówno behemota jak i hipopotama

⁴⁰ Kunstkamera - Muzeum antropologii i etnografii imienia Piotra Wielkiego Rosyjskiej Akademii Nauk - pierwsze muzeum w Rosji

się świstem kul i trzaskiem kruszenia się podszewek rur. Strasznie wyobrazić sobie, co byłoby, gdyby rury były żeliwne.

Ale Kirowscy byli znacznie gorszymi wojownikami - gorzej przygotowanymi, okropnie przeszkolonymi, ale zaskakująco nieustraszonymi. Latacze strzelali mniej, od razu rozdzielając cele, ale Kirowskich było znacznie więcej.

Normalnie był Stalingrad wokół mnie, a walczący tej strony mieli takie same krótkie waciaki, które widziałem na ilustracjach w starych książkach. Czy jestem po właściwej stronie? I w ogóle, czy jest tu właściwa strona, bo to było mi zupełnie nieznanne. Jasne było tylko jedno: trzeba zobaczyć ojca i wszystko stanie się zrozumiałe.

Potem ruszyli do przodu drezynę, skąd w naszą stronę od razu zaczęli strzelać seriami z karabinu maszynowego. Tutaj, wiadoma rzecz, wszystko stało się proste: kto kogo dosięgnie pierwszy, ten i wygrał. Jasne światło reflektorów oślepia, a ty zmieniasz się w żalosne zwierzę, miotające się w centrum uwagi.

Dwóm Lataczom, którzy wybiegli do przodu, od razu rozwalili ich głupie głowy. Pierwszy raz zobaczyłem, jak rozlatuje się ludzka głowa. Jak piłka z wodą, która rozpadła się przy uderzeniu.

Wtedy któryś z bardziej lub mniej zimnokrwistych Lataczy oślepił obsługę drezyny reflektorem.

A ja wciąż chowałem się. "Spokojnie, jeszcze spokojniej, ja już, oczywiście, nie jestem tym chłopcem, który bredził o zaginionym ojcu, ale to jest przecież wasza krwawa wojna, a nie moja krwawa wojna. No, wojna, ale nie trzeba się już zachwycać. »Wszelka krytyka powinna być w umiarkowanej ilości«, jak powiedział naczelnik stacji »Sokół« na spotkaniu ze świniarzami" - próbowałem przekonać samego siebie.

Ale wszystko skończyło się całkiem szybko - Latacze, w końcu, zastrzelili maszynistę drezyny przeciwnika i, spadając, nacisnął na wsteczny. Drezyna pojechała trochę w tył i Kirowscy pobiegli. To znaczy oni jakby pobiegli, ale w tunelu zrobili założone dzień wcześniej fragmentaryczne kopalnie i ten, który biegł szybciej od innych, już wierząc w zbawienie, zmienił się w sito.

Latacze pobiegli po tunelu na spotkanie za swoimi towarzyszami, między którymi był i mój ojciec, zrozumiałe. W końcu zobaczyłem ojca z daleka. Patrzyłem na jego plecy, zasłonięte formalną kurtką lotnictwa cywilnego. Poznałem go od razu. Ale wtedy odwrócił się i zobaczywszy go z profilu, nagle się zawahałem. Z jakiego powodu to wszystko, nagle to nie on? Zawsze wierzyłem, że mogę znaleźć ojca. Ojciec był duży i przystojny, tak jak myślałem o nim w dzieciństwie. Teraz rozumiem, że on nie był tak naprawdę przystojny, wzrost miał niewielki, ale najważniejsze, on był bardzo mądry. Umysłu było mu nie zajmować, a ja wierzyłem, że taki sprytny człowiek, jak mój ojciec, może zniknąć - nawet w tym piekle.

"Ale nie, to z pewnością on" - zdecydowałem w końcu.

Przecież o to modliłem się przez kilka lat do tych bogów, którzy byli pod ręką. Spełniły się wszystkie moje marzenia, ale ja nie byłem szczęśliwy, dlatego że to, co zaczęło się później, było gorsze od wojny.

Masakra Kirowskich nastąpiła od razu w tunelu, przy niewidocznej linii demarkacyjnej między stacjami, zmieniając wrogość w znaki drogowe dla ewentualnych gości. Tak zrozumiałem, że miejsce było wybrane właśnie w celach pokazowych. Dla wygody więźniów wykonano ją na kolanach. Lotnik sam strzelał w tył głowy zwyciężonym. Przywykłem, że w podziemnych wojnach jeńców nie biorą, ale w życiu takie coś widziałem po raz pierwszy.

- Bang! - i nowy jeńiec przewrócił się na bok.

- Bang! - padał inny.

Ale nie, to nie mógł być on! Ojciec był sprytny, lubił kawały, ale nigdy nie był okrutnym mordercą.

Patrzyłem na przywódcę w granatowej kurtce ze złotymi szewronami i uznanie stopniowo opuszczało mnie, jak odchodzi woda do morza przy odpływie. Teraz siedział na przednim wagonie drezyny-trofeum, nogi mu wisiały i palił jakiś niewyobrażalny tytoń domowej hodowli.

Nie, to nie był on! I szczęście mnie ogarnęło. Nie, to nie ojciec, a moje poszukiwania znowu będą wydawały się nieskończone. Nie, na pewno niczego nie znajdę, ale to tylko lepiej, niż mieć ojca-ludożercę.

Trzeba było odejść, ale okazało się, że to nie jest takie proste. Biegłem na północ tunelem, ale zdołałem dotrzeć tylko do znaku "Granica stacji". Złapali mnie tam i ogromny Sybirak, z którym

dopiero co ramię w ramię walczyliśmy z Kirowskimi, związał mi ręce za plecami. Uśmiechnął się: "Krok w prawo, krok w lewo - próba ucieczki, skok na szynę kontaktową - prowokacja".

I zabrali mnie do Lotnika.

- A z tym co robić?

Lotnik ze zdziwieniem popatrzył na swojego pomocnika.

- No, koleś, nowicjusz na wolność chciał. Bez pozwolenia zbiegł. Oczywiście wyjaśniłem, że od nas się nie odchodzi, ale on...

- Puść go - i znowu zapalił swojego śmierdzącego papierosa.

Nie, to nie był on. Dokładnie tak.

I poszedłem w stronę "Bałtyckiej" bez żadnej nadziei spotkania swoich. Właściwie, właściwie było nie wiadomo, kto jest teraz dla mnie "swój". Władimir Pawłowicz na pewno się stoczył, a do tego, że Matematyk i Mirzo są już w drodze do Moskwy, nie miałem żadnych wątpliwości.

Tylko że w rzeczywistości wszystko było inaczej. Zobaczyłem dziwną, ledwie dostrzegalną w ciemności sylwetkę człowieka, wyglądającego z łącznika. To był Władimir Pawłowicz, pomachał mi ręką. Matematyk za swoim adiutantem poszli sprawdzić nachylony tunel, a Władimir Pawłowicz został, żeby czekać na mnie w łączniku między tunelami. Nasi pracodawcy zaoferowali wyruszenie beze mnie. Ja im naprawdę nie byłem potrzebny, to Władimir Pawłowicz był u nas kolejowym specem, a moja lotnicza kariera kończyła się, do niczego im byłem, tylko żeby rzucić mnie pod nogi wroga, jeśli ktoś nas będzie gonić. "Przed siebie! - krzyczał nasz łysy matematyczny przyjaciel. A ja mu tak: »A idź ty...«" - i sam sobie dziwiłem, przecież odzwyczaiłem się przeklinać przez dwadzieścia lat. Przy czym wiedziałem, że przeklinanie nie przyniesie żadnego skutku. Zrozumiałem, o czym mówił Władimir Pawłowicz. Bywają chwile zmęczenia i napięcia, kiedy ludzie zapominają o wszystkim, czego nauczyła ich cywilizacja, i taka chwila nastąpiła u Władimira Pawłowicza, chociaż ani razu nie widziałem go zdenerwowanego.

- Oni jeszcze pomachali mi przed nosem lufami, ale ja powiedziałem: "Strzelajcie! W końcu dane mi będzie złamać nos, zanim w ogóle wystrzelę. Zaczynaj, tchórzliwa świniol!"

Ostatnie słowa rzeczywiście nie zgadzały się z poglądem Władimira Pawłowicza, a ja przyjąłem, że one są skądś z jego poprzedniego życia. Jakbyśmy poczuli wolność, jak dwaj śludzy, którzy stopniowo poznawali słabe punkty panów.

Jednym słowem, Matematyk i Mirzo poślęli bunt na statku i czekali na mnie, żeby iść na Wyspę Wasiljewską.

Mój towarzysz zamilkł, widocznie oczekując, co ja powiem. Ale ja, wahając się, usiadłem wprost na betonie, zastanawiając się nad odpowiedzią na proste, ale bezdźwięczne pytanie. Ale nikt o nic nie pytał. Władimir Pawłowicz, widocznie zrozumiawszy, że jeśli niczego nie mówię, wszystko jest tak źle, że opowiadać ciężko.

I on miał rację. Jak było napisane w jakimś czasopiśmie, które czytałem w dzieciństwie: "Lepiej żuć niż mówić". Te słowa wylatywały na obrazku z ust człowieka i jego wybór był jasny.

I, wspomniawszy ten rysunek, rzuciłem okiem na konserwy w workach i w jednym z nich znalazłem słoik z ziemną fasolą zmieszaną z dużymi kawałkami wieprzowiny. Skinąłem na Władimira Pawłowicza i zacząłem w milczeniu jeść. Łyżka miała długą rączkę, jedna na dwóch i naprzemiennie wsadzaliśmy ją do garnka. Byłem absolutnie przekonany, że nigdy w życiu nie próbowałem niczego lepszego, to też miało podobny smak do historii w jednej z tych książek, które czytałem w dzieciństwie.

- Przysięgałem mamie - belkotałem z pełnymi ustami - dopiero teraz stało się jasne, co to takiego prawdziwa "wielka wyzerka".

Matematyk i Mirzo pojawili się w samym środku naszego przyjemnego doświadczenia.

- Co nas opóźnia? - spytał Matematyk niezadowolonym głosem. - Ruszymy się kiedyś czy nie?

Zamiast odpowiedzieć Władimir Pawłowicz zebrał łyżką fasolę, oblizał ją i podał mnie. Nie powiedzieliśmy ani jednego słowa, póki słoik nie był wylizany do czysta.

- No, oczywiście, objaliśmy się - powiedziałem, wycierając usta dłonią. - Niczego nie robiliśmy. I oczywiście jesteśmy spóźnieni. I wszystko to moja wina. Tak, tak, rozumiem.

Póki szliśmy wzdłuż torów, Władimir Pawłowicz wyjaśnił sytuację.

Okazało się, że Matematyk z towarzyszem nie znaleźli dziewczyny, której szukali, a dziewczyna była im rozpaczliwie potrzebna. Mimo wszystko Matematyk miał poczucie pokrewieństwa, nie potrzebnie w to wątpiłem.

Żyliśmy w dziwnych pomieszczeniach "Instytutu technicznego", zaraz za warsztatami, dlatego prace cały czas przynosiły do nas zapachy lutowania, gorącego metalu i jakiejś chemii. Miejsce było nieznaczej wielkości, surowe, a jedzenie skromne. I dni mijały nie za wesołe, choć ja cieszyłem się za każdego. Dni straszne, głodne, kiedy dzienna porcja zmniejsza się do znacznej garści ohydnej mącznicy na dłoni. Ale ja lubiłem, lubiłem ten okropny gorzki smak, chrzan skądś wzięty, z jakichś jodowych i mulistych brzegów pojawiająca się newska wilgoć.

Na ścianie Władimir Pawłowicz pokazał mi tabliczkę z instrukcjami. Tam na kartonie z żółtymi plamami, pisało: "15 ERR w składzie GRD, OOD, 1/2SG 2AC (to 2/7 KPT), GMEChAT i 1 SG bez 1 zw. jest zobowiązany do wykonania PKPPR na OGN MASz 32 w rejonie KPP 11, 12, 8 po wywiezieniu ludzi z SPR13 i schronów 10, 11 i dalszej pracy w OP OMP zgodnie z rozkazami NGO OGN-2".⁴¹

- Co to za galimatias? - spytałem.

- To nie galimatias - odparł Władimir Pawłowicz - to najprawdziwszy nowy język, teraz prawie utracony. Nie znam wszystkich słów. OGN - to obiekt gospodarki narodowej, SPR - schron przeciwradiacyjny, ERR - ekipa reagowania ratunkowego. PKPPR - pilne i konieczne prace porządkowo-remontowe. A z czego u nich składała się ekipa, nie pamiętam. A GMEChAT - to jakieś zmechanizowane... Nie, nie pamiętam. W ogóle, "o ósmej alarm radiacyjny, o dziewiętej pełna ewakuacja". Dwadzieścia lat, znaczy, wisi, a może i całe czterdzieści, sądząc po "gospodarce narodowej". Nigdzie nie poszła, a gdzie te ekipy ratunkowe, gdzie ten obiekt gospodarki narodowej numer dwa?

Ale za to w czasie, kiedy ja szukałem swoich, chwała Bogu, nie znalazłem niczego, Matematyk szukał swoich, a oni mieli lepsze perspektywy.

Okazało się, że Matematyk znalazł miejsce pobytu niejakiego Waški, który mógł znać tajemniczą dziewczynę. Wyjaśnili mu, że Waška to Wyspa Wasiljewska, więc i tutaj pokazał wytrwałość i znalazł możliwy adres dziewczyny. Pomagał mu ktoś z miejscowych i zdaje mi się, że nie bez korzyści.

Władimir Pawłowicz demonstracyjnie zainteresował się miejscem, do którego przyjdzie wyruszyć w drogę. Ja zaakceptowałem go sobie, teraz już wiele nauczyłem się o podziemnym Petersburgu: i o ogromnych miastach, i o enklawie muzułman na północy, którzy żyli na Oziernach i Kołomiagach⁴². Kurban Bajram⁴³, zdaje się, zapach baraniny dochodzi do "Pietrogradzkiej". Dowiedziałem się o wojnach o zakazany towar na "Ulicy Dybienko" i o mrocznych Błokadnikach, stworzeniach, które żyły wiecznie i powoli stawały się wyroczniami i sędziami. W ogóle, dowiedziałem się dość, na przykład, że jest masa miejsc, gdzie obcy, ledwo przybywszy, zmienia się od razu w eksponat Kunstkamery. Tylko pływać będziesz nie w spirytusie, a w podziemnych rzekach.

I Władimir Pawłowicz uparcie spytał:

- Jaki jest dokładnie adres?

Matematyk pokazał mu jakąś kartkę:

- Piąta linia⁴⁴, dziewięćdziesiąt siedem, jedenaście.

I tak pojechaliśmy na "Wasilieostrowską", długo i z problemami brodząc przed siebie. Rankiem Matematyk znowu sprawdził dokumenty i mapy. Kilka razy wpatrzył się w magiczną kartkę, na której ciągle pojawiało się "5-ta linia (tutaj był niezrozumiały zawijas), 97 11". Ale, mrużąc oczy, widziałem, z jakim niedowierzeniem na nią patrzy, jakby cyfry w nocy mogły zamienić się miejscami.

Wyszliśmy z "Technolożki" i, kiedy zaczęli targować się o dreżynę na "Sennej", prosto z tunelowej ciemności wyszedł do nas Siemieckij. Twarz miał natchnioną, a ja pojąłem, że on rwie się do przeczytania nam nowy wiersz. Czytać mu nie dali, ale na dreżynę wzięli.

Dreżyna jechała powoli, a ja leniwie patrzyłem, jak wyją się po ścianach dziesiątki przewodów - grubych i cienkich, migają drogowe znaki.

⁴¹ Co się dało - przetłumaczyłem, reszta pozostaje tajemnicą

⁴² Kołomiagi - dzielnica na północy Petersburga, stoi w niej jeden z dwóch meczetów w mieście

⁴³ *Kurban Bajram* (albo *Id al-Adha* - arab. Święto ofiarowania) - święto muzułmańskie

⁴⁴ Linia - rodzaj ulicy

Przez całą drogę tutaj najpierw przenieśliśmy się dzięki drogowym znakom moich snów, a potem po drogowych znakach metra, ale szczęścia to ja nie mam.

A znaki okazywały się być fałszywe - przypomniałem sobie przekreślony okrąg w zawale przed założonymi tunelami, mówiący, że to, rzeczywiście, zawał. A potem zawał okazał się jak raz przejściem, przez które przeszła kirowska banda.

Władimir Pawłowicz siedział obok, skuliwszy się jak chory ptak.

Nagle wzdrygnął się i powiedział:

- A wiesz, jakie jest główne podobieństwo Moskwy podziemnej i podziemnego Pitera? A mianowicie w tym, że powietrze jest to samo. Na powierzchni jest różne, tam wszelkie chodniki i ścieżki, podjazdy z gankami, a wewnątrz - taka sama atmosfera. To, Sasza, to społeczna atmosfera oblężonego miasta, gdzie różnica między bogactwem a ubóstwem zawiera się w posiadaniu kawałka koniny...

To były dziwne słowa, no skąd wziąć u nas koninę? Pewnie chciał powiedzieć - wieprzowinę.

Ale, nie zważając na nic, wyruszyliśmy z udogodnieniami i dotarliśmy do "Wasilieostrowskiej" dosyć szybko i już pukaliśmy do drzwi wewnętrznej platformy peronu. Z oficjalnego pozwolenia władz wyszliśmy na powierzchnię, nikogo nie przepuszczając.

Natychmiast znaleźliśmy gigantyczny opuszczony supermarket, gdzie zderzyły się dwa wózki na kółkach. Plecaki zostały wrzucone do wózków, które po zniszczonej nawierzchni jechały kiepsko, ale wszystko to było lepsze, niż taszczyć ten ciężar na sobie.

Doszliśmy do końca 5-tej linii, ale odkryliśmy, że żadnego 97 domu na niej nie ma i być nie może. Numeracja domów urywała się wcześniej, a ostatnim był budynek jakiejś fabryki, widocznie, obronnej, sądząc po ogromnych metalowych beczkach, wytaczających się z jej bramy. Beczki były z nierdzewnej stali, prawie nie tknięte przez czas. Leżały pośrodku ulicy, podobne do sekcji tajnych rakiet.

- Stójcie - nagle olśniło mnie. - A może być tak, że to jest dom jedenaście, a mieszkanie dziewięćdziesiąt siedem. To znaczy na odwrót, rozumiecie?

Matematyk od razu mnie zrozumiał.

- Zbieramy się - rozkazał.

I my, wstawszy, potulnie potruchtaliśmy z powrotem. W końcu zatrzymaliśmy się przed szukanym domem, ogromnym, wychodzącym w głąb kwartału, z jakimś wewnętrznym podwórkiem.

Dom wyglądał zaskakująco brudno i nawet obrósł nieprzyjemnym fioletowym bluszczem. A w ogóle zauważyłem, że jest tu całkiem dużo tego bluszczu, który rósł niewiadomo skąd, ale oplatał całe kwartały. Ale mi, obsypanemu pyłem Carycy nocy, było nie przywykać.

Dotarliśmy się na trzecie piętro i znaleźliśmy mieszkanie. Okazało się, że jakieś gigantyczne apartamenty były tu podzielone na małe mieszkania. Dlatego też w adresie znajdowała się liczba 97. Tylko że jedna fałszywa ścianka zawałowała się i dziura prowadziła do sąsiedniego mieszkania, całkiem innego pod względem stylu.

To było miejsce zamieszkania dosyć dziwnego człowieka, ozdobione licznymi plastikowymi drobiazgami, ornamentami i złoceniem tej radiacyjno-chemicznej nieruchomości, której dwadzieścia lat bezczasowości jej nie brali. Nawet wanna na szeroko rozstawionych, zgiętych nogach była złota. Ale tutaj już nie wiedziałem, co to było za złocenie.

Siemieckij znowu pobiegł na zaplecze, jak w domu na Placu Austriackim. Sytuacja powtórzyła się dokładnie. To znaczy równowaga sił była ta sama: my w zasadzce, a nieznanymi Aborygeni byli potencjalną zdobyczą. I Siemieckiego po prostu zamknęli na zapleczu, żeby nikogo nie przestraszył, tylko tutaj nie mógł wyskoczyć przez okno. Przy wspinaczce nie był jeszcze widziany. Postawili mnie w kącie w kuchni, żebym się nie mieszał, a mi tylko tego było potrzeba. Byłem tam jak uczeń, prawie nie dłubałem w nosie - to Matematyk szukał swoich krewnych, a nie ja - ojca. To nie było moje święto.

Choć siedzenie nasze w zasadzie powtórzyło się, ale w rzeczywistości z innym rezultatem. Nie nastąpił jeszcze wieczór, jak usłyszeliśmy kroki. Ten, kto wchodził po schodach, jawnie niczego się nie bał. Kompania młodych ludzi wpadła do mieszkania i jak tylko weszli wszyscy, Mirzo cicho zamknął drzwi wejściowe.

Przed nami, przyczajonymi w różnych pokojach, łazili całkiem dziwni aborygeni. Byli młodzi, wcale nie podobni do jakiegoś marginesu społecznego, przypominali prędkiej muzyków z orkiestry symfonicznej. Wszyscy w czerni, to znaczy w długich czarnych płaszczach i kapeluszach z szerokim rondem. Przynieśli do tego mieszkania jakieś worki i , sądząc po wszystkim, zbierali się tutaj na nocleg. Ktoś zapalił papierosa, a ja zrozumiałem, że to nie tytoń, a jakaś trawa. Słabo wiedziałem, jak pachną konopie, a prawdopodobnie, to była ona.

I wtedy Matematyk wyszedł ze swojej ryjówki i spokojnie, ale dosyć głośno zawołał:

- Lena!

Jedna z dziewczynek wydała zdławiony krzyk, a jej towarzysze zamarli w miejscu. Jeden z czarnych zaczął wyciągać spod palta jakąś broń, ale Mirzo prosto z brzucha puścił krótką serię, która odrzuciła młodego człowieka w bok. Upadł na kolana, z jego piersi leciała fontanna krwi. Serce wyrzucało ciec falami i dlatego zdawało się, że pluje na brudną podłogę. I wtedy zwałił się, tracąc swój dziwny kapelusz.

Widocznie, zapatrzyłem się na to, dlatego że jeden z czarnych okazał się być zaskakująco blisko mnie. Ba! To była dziewczyna, z początku tego nie pojąłem, dlatego że była wysoka, a długie palto zakrywało figurę. Swój kapelusz też straciła, tylko że jej to nie przeszkadzało. Ona nie uciekła, a jakoś skoczyła na mnie i z rozmachem wałnęła pięścią w podbródek. "To dopiero cios" - pomyślałem, po czym rzuciła mnie pięścią na ścianę. Przytomności nie straciłem z zupełnie nieznaną mi przyczyną.

Ta szalona dziewczyna na końcu kopnęła mnie nogą, szarpnęła do siebie drzwi, znajdujące się obok, na które, przyznaję, nie zwróciłem uwagi. Pękły złuszczone tapety, posypał się tynk i dziewczyna, drobno stukając butami, zbiegła po schodach tylnego wyjścia.

"No niczego sobie, schodził po chleb..." - jak zwykle mawiał naczelnik stacji "Sokół", opowiadając anegdotę o tym, jak spod motodrezyny wytaczała się zakrwawiona głowa.

Głowa mi co prawda prawie odpadła. W pokoju sytuacja zmieniła się w międzyczasie. Dziewczyna wyrwała się z rąk Mirza i krzyczała niewiadome:

- Lucas! Lucas!

Odwróciła się, widać, do ucieczki. Jeden z czarnych leżał, tak ja wcześniej, na środku pokoju, a pod nim utworzyła się już całkiem duża kałuża czarnej cieczy. Drugi półleżał w kącie, nie ruszając się, a Władimir Pawłowicz stał przy ścianie, melancholijnie gwizdząc, jakby wszystko, co się wydarzyło nie miało z nim nic wspólnego. Matematyka nie było widać.

Obejrzałem się: tył mojej głowy zostawił na tynku nieduże, ale dobrze widoczne wgłębienie z rozchodzącymi się od środka pęknięciami. Potarłszy głowę, poszedłem do pozostałych i niemal nie stałem się kolejną ofiarą tej wesołej imprezy.

Znajdujący się w zdołowaniu młodzieniec, który siedział, skuliwszy się, wyjął lufę, jakiś stary, elegancki pistolecik i strzelił nie celując. Dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy chcieli dzisiaj mojej śmierci. Kula gwizdnęła mi nad głowę i zrzuciła porządny kawałek zdobienia z gzymsu.

Mirzo, praktycznie nie patrząc, wypuścił serię i młodego człowieka odrzuciło do ściany. Rozłożył ręce jak owad z przypiętymi skrzydełkami.

Tadzyk podszedł do niego i wykonał kontrolny strzał. A potem powtórzył to z drugim Aborygenem. Nie mówiąc, że podobało mi się to, ale wybierać stronę w tej strzelaninie nie było konieczne.

Po tym wszystkim Mirzo szybko i niespodziewanie uderzył dziewczynę w tył głowy. Ona zwiotczała, a on ściśle związał ją sznurem, który wydobyl z jednej ze swoich bezdennych kieszeni kamizelki. Mirzo przerzucił sobie dziewczynę na ramię, jak bezwładną zdobycz i przeniósł przez dziurę do sąsiedniego mieszkania.

Tam, w pustym ogromnym pokoju, czekał na nas niewiadomo jak przybyły tutaj Matematyk. Siedział na taborecie. Na kolanach miał ciągle ten sam dziennik.

Uważnie wpatrzył się w twarz dziewczyny, trzymając ją dwoma palcami za podbródek. Dziewczyna, obudziwszy się, machnęła głową i próbowała ugryźć Mirza, ale on szybko i dokładnie chwycił ją za twarz dłonią.

- Co myśmy w nim znaleźli? Czemu jesteśmy winni, że skontaktowaliśmy się z nimi? - mruknął patrząc na mnie Władimir Pawłowicz. - SS-mann, zwierzę, sam widziałem, że patrzył na ludzi jak na mięso.

Nic nie powiedziałem. Jacy SS-manni, o czym on mówi? Wyglądało to tak, jakby na świeżym powietrzu i w słonecznym świetle z głębi świadomości Władimira Pawłowicza zaczęły wypływać jakieś stare księgi i on rozmawiał nie ze mną, a z ich bohaterami.

- O mój Boże! - powiedział Matematyk. - Ile jest na niej wszelkich gnid. Tak pełną...

- Kto pełnie? - spytał ze zdziwieniem Mirzo.

- No wszy. U nas ich nie było, dwadzieścia lat, nie, trzydzieści lat ich nikt nie widział. Zanim z nią porozmawiamy, trzeba najpierw ją umyć, zdezynfekować...

"Oto i jeszcze jedna sprawa" - pomyślałem.

Matematyk, dosłownie czytając mi w myślach, dodał:

- Nie martw się, nie ma czasu. Puść ją. Tylko żeby nie umarła z nieprzyzwyczajenia.

"Nie - przykro pomyślałem - to nie jego krewna..."

Mirzo, słuchając się jego rozkazów, rozpałił na wyłożonej kafelkami, zaskakująco pięknej podłodze przedpokoju ognisko. Kiedy szczątki dwóch foteli wesoło zatrzeszczały w ogniu, Mirzo postawił na środku kompozycji wiadro i zaczął grzać wodę. Dziewczyna szalenie spojrzała na nas, a właściwie na Matematyka, który przysunął swój taboret do ognia. Ona swym zwierzęcym instynktem wyczuła w nim przywódcę.

Mebel szybko zmienił się w węgiel, było cicho i przerażająco. Mówić o niczym się nie chciało.

Następnie Mirzo nalał wody do dużej miednicy. Przeniósł dziewczynę do miednicy i wyjął swój wielki i, jak mi wiadomo, ostrzy jak brzytwa nóż. A liny jej trochę poluzowali.

W tym momencie zrozumiałem, co to takiego pamięć rodowa. Mirzo działał tak samo jak jego przodkowie przed Kataklizmem, i przodkowie jego przodków. I wyobraziłem sobie, jak on podrzyna gardło tej dziewczynie - dokładnie tak samo, jak i jego krewni ubijali owce, szybkim i pewnym ruchem, a następnie wyciągając na wierzch flaki, żeby dać ściec krwi. Nawet pokręciłem głową, żeby odgonić tę wizję.

Tymczasem Mirzo wsadził jęczącą dziewczynę głową do ciepłej wody i zaczął ją strzyc, od czasu do czasu rzucając na betonową podłogę kępki włosów nieokreślonego koloru.

Ona już nie jęczała, nie rzucała się pod jego ręką, a tylko lekko drżała, a ja ponownie wspomniałam, że w tych książkach, które czytałem, owce, koniec końców, wiotczały, zdawszy sobie sprawę, że opór jest bezcelowy. Mirzo ogolił dziewczynę głowę i wtedy zrozumiałem, dlaczego to wszystko się stało.

Dokładnie na czubku głowy były widoczne zarysy dziwnego tatuażu - linii i liczby, przy czym tatuaż okazał się mieć dwa kolory. Na czubku, na szaro-białej skórze były dziwaczne linie i widać było, że za wiele lat, wzięwszy pod uwagę czas powstania tatuażu, mapa stanie się niewyraźna.

Zbędnych pytań nie zadawałem, oczywiście było, co to jest. No i dobrze, szczegółów nie musiałem znać, ale i tak było wiadomo, że na dziewczęcej głowie znajduje się część schematu Leningradzkiego metra z jakimiś liczbami.

Matematyk wpatrzył się w nie i rozkazał swojemu adiutantowi:

- Dokładnie tak trzymaj, dokładnie, powiedziałem!

Kilka razy szczerknął aparat fotograficzny, a potem Matematyk zaczął przerysowywać sobie schemat do książki.

Zrozumiałem, że on do końca nie dowierzał elektronicznej technice: siadają baterie, trafimy do mocnego pola magnetycznego, nigdy nie wiesz, co się wydarzy. A rysunek zostanie, a jemu zawsze można wierzyć. Jeśli oczywiście nie oślepniesz. No, czy sam rysunek nie przepadł, nie jest podarty ani spalony.

Wiele razy życie udowodniało mi, że najbardziej długowieczne okazują się najprostsze metody zapisu. Ktoś powiedział, że po Kataklizmie ostały się rysunki maszyn odsalających, według których stworzyli te urządzenia, bezproblemowo dostarczające wodę populacji metra. Ale kierownictwa, które było zachowane na elektronicznych nośnikach, nikt nie mógł przeczytać, zawiniła jakaś niezgodność formatów. One zwyczajnie nie otworzyły się na ocalałych komputerach, które były bardzo drogo kupowane na innych stacjach. Komputery okazały się być bezużyteczne, a nieszczęśliwy i brudny papier żył sobie i chronił wszystko, co potrzebne.

Matematyk w międzyczasie skończył przerysowywać obrazek i zamknął swój dziennik.

- Wsio, można rozwiązywać - powiedział i wstał ze swojego taboretu.

Łysą dziewczynę rozwiązali i ze zniechęceniem usiadła na podłogę, nie podejmując próby ucieczki gdziekolwiek. Matematyk był zadowolony, a to można zrozumieć: coś ważnego już zrobił, zapisał w

swojej książeczce i upiększył swój łajdacki świat. Tylko się zmartwiłem, czy nie usunie dziewczyny tak jak niechcianych świadków. Ale, zdaje się, nie obchodziła Matematyka.

On wesoło polecił przynieść zapasy i rozłożyliśmy je na szalonej urody rzeźbionym stole, w wielu miejscach już naciętym czyimiś nożami. Daliśmy kawałek i łysej dziewczynie, a ta w milczeniu zula wieprzowy koncentrat, jakby zapomniawszy, że niżej leżeli, jeszcze nie do końca zimni, dwaj jej towarzysze. My, zresztą, zapomnieliśmy o Siemieckim, a on pojawił się sam, wyważając swoje drzwi i przyczepiając do nich drewnienko.

Myślałem, że Siemieckij będzie rozpytywać, co i jak się stało. Ale nie, jak tylko zobaczył dziewczynę, tak wesoło zagruchał:

- Łyseńka... Chodź tutaj, łyseńka.

Dziewczynka pokornie przytuliła się do niego, a ja tylko teraz porządnie się jej przyjrzałem. Wydawała mi się trochę szalona. Widziałem takich w Moskwie wśród uchodźców, którzy trafili pod działanie promieniowania psychotropowego. Nie to żeby człowiek tracił rozum, ale staje się nazbyt posłuszny i łatwowierny, dokładnie jak młody szczeniak, ciągle liczący na troskę i uczucia. Nie wiem, może, tutaj od grzybów tacy się stają, ale myśleć w tym kierunku nie chciałem.

A oto poeta swojego nie przegapił i nawet nie poszedł pośpiesznie w głąb mieszkania, a bokiem czołgał razem z łysą dziewczyną.

Matematyk spojrział na to pochmurnie, ale nie przeszkadzał. Dziewczyna widocznie była czymś w rodzaju niemego zwierzęcia, ale jemu póki co potrzebnego. Myślałem, że on ją zastrzeli albo odda Mirzo, żeby ją też zarznął, jak owcę. Przecież żywa dziewczyna zagrażała tajemnicy, tym rysunkom i zdjęciom, które zrobił Matematyk. Ale według mnie nie oczekuje się powodu do sprzątnięcia.

To podważało logikę wydarzeń w moich oczach, ale ani trochę mnie to nie smuciło. Smuciło mnie to, że drugi raz znalazłem się po stronie zła, na wieki stając się jego współnikiem. Już później żadnemu Konduktorowi nie powiesz, że nie chciałeś, że taka jest logika życia po Kataklizmie albo, jak mówią tutaj, Katastrofy.

Z jakiegoś powodu Matematyk podjął decyzję, żeby nie wracać tą samą drogą. Ale i poprzednia droga się zmieniła. Kiedy wyszliśmy z domu, straszny wiatr wyrwał prosto z naszych rąk drzwi wejściowe i z rozmachem uderzył w nie tak, że z góry spadła na mnie cynowa tabliczka "Zachowajcie ciepło". Tabliczka była aktualna - zimno strasznie mnie przeszywało. Wyszliśmy na nabrzeże.

Mirzo pierwszy zobaczył blask lunety w oknie i schował się za fragment ulicznej latarni. My też rzuciliśmy worki przy kracie. Zrozumiałem, co było dziwnego w tym domu - wszędzie okna były wybite, a to dokładnie wstawiono. Na parterze były dokładnie zabite deskami, a na zewnątrz było prawdziwe szkło. Jedno okno było otwarte i tam zobaczyłem sylwetkę człowieka, który pomachał nam ręką. Przedyskutowawszy, poszliśmy do tego muzeum etnograficznego schronić się przed wiatrem.

Właściciel w kurtce z koronkami spotkał się z nami u podnóża schodów i to okazał się dosyć silny, rzekłbym, pulchny człowiek z chińską bródką. Co tu dużo mówić, opiekunem Kunstkamery był najprawdziwszy Chińczyk. Nie widziałem wielu Chińczyków w życiu, ale Koreańczyków - tak, Koreańczyków u nas na "Sokole" nie brakowało. I dziadek Kim, który uczył mnie ćwiczeń oddechowych, był prawdziwym Koreańczykiem, ale człowiek stojący przede mną, miał całkiem inny rozstaw oczu. Kim uczył mnie, że wschodnie narody trzeba odróżniać właśnie po rozstawie oczu.

Chińczyk ceremonialnie uklonił się i zauważyłem, że żarty żartami, a za nim stał RKM, oparty o framugę drzwi. Widać różni goście bywali w tym budynku. Chińczyk zupełnie nie był zaskoczony poznawszy, że jesteśmy z Moskwy. On w ogóle niczemu się nie dziwił, ani nie pogodził za oknem, ani nam. Może tylko intensywnie wpatrzył się w dziewczynę, która tuptała po schodach. Wziął jej głowę w dłoń i spojrział w oczy, a napatrzywszy się, z politowaniem cmoknął językiem.

Tak bywa, kiedy człowiek zachwyca się jakimś przedmiotem, a potem zobaczy na nim pęknięcie albo wyszczerbioną krawędź i smuci się. Ale po tym Chińczyk wyjął z kieszeni dwie metalowe kule, które natychmiast zadzwoniły, i włożył je w ręce dziewczyny Leny. Ona z entuzjazmem zaczęła toczyć je w dłoń i całkowicie pochłonęło ją to zajęcie. Przy czym tak pochłonęło, że do nocy jej nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy.

Chińczyk powiedział, że najwyższy czas pić herbatę. Niewielka była gościna, ale w takiej godzinie jest drogo. Usiedliśmy przy niskim stole, a Chińczyk rozlał herbatę z wyczuwalnym zgnitym

smakiem. Piłem z pochwałą, Władimir Pawłowicz także, ale Matematykowi ta sytuacja jakoś nie przypadła do serca. Matematyk patrzył na Chińczyka z widoczną ostrożnością.

Byli jak dwa niedźwiedzie w jednej jaskini i wyglądało na to, że Matematyk boi się, że Chińczyk wie o nim coś za dużo. Właściciel Kunstkamery, zdawało się, niczego nie zauważył, wokół były eksponaty i wydawało się bardziej ożywione. Manekiny w pancerzach z włącznikami kręciły głowami, bawełniane chałaty⁴⁵ ruszały się w gablotach, drżały stare mapy na ścianach. To mi się oczywiście tylko zdawało, ale po słuchowych halucynacjach, które zacząłem doświadczać w tym mieście, już nic mnie nie zadziwi.

Chińczyk, gładząc swoją kurtkę z koronką, w między czasie z zalem opowiadał, że wielu ludzi próbowało wejść w jego posiadanie, żeby wypić spirytus ze słoje z dziwadłami. Prawda, potem tacy bardziej zorganizowani chuligani ukradli z ekspozycji wszystkie samurajskie miecze. A chiński generał, zamrożony w swojej dziwnej chałacie i hełmie z wysokim pióropuszem, podobnym do brązowej pałki tataraku, zdawało się, kiwał głową i mówił:

- Tak-tak, wszystkie samurajskie, i chińskie zresztą też.

W takt tego kiwania kołysały się mu złote frędzle na brzuchu. Oto jakie rzeczy robił tu projektant. No a na zewnątrz budynku, jednakże, wiatr wiał taki, że wyginał drzwi.

Obok, w rogu, stała woskowa, tak mi się zdawało, figura człowieka z brodawką. Był przygruby, niemłody, ubrany w kurtkę, a co oznaczał, było zupełnie niewiadomo. Jednakże przygotowałem się do tego, że wszystko tu jest niewiadomo do czego. I tak było. Moi towarzysze poszli do piwnicy, gdzie działał wychodek specjalnego systemu z prawdziwym odpływem, co prawda, ręcznego napełniania. Czuło się, że właściciel w toaletach rozumie. W kolejce postanowiłem nie stać i przystąpiłem do świeckiej pogawędki.

- A jakie jest pana otczestwo⁴⁶? - spytał nagle szybko gospodarz.

- Można i bez otczestwa.

- Nie, lepiej już z otczestwem. Takie są moje zasady.

- Nazywam się Aleksandr Nikołajewicz - odparłem i, powiedziawszy imię odojcowskie, wspomniałem o ojcu.

To było jak lekki zastrzyk przypomnienia.

- Niech pan powie - spytałem - a co to za kucharz tutaj wędruje?

- Kucharz?

Opowiedziałem mu o losie psów na Placu pałacowym. Nie od razu domyślił się, że dla pseudokucharza były przekąską, a potem powiedział:

- Chwileczkę, widział pan te balony. To są balony i to jest biomasa, z jakiegoś powodu lubią nazywać ją pseudociałem⁴⁷, ale to jest jedno i to samo, ma prymitywny rozum. Te balony kopiują obiekty. Widziałem, jak one tworzyły podobiznę admiralijskiego lwa. A w pańskim przypadku powtórzyły kształt jakiegoś plastycznego kucharza, który dwadzieścia lat stoi obok martwej restauracji i kiwa na zagubionych przechodniów. Z jakiegoś powodu był nienaturalny. Przecież ten reklamowy kucharz jest na pewno jedynym, kto w tym mieście chodzi w białym fartuchu i czapce.

Później porozmawialiśmy o pamiątkach, których, zdaje się, na powierzchni było więcej niż ludzi. Chciałem spytać o dziwne dziury w rzeźbach, ale Chińczyk uprzedził mnie:

- A, dziura w imperatorze? To jego chcieli przenieść, ale tylko ogon oderwali.

Po pewnym zamieszaniu wyjaśniło się, że on ma na myśli pomnik Aleksandra III. Właśnie jego Chińczyk uważał za najprawdziwszy chodzący pomnik, który widzieli w różnych częściach miasta. Nie tak dawno, już po Katastrofie, chcieli go przenieść do Smolnego, ale do tych ludzi przyszedł Konduktor i pomnik stoi teraz na środku Liejnego, wprost na platformie ciągnika. No i z dziurą w miejscu ogona to prawda.

"Nie - postanowiłem - być może, nie powinno się go pytać o pozostałe rzeźby".

Ale, chyba domyśliwszy się pytania, Chińczyk spochmurniał:

- Wie pan co, Aleksandrze Nikołajewiczu, wydaje mi się pan dziwnym człowiekiem. Jest pan niedobrym człowiekiem. Nie, nie, widzę, że się pan obraził, a ja nie miałem na myśli obrazić pana.

⁴⁵ Chałat - sięgająca stóp odzież w formie płaszcza noszona w niektórych krajach Wschodu

⁴⁶ Отчество - imię odojcowskie

⁴⁷ Dostłowne tłumaczenie słowa *псевдоплоть*, także rosyjskiej nazwy mięsacza z serii S.T.A.L.K.E.R.

Nie jest pan łatwym człowiekiem, z celem, co się mówi. Pan nie ma tu zwyczajnie korzyści, a ideę. Ideę! A w tym mieście takiemu człowiekowi ciężko. W tym mieście ideowca zgniata jak od śmiertelnej dawki promieniowania. Wielu widziałem tu ideowców w poszukiwaniu czegokolwiek. No i na Wyspie Wasiljeostrowskiej dokładnie nie warto było się wtrącać. Tutaj, wie pan, nie żyć, a umierać dobrze. Do nas tutaj zewsząd przychodzi umierać. Czego panu, śmierci trzeba? Czy musi się pan spotkać z Mechanobrem, który zabija tutaj, na Wasiljewsiej? Jest pan na nią gotowy? A panu przecież niczego takiego nie potrzeba. Żadnego diabła szukać temu, kto ma go za plecami.

- W sensie? Jakiego diabła? - postanowiłem w końcu wmieszać się w to kazanie.

- To takie powiedzenie. A jeśli chce pan rady, i prostą radę, to, jednym słowem, nie powinien pan tu jechać. - Strażnik Kunstkamery spojrział w moje oczy swoimi, żółtymi i niemrugającymi.

Patrzył tak, że naturalnie robiło mi się gorzej i gorzej.

- Zapoznał się pan z tym miastem, jak ten uczeń, który zapoznawał się przez nieporozumienie z żoną swojego nauczyciela. A nauczyciel to odkrył, ale udawał, że nie widzi i milczał. Raz posłał ucznia karmić świnię. Ale ledwie ten wszedł do chlewu, jak się zaraz zmienił w wieprza. No i jak pan rozumie, panie Aleksandrze Nikołajewiczu, ten nauczyciel zaraz posłał po rzeźnika. Rzeźnik upił świniaka i zaczął sprzedawać mięso. Nikt o niczym nie domyślił się, tym bardziej, że nauczyciel wszystkim mówił, że młody człowiek od dawna już u niego nie bywał. Tylko ojciec go szukał, ale to już inna historia. Historie o podróżach zawsze opierają się na tym, że ktoś kogoś szuka.

Nagle roześmiał się:

- No dobra, olać to! Niech pan nie będzie taki poważny. I jeszcze przychodzili do mnie buddyści. Weseli ludzie, niczego nie boją się.

- Kompletnie niczego? Nawet psów?

- Nawet psów. I Konduktora się nie boją, dlatego że Konduktor jest jakoś podobny do ich koncepcji o życiu i śmierci. Kiedy wszystko się zaczęło, oni niewzruszeni przenieśli się z Primorskiego prospektu na stację "Stara wieś". Przy czym nikt z nich po drodze nie zginął. I teraz siedzą sobie w półmroku "Starej wsi" i od rana do nocy dmą w swoje długie rury. Prawda, ci buddyści ze "Starej wsi" mają specjalną, zmodyfikowaną wiarę. Na przykład zwyczajnie jedzą mięso i chodzą z bronią. Ja ich nie osądzam. U mnie tutaj działa toaleta, czy to nie jest niezwykle? A buddysta, wiedzący dużo o kotletach - to całkiem naturalne. I pomyśleć, jak nożna pompa przepompowuje do zbiornika wodę - to nauka, a ludzkie dziwactwa - to proza życia. Żyjemy tutaj i to szczęśliwe życie w piekle.

- Wszyscy tak żyjemy.

- Jedyne plan piekła jest już tworem wysokiego geniuszu.

- Co to?

- To Puszkina.

- Tak?

Powiedziałem to po prostu po to, żeby wypełnić ciszę. Znajdzie się u ludzi słowo na każdą możliwość. A mój rozmówca, ten chiński diabeł, mówił jak jakiś indiański wódz, jakby przemówiła jedna z tych masek, które wisiały u niego za szybami gigantycznych szaf...

Znowu przysniło mi się lotnisko, nad którym wisiał ciężki całun chmur. Deszcz walił po domku meteorologów, obok którego bezwładnie wisiała czerwono-biała "skarpeta". W bramie nie było wartownika i zwyczajnie obszedłem taki sam czerwono-biały szlaban i poszedłem do wieży. Dziwne, że we wszystkich tych snach za każdym razem wyglądała inaczej. Teraz to był budynek, podobny do latającego spodka, kropka w kropkę jak westybul "Gorkowskiej", tylko uniesiony na wysokim postamencie.

Szedłem do niego po skosie przez lotnisko, chociaż uważa się to za zły omen. Ojciec nigdy by tak nie poszedł, ja także. Przeklinałem siebie za to, ale cały czas szedłem, dopóki, całkiem mokry, nie dosięgłem drzwi.

Drzwi były zamknięte. Nikogo nie spotkałem w tym śnie, nie było kogo spytać, co robić dalej.

I obudziwszy się i przycisnąwszy ręce do mokrej twarzy, zrozumiałem, że świat jeszcze bardziej zmienił się. Surowo i groźnie wył za ścianą wiatr, powodując pragnienie rzucenia wszystkiego i biegnięcia, nie zważając gdzie, żeby tylko wyjść z tego domu, huczącego jak rura.

Rozdział VI Wielka powódź w Leningradzie

Gdzie posągi pamiętają mnie młodym, a ja pod newską pamiętam je wodą.

Anna Achmatowa

Kiedy z Władimirem Pawłowiczem, Siemieckij ze swoją łyseńką i Matematyk z niezmiennym Mirzo wyszli z Kunstkamery, to poraził mnie wiatr, jakiś dziwny był ten wiatr. Nie ucichł, a stał nie to żeby silniejszy, a bardziej elastyczny i twardy. Cholera wie co to był za wiatr! Mało tego, że odzwyczaiłem się od wiatru przez dwadzieścia lat, znaczy się wiele przeciągów, ale kiedy jesteś wewnątrz tunelu, nawet silny podmuch powietrza postrzega się zupełnie inaczej.

A tutaj wiatr wiał wszędzie.

Coś łomotało, po ulicy przetoczył się jakiś okrągły żelazny cylinder, kosz czy nie kosz, ale coś głośniego i blaszanego.

Newa była ogromna, nie wyszła z brzegów, nie rozlała się, ale jakoś uniosła się. Ze strony Zatoki Fińskiej wlewała się do miasta powoli i równomiernie, jak jakiś przerośnięty przypływ, do miasta wlewały się fale z pianą na wierzchu.

Byłem pod wrażeniem przenikliwości i prawdziwej geometrii tych fal, przy czym tak samo zaskakujące było to, że zmieniły się kolory budynków na nabrzeżu. Wszystko było w jakimś żółtym i różowym świetle.

"Aurora" zniknęła pod wodą.

Na Moście pałacowym, na samym jego środku, stał czarny pies i wył. Z początku uznałem, że to jeden z psów Pawłowa. Ale nie, on był sam, i nawet stąd widać było o ile jest większy. Nie byliśmy przesądni, ale iść w tę stronę nikt z nas nie to żeby nie chciał, a zwyczajnie u nikogo taka myśl się nie pojawiła.

Kiedy przylecieliśmy do tego miasta, zdziwiła mnie ta cisza. Nie zważając na to, że byliśmy wtedy w pobliżu tej samej rzeki, ani plusku fal, ani żadnego innego dźwięku nie słyszałem. A teraz to było zupełnie inne miasto. Zdawało się, że wszystko w nim poszło w ruch. Coś szczeżało, łomotało i się objało.

Kawał blachy na starym dachu Kunstkamery poszedł w ruch i wybijał coś wymownie, praktycznie alfabetem Morse'a. Mosty zbliżały się do Newy, po której płynęły jakieś śmieci. Miasto, wydające nam się wtedy naprawdę wymarłym, teraz ożyło. Tylko żyło ono samo, a nie wychodzący z podziemi ludzie, nie delta-mutanty, nie jakieś pseudociało, a przedmioty nieożywione. Wyrastające na ulicach drzwi kołysały się wspólnie, w takt, jak sportowcy na porannych ćwiczeniach.

Otworzyło się okno i rama zaczęła rytmicznie klaskać, jakby ktoś niewidzialny chciał rozbić szyby. I nerwowo ciągnął za uchwyt. Szyby rzeczywiście rozbiły się, a rama, straciwszy swoją powierzchnię, przestała stukać. Po ulicach latało wszystko to, co mogło toczyć się i było takie wrażenie, że dziesiątki przedmiotów ożyły i zaczęły przemieszczać się po mieście Petersburgu same, nikomu nie znanym sposobem.

Wspomniałem staruszkę w lokalnym metrze, która przepowiedziała śmierć miasta. Mówiła, że przy Puszkynie był pierwszy dzwonek, w siódmym roku władzy radzieckiej drugi, a teraz, praktycznie po stu latach, będzie trzeci i miasto już się po nim nie podniesie. Zaleje wszystko woda i będzie miejsce puste, i bagna ponownie skruszą jego granit, a ił zatopią place, i ryby wpłyną do domów przez okna.

Teraz byłem gotów jej uwierzyć.

- Spójrz, Sasza! - zawołał mnie nagle Władimir Pawłowicz.

Stał obok studzienki kanalizacyjnej i wpatrywał się w jej pokrywę. Też spojrzałem na to, co było pod nogami i odkryłem, że z dziurek w tej pokrywie wylatują strużki wody grubości palca. Po pięciu minutach wokół studzienki była już duża kałuża. Spojrzałem na chodnik w oddali - tam wszędzie rozlane były maleńkie jeziora. Wody przybywało powoli, ale nieustannie.

Matematyk tępo patrzył na wodę. Zdawało się, że jest z lekka zaskoczony, zobaczywszy wodę przy samych nogach. Przez pewien czas z niedowierzaniem przypatrywał się jej: woda przyszła do niego jak nieznanne zjawisko. W jego dzienniku nic o tej ulicznej wodzie nie było wspomniane i on patrzył na nią, jak profesor ze starej powieści patrzył na przedstawionych mu pracowników.

Ponadto, obiekt badań w ogóle nie zamierzał zniknąć. To przypominało gościa, którego wszyscy znają, że on jest gościem i on sam to wie, ale jeszcze wyciąga z portfela szczoteczkę do zębów i ręcznik, a następnie ze specjalnej torby wydobywa domowe kapcie i zaczyna się przebierać, z każdą minutą rozkładać wszystkie przyzwyczajenia i wygody.

Wzruszywszy ramionami Matematyk wrócił do nas, mówiąc, że jest tam rzecz, nawet ja byłem zdziwiony. Co, powiedzmy, o tym myślicie?

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że nasze koło czytelnicze może okazać się diametralnie przeciwne. Czytałem w opuszczonej bibliotece wszystko na chybił trafił, ale, być może, dosyć mało książek ze wzorami. A on na pewno tylko je czytał, i to, co mi wydawało się naturalne dla tego miasta, dla niego było zaskakujące.

I dokładnie, okazało się, że Matematyk nie błędnego wyobrażenia o petersburskich powodziach. Jednak czas uciekał i, niewiele myśląc, weszliśmy do sklepu sportowego przez witrynę i wyjechaliśmy z niego na rowerach. Siemieckiemu trafił się najmniejszy.

Przejechawszy przez jakiś zaułek znowu zobaczyliśmy wodę. Jednakże zobaczyliśmy jeszcze stado pawłowskich psów.

Władimir Pawłowicz już wyciągał zza pleców automat, ale zaraz zrozumiał, i zrozumiał pierwszy z nas, że z tymi psami coś się stało. Były mokre i smutne.

Czy to było to, co nazywa się "wodnym przymierzem", tylko na odwrót, powstałym nie z powodu żądzy, a z powodu strachu przed wodą, czy to coś stało się z odruchami u tych zwierząt, ale one wcale nie miały zamiaru nas gonić. Jeden pawłowski pies, przysięgam, nawet machał ogonem, kropka w kropkę jak przyjacielskie psy z dziecięcych książek. Stado zagroziło nam drogę.

Stało w Kawierińskiej alei i z ciekawością patrzyło na wodę. Woda podchodziła do nas powoli, cichymi krokami, jak podchodzi ten sam gość, który będzie żyć w naszym domu wiecznie. Psy powoli się cofały, a i my przemieszczaliśmy się, zsiadłszy z naszych dwukołowych środków transportu. Woda zbliżyła się, a pawłowskie psy od czasu do czasu obracały w naszą stronę mordy, jak by mówiły: w porównaniu z nimi jesteśmy jednej krwi, prawda?

Wtedy zdałem sobie sprawę, że skądś znam tę historię. Czy to przeczytałem ją w opuszczonej bibliotece, czy to ktoś mi ją opowiedział, ale istota rzeczy była w tym, że psy ze zmienionym odruchem warunkowym w chwili powodzi tracą ten odruch ze strachu, który zmienia je w poprzedni, normalny psi stan. Jednakże eksperymentować z tym stadem nie miałem żadnych chęci. Póki o tym rozmyślałem, woda doszła do tego, co nazywa się w Piterze krawężnikiem.

Patrzeć na to nie było żadnej radości i z powrotem wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy do mostu porucznika Schmidta. A z lewej, nad wyciekami wody, galopował mroczny jeździec na koniu z dziurą w zadzie.

Z tej strony Plac Pracy już zalało, zalało i bulwar, woda dotarła do okien parteru, wlała się do sklepów; domy stały mniejsze, skrócone.

Pomyliliśmy się w wyborze kierunku po przejechaniu przez Mojkę⁴⁸ po Moście Poczujewa. Przeleciałem wzrokiem po byłych oknach na drugim piętrze domu dokładnie naprzeciw mostu: jak w dzieciństwie, wydawały się ogromne.

Żał tylko, że nigdy nie wiedziałem ani nie dowiem się, kto żył tutaj później. Czasu nie ma, żeby zatrzymać się i pooglądać. Ja już myślałem, żeby krzyknąć do swoich towarzyszy i otworzyłem usta, ale nie mogłem zdobyć się na krzyk. Ale krzyk i tak dotarł do uszu. To był krzyk Matematyka, poczuł z tyłu nowe zagrożenie i wrzasnął jak zarzynany. Od strony Newy leciało do nas stado pseudomew.

Zawracając zanurkowało na coś, co brodziło w wodzie i zobaczyłem, jak wylapały z wody kilka brnących i wyjących psów.

Ale poeta nasz został z tyłu, następny zachód przyszedł do niego. Jedna pseudomewa chybiła, ale druga rozpędzona trafiła go dziobem w plecy i wyrwała bezwładne ciało z siodełka roweru, ale tak, że nasz dwukołowy przyjaciel jeszcze trochę przejechał zanim upadł. Łysa dziewczyna Lena głośno krzyknęła i jeszcze szybciej zaczęła pedałowić, chichocząc przy tym jak dziecko. Od tego od razu zrobiło mi się sucho w ustach, jakbym zacisnął zębami przewód niskiego napięcia.

Pseudomewa uniosła biednego Siemieckiego gdzieś w stronę stoczni, ale w tym pościgu emocje chwilowo były niedostępne. Smutek przyjdzie później, a teraz działało na nas znieczulenie przez strach.

⁴⁸ Mała rzeka w centrum Petersburga, część delty Newy

Stać się kolejną ofiarą nikomu z nas się nie spieszyło i, wznosząc kołami fale, wjechaliśmy w jakiś hol. Okazało się, że trafiliśmy do ogromnego teatru. Wody przybywało, a w audytorium stała już po kolana. Pływały skrzypce i kontrabasy.

W ogromnym leju Placu Sennego, burząc się i bulgocząc, wlewała się woda.

- Nie powinniśmy tu być - powiedział jakoś niepewnie Matematyk. - Tutaj wszyscy zginiemy.

- W żadnym miejscu nie powinniśmy być - odpowiedział Władimir Pawłowicz i, jakby nie patrzeć, miał rację.

- Ale musimy iść na "Instytut Technologiczny".

- To pan musi tam iść, a czy ta stacja będzie istnieć za kilka godzin?

Matematyk poradził sobie z zakłopotaniem i pewnie powiedział:

- Będzie. Przecież jest bardzo technologiczna.

I ona okazała się być technologiczna.

Później mówili mi, że przy napłynięciu wody inżynierowie "Technolożki" natychmiast blokować tunele. Wznosiła się powoli, ale zaskakująco równomiernie i właśnie dlatego wzrost ten wydawał się nam nieskończonym. Byliśmy ostatnimi, którzy dotarli do nich na stację w ostatnim momencie.

Dotarliśmy akurat w chwili, kiedy sprawne, silne chłopaki zamknęły do połowy hermetyczne wrota. Napęd elektryczny skrzydeł pracował wystarczająco głośno, ale nasze krzyki z pędzącymi po wodzie rowerami przebiły nawet to. A wołaliśmy zwyczajnie "Aaaaaa!"

Jednakże ten długi dźwięk zawierał w sobie wszystkie możliwe słowa.

"Instytut Technologiczny" brzęczał jak pobudzony ul. Tutaj wszyscy rozumieli niebezpieczeństwa powodzi, jednym słowem, technokraci. Paniki nie było i tylko po wyrażanym niepokoju na twarzach było wiadomo, że wiedzą wszystko o nadchodzących kłopotach.

Tym razem rzuciliśmy rzeczy do innej przechowywalni, która dzieliła się na dwie części. W drugiej już rozłożyli się ludzie z niepokojącej zmiany, którzy ewakuowali się na stację z tuneli.

Po tym jako rodzaj wsparcia poszliśmy razem z Matematykiem na spotkanie. Lena szła w środku naszej grupy, uśmiechając się i płasając, jak tresowana małpka.

Ze zdołowaniem spojrziałem na nią i straszno mi było od tego połączenia atrakcyjnego wyglądu i zwierzęcych instynktów.

Ludzie, z którymi mieliśmy się spotkać złapali nas w długim korytarzu, kończącym się szybem wentylacyjnym. Nikogo tutaj nie było, jeszcze czego, minęliśmy stanowisko ochrony, ale niepokojące głosy brzmiały i tutaj przez stłumione głośniki ostrzeżenia.

Zza stalowych drzwi, wiodących do jakichś laboratoriów, wyszedł podobny do technologa człowiek i zaprowadził nas do pomieszczenia, przypominające ukryte centrum komunikacyjne. To znaczy nie zadawałem zbędnych pytań, ale to była to było centrum nadawcze, takie jak sobie je wyobrażałem.

Przy pulpicie czarowali ludzie w dosyć brudnych, ale z natury białe fartuchy. Na nas nie zwracali zdecydowanie żadnej uwagi. Pulpit przed nimi był oświetlony. Na nim migwały lampki, tylko że niektóre z nich, gasnąc, już więcej się nie zapalały. Martwo szerniała Wyspa Wasiljeostrowska, nie dawała oznak życia Pietrogradzka strona, błysnęło i zniszczone centrum miasta.

Przygnębiony tym widokiem popatrzyłem na Władimira Pawłowicza, ale on tylko wzruszył ramionami. Cholera go wie, że tak powiem, co to takiego. Z przeciwległych drzwi wyszedł staruszek w białym fartuchu i zaczął, mrugając, oglądać nas. Drzwi za nim pozostały niezamknięte i za nimi był widoczny długi tunel, ginący w ciemności.

Staruszek ten spodobał mi się, jest takim typowym profesorem-ekscentrykiem. W białym fartuchu i z brodą.

- Ej, Usyskin, przyjmijcie klienta - krzyknął Matematyk i, zdarłszy czapkę z łysej dziewczęcej głowy, popchnął Lenę do staruszka.

Staruszek najpierw wpatrzył się w jej twarz, a następnie, płacząc, objął. Dziewczynę zabrali do środka, staruszkowi dano stamtąd plastikową walizkę. Matematyk o czymś negocjował ze starcem, a ja myślałem o dziewczynie. Do córki starca nie pasowała, bardzo się różnili. Spóźniona miłość? Kim dla niego jest, nigdy się nie dowiem. Może jednak córka? Wnuczka? Na co mu ta męka, patrzeć spokojnie, czy wesoło i obsesyjnie? Czy to jest dla niego szczęście?

Nie ma dla mnie odpowiedzi.

Matematyk otworzył tą niedużą walizkę, głośno szcękając zamkami, wsadził nos do środka i kiwnął głową. Znaczący, że wszystko jest dobrze. Ale tylko po wadze było wiadomo, że nie ma tam żelaza i nie jakieś urządzenie. Matematyk w międzyczasie podszedł do nas. Staruszek z dziewczynką już maszerowali przez korytarz. On po drodze pomachał ręką i my odpowiedzieliśmy tym samym.

Wyszliśmy z pomieszczenia i ruszyliśmy do naszej nory na krańcu stacji. Poszedłem do kokpitu i przypadkiem pomyliłem drzwi. W sąsiednim pokoju na tapczanie leżał w samotności jakiś chudy chłopak w kasku wirtualnej rzeczywistości. Choć leżał do mnie plecami, po dyszeniu domyśliłem się, co on robi.

Władimir Pawłowicz, stojący za moimi plecami, też domyślił się i gwizdnął:

- My dwadzieścia lat na gruzińskiej monecie, gdzie jest dziewczyna z dzbanem, masturbowaliśmy się, na portret Lermontowa. A ci co wygrali!

No już nie wiem, co powiedziałyby na to naczelnik stacji "Sokół", ale mieszać się w czyjąś prywatność w tej niepokojącej godzinie nie chcieliśmy.

Wieczorem Matematyk wydał nam podwójną porcję. Władimir Pawłowicz zaraz pobiegł do stoiska handlowego na krańcu podziemnego miasta i kupił alkohol. Wszystko szybko wyprzedano, jak w godzinę przed końcem, a jemu udało się dorwać dosyć mało.

- Teraz pozostaje zastanowić się, jak wrócimy do domu - powiedział Matematyk i złowrogo spojrział na mnie. - Ktoś ma jakieś sugestie?

A jakie mamy sugestie - ukraść wyrzutnię "Smiercz" z jakiejś jednostki wojskowej pod miastem i zasuwać do Moskwy po słynnej drodze E-95, która teraz jakoś inaczej, prawda, nazywa się. Ale gdzie weźmiesz tą wyrzutnię, jakie jest jej położenie i aktualny stan zapisane jest w wielkiej księdze Matematyka.

Chyba, że...

Rozdział VII Skalpele martwych chirurgów

Udaliśmy się na górny peron, poszliśmy do maszynisty i spytaliśmy go, czy nie jedzie on do Kingston. Maszynista odpowiedział że pewności nie ma, ale jego zdaniem jedzie. A jeżeli nie on o 11.05, to z pewnością pociąg o 9.32 do Wirginii, albo dalekobieżny ekspres na wyspę White. I że na pewno się zorientujemy jak dojedziemy na miejsce. Włożyliśmy mu w rękę pół pensa i poprosili go by zabrał nas 11.05 do Kingston.

- Nikt z pasażerów się nie dowie, gdzie jedziemy - powiedzieliśmy – wiecie, ruszajcie tak po cichutku i jedźcie do Kingston.

- Cóż panowie dżentelmeni - odpowiedział ten szlachetny człowiek – zgadzam się, jakiś pociąg do Kingston powinien jeździć. Dawajcie po pół pensa.

Tym sposobem dojechaliśmy do Kingston, Londyńską Północno Zachodnią linią.

Jerome K. Jerome. Troje panów w łódce (nie licząc psa)

Głos Władimira Pawłowicza był cichy:

- Wiem, co powinniśmy robić. Pojedziemy parowozem - powiedział spokojnie.

"Jakim znowu parowozem?" - przeleciało mi przez głowę.

Parowozów już od wielu lat nie ma. Sto lat pewnie, nie wiem nawet ile. Ale okazało się, że Władimir Pawłowicz wyraża się w metaforycznym, można powiedzieć, sensie.

Matematyk uważnie spojrział na niego. Tak, zapewne uczony patrzył wcześniej na probówkę, w której umieścił drożdże, a z rana odkrył maleńkiego człowieka-homunkulusa.

- Na Dworcu Warszawskim stoi "Skalpel".

Co to takiego jest "Skalpel", zdaje się, wiem. To był kompleks raketowy, zamaskowany jako zwyczajny pociąg z wagonami-chłodziarkami. Uważny wzrok rozpoznałby w nim coś niezwykłego, ale do samego rozpadu ZSRR to była rzecz sama w sobie, mitologicznym przedmiotem miejskich legend.

- Stał, chciał pan powiedzieć. - Głos Matematyka był niewzruszony i bezbarwny. - Chciał pan powiedzieć, że na Dworcu Warszawskim dwadzieścia lat temu stał mobilny kompleks raketowy "Skalpel".

- Tak, właśnie to chciałem powiedzieć - odparł Władimir Pawłowicz pochmurnie. - Ciągle spadamy w dół, pokonujemy drogę do "Bałtyckiej", żeby opuścić miasto.

- A dlaczego pan myśli, że muzealny eksponat jest sprawny?

- Dlatego, że on powinien być sprawny. On powinien być nie tylko sprawny, ale i w gotowości bojowej.

- Co, i rakieta też?

- I rakieta, rozumie się, też.

Ale tutaj nasi szefowie, o dziwo, nie zaczęli się kłócić. O tej godzinie "Instytut Technologiczny" nie tylko od północnej części tunelu, ale i od południowej. Byliśmy ostatnimi, którzy dotarli na stację od północy i, zdaje się, byliśmy ostatnimi, którzy wyruszyli w stronę "Bałtyckiej".

Tutaj póki co było sucho, ale widziałem, że między szynami ciekł maleńki strumyk. Coś działało się z moim słuchem, dotarły do mnie trzaski ziemi i szum wody gdzieś na górze, całkiem daleko od nas. Jednym słowem, trzeba było się śpieszyć i ścigaliśmy się w stronę "Bałtyckiej" po zupełnie pustym tunelu. Wyszliśmy na powierzchnię z holu na plac, który był póki co suchy. Cała jego przestrzeń była bezładnie zajęta przez samochody.

Było widać, że ludzie próbowali gdzieś pojechać, mając rozpaczliwą nadzieję, że po szynach można to jeszcze zrobić.

Mnie to, przyznaję, dziwiło. Masz własny samochód - uciekaj z miasta na kołach! Oczywiście było, że na dworcu będzie dom wariatów. A może oni spotykali się z krewnymi? Nie, nic nie ma sensu.

Dokładnie na chodniku stał zardzewiały wózek bagażowy. Rzuciliśmy na niego swoje rzeczy i prowadziliśmy przed sobą. Staliśmy się zadziwiająco podobni do uchodźców - liczne skrzynie i bagaż Matematyka zmieniły się w cztery niezbyt obszerne plecaki, w jednym z których leżała tajemnicza walizka.

Sami byliśmy obdarci i brudni i prowadziliśmy wózek do Obwodnego kanału, przedstawiając sobą dosyć żalony widok.

I wtedy zobaczyliśmy Konduktora. To była taka ironie losu - zawsze wszystko się dzieje, kiedy ty się tego nie spodziewasz. Chociaż ironia polegała też na tym, że spotkaliśmy Konduktora zaraz obok dworca. Konduktor w moim dzieciństwie był nierozzerwalny z koleją. Konduktor ten nie zarządzał tramwajem ani trolejbusem, a był postacią z kreskówek. To był taki czarny człowiek w czapce, konduktor-conducator. Conducatozem zwali rumuńskiego wodza, zdaje się.⁴⁹ Najważniejszego Rumuna rozstrzelali czterdzieści lat temu razem z żoną.⁵⁰ Zabili go przed moim urodzeniem, a to słowo ostało się z jakiegoś powodu w mojej pamięci. Konduktor był nie pracownikiem kolei z biletami, ale kierującym. Dokądś prowadzącym i od tego kierunku "dokądś" było straszno. Raz w dzieciństwie matka, kiedy rozkaprysiłem się, powiedziała, że odda mnie kierującemu.

I w pośpiesznej panice wyobraziłem sobie, jak konduktor-kierujący prowadzi mnie do czegoś, znajdującego się za drugim przedsionkiem, straszego kawałka nicości.

I oto on, Konduktor, przed nami.

Zrozumiałem, że to jest właśnie Konduktor nie po jego wyglądzie zewnętrznym, a właśnie po tym strachu, który u nas wywołał. Pode mną dosłownie ugięły się nogi.

Zrozumiałem, że żyłem po nic, że życie było pozbawione sensu, że zmarnowałem wszystko, co było mi dane przez Boga. I muszę przedstawić, czego ja, właściwie, dokonałem w życiu, a do pokazania nie mam niczego.

Czarna sylwetka Konduktora zbliżyła się, ale na jej drodze stanął Mirzo. I wtedy stało się najbardziej zaskakujące - Tadżyk nagle zdjął z ramienia automat i wycelował. W tym momencie był podobny do obrazka z plakatu o treningu strzeleckim. I stał prawidłowo, i prawidłowo trzymał broń - prawdziwy wojownik. I wtedy zaczął strzelać w Konduktora.

Dla mnie to było jak atak polskich ułanów na czołgi. Bezmyślnie, ale spowodowało szacunek do sposobu samozniszczenia.

I, niech no diabli wezmą, wydało mi się, że Konduktor nieznacznie zwolnił. Widocznie, temu gadu nie spодobało się, że jedzenie się go nie boi. Być może rzecz jest w tym, że Tadżyk był właśnie prawdziwym żołnierzem, może odezwała się wschodnia dusza naszego towarzysza, ale Konduktor szedł do niego znacznie wolniej niż wcześniej.

I tym Mirzo nas wszystkich uratował. My, prawie pełzną, turlając się, odsunęliśmy się od Konduktora, który skoncentrował się na Mirzie.

Zrozumiałem, że Konduktor wywołuje nie zwyczajnie strach, a straszny wstyd, wówczas należałoby przymiotnika gwałtowne, dlatego że to był wstyd, zmieszany z jasnym i logicznym zrozumieniem bezsensowności swojego istnienia. Było ci wstyd, jak ostatniej gapie, którego hańbią przed całym wagonem i chce mu się umrzeć w tej chwili, tu i teraz, żeby tylko to się skończyło. Chce się, żeby cię chociaż wywieźli i skazali przed sądem, choć na śmierć, żeby tylko zakończyć obecną sytuację. Nic dziwnego, że wszyscy świadkowie Kontrolera próbowali zabić to uczucie. Panika i strach mogą prowadzić do gorączkowych i bezsensownych ruchów, a wtedy chciało doprowadzić się do porządku i następnie, natychmiastowo, udusić. Przy czym to wynikało z jakichś niepodważalnych i logicznych argumentów, których później, nie ważne jak próbując, nie dałem rady sobie przypomnieć.

W mojej głowie też zadziały jakieś bezpieczniki, ratujące od szaleństwa. A Mirzo umiał przeciwstawiać się Konduktorowi przez około dziesięć minut. W moich oczach to było bliskie temu, jak dziesięć minut przeżyć w kadzi metalurgicznego pieca.

Tak czy inaczej, odpełziliśmy dostatecznie daleko, kiedy ból w głowie stał się nie do zniesienia i jeden za drugim straciliśmy przytomność. Potem okazało się, że jako jeden pamiętam ten moment, jak Konduktor położył rękę naszemu tadżyckiemu towarzyszowi na twarzy. Władimir Pawłowicz zawsze wierzył, że takie cechy są swego rodzaju rekompensatą za moje nocne sny i przebudzenia w pocie.

Co zaskakujące, wyszliśmy na nabrzeże Obwodnego kanału. Woda podniosła się i przelała przez żeliwną kratę. Na nabrzeżu było pusto. Samochodów tam nie było, co więcej tam nie było ani śmieci, ani szkieletów aut, do których już przywykłem.

⁴⁹ *Conducător* (rum. przywódca, wódz) - tytuł, który nadał sobie rumuński dyktator Ion Antonescu, rządzący w latach 1940-44, na wzór Hitlera (*Führer*) i Mussoliniego (*Duce*)

⁵⁰ Chodzi o rumuńskiego dyktatora komunistycznego Nicolae Ceaușescu, rozstrzelanego w 1989 roku razem z żoną Eleną; także tytułował się *Conducător*

Ale póki szliśmy, po jakichś piętnastu minutach woda jeszcze się podniosła i wyszła poza kanał, wyrównując nabrzeże z Obwodnym.

Usunęliśmy zamek z bram Muzeum Transportu Kolejowego i, pośpiesznie, wspięliśmy się na peron. Władimir Pawłowicz prowadził wózek w jednym znanym mu kierunku, ale szybki i my zrozumieliśmy, dokąd nas wiedzie. Nad torami stała rakietka, zaczynając się we wnętrzu srebrzystego wagonu. W pobliżu kolejnego wagonu niedużego pociągu podnieśliśmy się, podnosząc fontannę bryzg. Na czele szarego składu stała lokomotywa, z wyglądu podobna do zwykłych, tylko że intuicyjnie rozumiałem, że nie wszystko jest w niej takie proste.

Matematyk poszukiwawczo rozejrzał się. Pomyślałem, że jak raz nie jest teraz w swoim żywiole. Po jego stronie nie było ani przewagi liczebnej, ani jakiegoś wyższej idei. Przetrwa tylko dzięki naszej dobrej woli i serii zbiegów okoliczności. Tym bardziej, że teraz nasze życie zależy nie od jego sekretów - ukrytego w hangarze samolotu, a od sekretów Władimira Pawłowicza. Tymczasem Władimir Pawłowicz męczył się z drzwiami lokomotywy i, w końcu, otworzył je. To było jego pięć minut.

Nigdy nie byłem wewnątrz takich maszyn, ale przypuszczałem, że ta lokomotywa w ogóle nie jest podobna do seryjnych. Rzeczywiście, przyjaciół mój wsunął rękę do jakiejś szafeczki, poszperał tam, chrząknął z zadowoleniem i coś nacisnął. Coś pisnęło i światła lampek, włączając się, przebiegły po konsoli, jak nasi świnarze za porcją żywności.

Huknęło za ścianą i rytmicznie zastukał silnik. Muzealny eksponat ożywał na naszych oczach. Żeby nie zapeszyć, postanowiłem nie pytać, czy wystarczy zużytego przez dwadzieścia lat oleju napędowego. Ale, jakby domyśliwszy się mojego pytania, Władimir Pawłowicz wesoło spojrzał mi w twarz i powiedział na osobności:

- Tutaj. Nie ma. Oleju. Napędowego. Tutaj jest całkowicie inny silnik.

Pociąg drżał, a Władimir Pawłowicz czarował nad konsolą.

- Nie mogę odczepić rakiety. Choć jest pusta to i tak jest strasznie ciężko.

Wyjrzałem na zewnątrz. Rakietka powoli chowała się w swoim wagonie, a pociąg, jak budzący się człowiek, sprawdzał, czy wszystko jest na miejscu w jego sennym jeszcze organizmie. Na koniec on, skrzypiąc i drżąc, jakby rozciągając się, ruszył się z miejsca.

Wody ciągle przybywała i szybko już pociąg stał się podobny do karawanu łódek, ciągniętych przez holownik. Władimir Pawłowicz prowadził skład pewnie, kierując się jemu jednemu znanymi znakami drogowymi i przecuciami.

Tylko dziwiłem się. Ważne jest, żeby przeżyć z człowiekiem dwadzieścia lat, żeby zrozumieć, że miał niezwykłą przeszłość życiową, o której ty nic nie wiesz! Wyjechaliśmy z miasta i po okrężnej drodze skręciliśmy w lewo, w stronę szlaków kolejowych do Moskwy. Pociąg jechał wolno po to, jak rozumiałem, żeby na czas zobaczyć rozwidlenie drogi zdalnym defektoskopem.

Zielony wyświetlacz defektoskopu uspokajająco migał i powoli śmiałość od adrenaliny zaczęła mnie opuszczać. Usiadłem na podłodze i pochyliłem się do jakiejś metalowej szafy.

Błyskawicznie wpadłem w sen.

Ponownie przyśniło mi się letnie pole. Teraz była tam jesień. Monotonnie mżył deszcz. Samoloty stały pod osłonami, a ja przemieszczałem się pod parasolem.

Ojca wszędzie nie było i, kiedy to stało się dla mnie nie do zniesienia, poszedłem do jadalni. Tam mnie znali i kiedy siadłem za stołem, z kasy pomachała mi kobieta, podobna do babci Tomy. Ale przypomniałem sobie, że nie mam pieniędzy. To bardzo nieprzyjemne uczucie we śnie, kiedy czegoś nie masz, ale wciąż szukasz tego po kieszeniach, przezwydzając opór snu, jak w lepkiej wodzie, powoli przebierasz rękami, ale potrzebnej rzeczy zawsze nie ma, nie ma klucza do drzwi, nie ma dokumentów czy broni...

- Chodź tutaj, naleję kompotu - powiedziała pani zza lady.

Tam, w prawdziwym życiu mojego dzieciństwa, nazywali ją kelnerką. Dlaczego tak, nie wiem. Ona sama niczego sama nie podawała, a zawsze stała i siedziała po przeciwnej stronie chłodziarki. Chłodziarka drżała jak silnik samolotu treningowego.

- Chodź, chodź. Tak, naleję, bez pieniędzy.

Ale wtedy za moimi plecami pojawiła się starucha ze stacji "Plac Lenina" i wymamrotała coś. Baba Toma łagodnie, ale stanowczo wzięła ją za ramię i próbowała uspokoić. Starucha mówiła nie poruszając wargami. Tak często bywało w moich snach: rozumiesz o czym mówi człowiek, a wargi jego nie ruszają się, jak u kukielek w jakichś starych filmach animowanych, które czasem oglądałem.

Ale starucha wyrwała się, spojrzała mi w oczy (Panie, dlaczego mi, dlaczego?) i surowo powiedziała:

- Biada żywym teraz! Biada epoce próżnej i okrutnej.

I jeszcze mówiła, wpatrując się w pustkę, jakby czytając niewidzialną starą księgę:

- Zbliżała się zima, a w ludzkim świecie wisiało w powietrzu coś podobnego do zimowego osłabienia, przepowiednia, która była na ustach wszystkich. Trzeba było przygotowywać się na zimno, zbierać jedzenie, drewno. Ale w dniach zwycięstwa materializmu materia zmieniła się w pojęcie, jedzenie i drewno zastąpił problem z żywnością i ciepłem. Ludzie w miastach byli bezsilni, jak dzieci, w obliczu niewiadomego, które zmiatało na swojej drodze wszystkie nabyte umiejętności i zostawiała po sobie spustoszenie, choć samo było wymysłem tego miasta i tworem mieszczan. Prosty lud jeszcze kulał, tarzał się, niezdarnie idąc gdzieś ze starego przyzwyczajenia...

Chciałem spytać kogokolwiek, gdzie jest mój ojciec, ale już bez żadnych pytań wiedziałem, że kelnerka powie mi, nie otwierając ust:

- Nie ma go tutaj.

Obudziłem się dlatego, że po twarzy ciekł pot. Przede mną kuczał Matematyk. Władimir Pawłowicz uspokajająco pomachał ręką. Pojąłem, że Matematyk boi się, czy nie złapałem jakiejś zarazy.

- Nie-nie, to somatyczne. To z powodu paradoksalnego snu.⁵¹

- Bardzo ciekawe...

⁵¹ Inaczej REM - faza snu, w której występuje wysoka aktywność mózgu i pojawiają się marzenia senne

Rozdział VIII Czas martwego Buddy

Jeżeli myślisz, że wyruszając w podróż, rozwiążesz swoje problemy – mylisz się. Tak samo się mylisz, myśląc że rozwiążesz problemy, pozostając na miejscu. Najpierw posłuchaj siebie, i zrozum co ci bardziej pasuje. W domu zostać czy w podróż ruszyć. A potem kieruj się wynikiem rozumowania.

Dan Cyłun

Obok nas przemknęła ziemia Kalifatu Kołpińskiego - cały teren między Kołpinem i Mietallostrojem należał do bardzo dobrze zorganizowanych i spójnych plemion, kontrolujących całą powierzchnię, zaczynając od stacji Rybackoje. Iżorskiej Zawod był zniszczony i popadł w ruinę. Tam, jak opowiadał mi Królik, nie siedziały nawet mutanty. Tam rosła trująca, fioletowa trawa, nie zmieniająca koloru ani latem, ani zimą.

Już wyjechaliśmy z miasta, jak Władimir Pawłowicz gwizdnął:

- Niesamowita! Nie wierzę! Różnie bywa, ale żeby w tym świecie przeżyli mechanicy...

Okazało się, że zobaczył na torach tłumy robotników w pomarańczowych kamizelkach. Uwierzyć, że widzimy remont torów, nikt z nas nie mógł, a na wszelki wypadek przygotowaliśmy broń do strzelania. Ale kiedy podjechaliśmy bliżej, to zrozumieliśmy w czym rzecz. Na torach stał tłum buddystów.

Buddyści ci byli z wierzchu owinięci pomarańczowymi płaszczami. Trochę byli podobni do zwykłych mieszkańców podziemia, sądząc po kolorze ich skóry. Tak i się okazało - to byli buddyści za "Starej wsi", którzy prowadzą swój Exodus z miasta nad Newą. Długo nie przejmowali się trasą i jak wyszli ze swojej podziemnej świątyni, to poszli po torach kolejowych. Z początku przemieszczali się na wschód przez Wyborską Stronę, a potem przez Piskariowkę i "Ładożską" dotarli do na wpół zburzonego mostu przez Newę. Stamtąd było już rzut beretem do Obuchowa, a dalej zwyczajnie poszli wzdłuż Październikowej drogi żelaznej do Moskwy. Byłem zdumiony tym, jak ich było wielu. Bo przecież, silna jest ich wiara i doszli o własnych siłach tak daleko i nikt ich nie tknął.

Póki rozmawiałem z pomarańczowymi ludźmi, Władimir Pawłowicz z zainteresowaniem oglądał za nami przez okienka lokomotywy. W końcu ściągnął respirator z twarzy i ogłuszająco gwizdnął - aż usiadłem z zaskoczenia.

- Hej tam, łysi, jedźcie z nami! - krzyknął Władimir Pawłowicz z kabiny.

Buddystom nie przyszło zebrać, poszli do tylnych wagonów pociągu, tam, gdzie wcześniej było miejsce operatorów naprowadzania. Natychmiastowo usadowili się w nowym miejscu i jako pierwsze wyjęli jakieś długie rury i triumfalnie zadęli w nie.

Śpieszyć się nie było dokąd, więc zaparzyliśmy herbatę. Okazało się, że nasi pomarańczowi bracia wyruszyli do Jasnej Polany pod Tułą⁵², gdzie znajduje się grób Buddy. Dogadaliśmy się. Ich postanowienia były niejasne i ja, mając nie mniej niejasne pojęcie o religii, upierałem się, że Budda nie odradza się. Ci zmodyfikowani buddyści upierali się, że odrodzi się, ale grób jego jest w Jasnej Polanie i że umarł niedawno.

Już komu jak komu, ale mi, książkowemu chłopakowi, było dobrze znane, kto jest pochowany w Jasnej Polanie, ale zawahałem się. Jak to tak? Choć formalna logika była po ich stronie, a na po mojej. Nagle to nie Lew Tołstoj, a najprawdziwszy Budda przeszedł przez miasta i wsie, osiadł i umarł na przedmieściach Tuły? Wszystko przecież przemieszało się w ostatnim czasie, i z jakiego powodu nowy Budda nie leży w tulskiej ziemi, a ten pomarańczowy tłum nie idzie do jego grobu w celu odprawienia jakichś niezrozumiałych dla mnie rytuałów?

Nie widziałem w tym zupełnie niczego nielogicznego. Pojechałem po coś do innego miasta, szukałem ojca, zabijałem ludzi. I co? Znalazłem coś pożytecznego? Zupełnie niezrozumiałe.

Najstarszy buddysta jakby w odpowiedzi opowiedział mi przypowieść o dwóch braciach, którzy razem wyruszyli w podróż.

Bracia to całe dzieło przeczytali i młodszy powiedział:

⁵² 200 kilometrów na południe od Moskwy, jeśli chcecie wiedzieć

- Pójdźmy razem. Być może przepłyniemy tą rzekę, doniesiemy zwierzęta-mutanty do Schronu i razem znajdziemy szczęście.

A starszy odpowiedział:

- Pójdę do lasu za mutantami i tobie nie radzę. Po pierwsze, nikt nie wie, czy prawda jest napisana w tej notatce; być może, wszystko to napisano tylko dla zabawy. Być może to dwadzieścia lat temu była prawda, a teraz nie zrozumiesz co. A prze dwadzieścia lat mutanty wyrosły w takie monstra, że po nas nawet szkielet nie pozostanie. Ale być może, my nie tak zinterpretowaliśmy tekst: o tutaj jest róg naderwany. Po drugie, jeśli nawet prawda jest tu napisana, pójdziemy do lasu, a tam naniósł radioaktywnego syfu, że my poginiemy z naszymi respiratorami. Przyjdzie noc, nie znajdziemy rzeki i zabłądzimy. A nawet jeśli znajdziemy rzekę, jak przez nią przepłyniemy? Może prowizorycznych kładek tam w ogóle nie ma, a ona jest rwąca i szeroka? Po trzecie, jeśli i przepłyniemy rzekę, czy naprawdę łatwą rzeczą jest pojmać zwierzynę? A te zwierzęta z mutacją delta przecież swoje dzieci kochają nad życie! One nas zeżrą i zamiast szczęścia w Schronie zginiemy po nic. Po czwarte, jeśli nawet uda nam się złapać zwierzynę, to nawet na górę nie dobiegniemy. Ale to jeszcze nie wszystko, tutaj przecież najważniejszego nie napisano: co za szczęście my znajdziemy w tym Schronie? Być może, tam jest takie szczęście i powodzenie, że gaś światło, spuszcza wodę i my jej w ogóle nie potrzebujemy!

Młodszy powiedział:

- Według mnie wszystko jest nie tak. Na próżno nikt by tego nie pisał na ścianie. I wszystko napisano jasno. Po pierwsze, niczego strasznego nie będzie jeśli się postaramy. Po drugie, jeśli pójdziemy, ktoś inny przeczyta napis i znajdzie Schron, a miejsca jest tam z pewnością mało i zostaniemy z niczym. Po trzecie, jak nie robić i nie pracować, niczego nigdy się nie dostanie. Po czwarte, całe życie będę cierpiał, że czegoś się boję.

Wtedy starszy odpowiedział:

- I Bóg Katastrofy mówi: "Szukać wielkiego szczęścia - mało stracić". I jeszcze mówią: "Lepszy wróbel w garści, niż gołąb na dachu".

- A na to mówią: "Wilków bać się, do lasu nie chodzić". I jeszcze: "Kto nie ryzykuje, ten nie ma". Trzeba iść.

Młodszy poszedł, a starszy wrócił.

Jak tylko mniejszy brat wszedł do lasu, znalazł rzekę, przepłynął na starym zbiorniku powietrza z ciężarówki i zaraz na brzegu zobaczył zmutowane prosięta. Duża świnia, ich matka, spała. Człowiek pojmał zmutowane prosięta i pobiegł nie oglądając się na górę. Ledwo co dobiegł do szczytu, a wychodzi mu na spotkanie lud, fyrcza, przyjechał BRDM⁵³, zawieźli do Schronu, do całego podziemnego miasta i uczynili go przywódcą.

Minęło tam pięć lat. A w szóstym roku przyszli bandyci, wielu, silniejszych od nich, zwyciężyli Schron i wygnali wszystkich na zewnątrz. Wtedy młodszy brat założył pomarańczowe prześcieradło, ogolił głowę i zaczął znowu wędrować.

Po jakimś czasie przyszedł do starszego brata, który żył sobie ciągle w tym samym przeciwradiacyjnym ukryciu - nie smutno i nie szczęśliwie. Po prostu żył sobie i żył.

Starszy brat mówi:

- Miałem rację: cały czas żyłem cicho i spokojnie, a ty choć powłóczyłeś się po świecie, to widziałeś wiele smutku.

A młodszy mu odpowiada:

- Bzdura! Naprawdę nie jestem smutny, że poszedłem wtedy do lasu i na górę; choć mi jest źle teraz, to jest o czym wspomnieć i kogo pamiętać, a tobie pamiętać nie ma kogo.

Po tych wszystkich opowieściach buddyści podsunęli nam jakieś tabletki z wizerunkiem lotosu. Matematyk uważnie przyjrzał się im, powąchał i odmówił jedzenia. Nam, jednak, polecił nie gardzić, obiecując niesłychany przypływ sił.

Tylko że Matematyk mylił się, po tabletkach z lotosem natychmiast wpadliśmy w zdołowanie, a kiedy doszliśmy do siebie okazało się, że Matematyk już trzeci dzień biega wokół nas, plując i tupiąc nogami. Rozdrażnienie było tak wielkie, że próbował wysadzić buddystów z pociągu, ale to było takie samo jak obwiniać świnie, że w ich zagrodzie jest brudno.

⁵³ БРДМ (бронированная разведывательно-дозорная машина) - orancerzony samochód rozpoznawczy

Z trudem doszliśmy do siebie z Władimirem Pawłowiczem, ale jeszcze parę dni z pewnym trudem przypominaliśmy sobie, kim i skąd jesteśmy. Prawie że nie pojechaliśmy w przeciwnym kierunku, tak wielkie było nasze tabletkowe oświecenie. Matematyk próbował nawet nas bić, ale to było jeszcze bardziej bezsensowne, niż wyrzucać buddystów.

- Rany, nas jest dwóch, a on jeden - powiedział Władimir Pawłowicz zrelaksowany. - Niech nas jeszcze zastrzelą, na zawsze tu zostaniemy.

Na zawsze zostawać w Petersburgu Matematykowi się nie uśmiechało i widać było, że on woła do wszystkich bogów, żeby buddyjska trucizna opuściła nasze organizmy.

Powoli wróciliśmy do codziennej rzeczywistości i wyruszyliśmy w drogę. Opierając się o ścianę, ponownie zasnąłem.

W tym śnie, jak zwykle, trafiłem na lotnisko, tylko w moim świecie marzeń zaszły drastyczne zmiany - była w nim naruszona geometria. Lotnisko to kurczyło się, to rozszerzało pod nogami. Każdy krok przez trawę odpowiadał kołyszącym się obok falom. Po lewej od pasa startowego można było trafić do przyszłości, a po prawej - leżała droga do przeszłości. I jeśli mogłem zrobić kilka kroków w bok dostatecznie szybko, widziałbym samego siebie, pozostałego na poprzednim miejscu.

Nagle dokładnie na pasie startowym pojawił się pociąg, przy czym to nie był nawet cały pociąg, a jego połowa. Obok mnie jechał pociąg w przekroju, jak na obrazku z podręcznika do fizyki. Ale w podręczniku, który kiedyś czytałem, ten obrazek był schematyczny, a tutaj był prawdziwy pociąg z kołami i dachem, z ławkami i oknami, z poręczami i zasłonami, tylko że cała jego zawartość była wywrócona na drugą stronę. W wagonie znajdował się tylko jeden człowiek, i to był mój ojciec. Stał po środku pustego wagonu ze starym rewolwerem w rękę i przygotowywał się do strzału. Bezgłośnie drgnęła broń w jego ręce, z przodu lufy uniósł się dobrze widoczny dymek, ale zamiast kuli z rewolweru wyleciała czarna strzała. Druga strzała, szeroka i gruba, podobna do deski, leżała na podłodze przed ojcem i od czasu do czasu patrzył na nią w dół, jakby na nerwowego psa. Chciałem spytać ojca, czemu strzelał z rewolweru, ale sen już kończył się, a ja wiedziałem, że powrócić do tych paradoksalnych snów nigdy mi się nie uda. Skądś wybiegł kudłaty staruszek z wywieszonym, jak u psa, językiem i ledwie zrozumiałe powiedział, zwracając się do mnie:

- Dzięki temu wymyśliliśmy bombę atomową, a ty siadaj i za nami pochlebiaj.

Ale pociąg odjechał i znowu zostałem na pasie startowym sam, oglądając, jak ono pulsuje, czasami wyrzucając skądś z trawy różne liczby.

Jeszcze długo wspominałem ten sen, który widziałem po tabletkach z lotosem. A póki leżałem na podłodze, słuchając monotony ruchu pociągu. Jeszcze bardzo drażnił mnie pasek gumy, który zwiślał z jakiegoś bloku komunikacji i postanowiłem, w końcu, oderwać go. Potem zrozumiałem, że to było zrobione przez moje widzimisię. Z kawałka tej gumy i połamanej metalowej ramki zbudowałem procę i spróbowałem trafić nakrętką w dziwnego ptaka. Pociąg jechał powoli, jednak zestrzelić brzydkiego stworzenia za pierwszym razem nie udało się. Druga próba była bardziej udana. Zatrzymaliśmy się i zeskoczyliśmy na żwir.

Ptaka leżał, zginając skrzydła. Okazało się, prawda, że on silnie promieniuje i z obrzydzeniem rzuciliśmy zdobycz pod koła. Procę chciałem wyrzucić, ale Władimir Pawłowicz odradził to robić, mówiąc, że może się przydać. Wsadziłem ją do kieszeni i zaraz o tym zapomniałem.

Rozdział IX Samotne życie jednookiego

Dopiero teraz wypuściłem powietrze z płuc, i zrobiłem głęboki oddech. Ta maszyna nie miała żadnego stosunku do ludzi, nie było w niej nic ludzkiego. Kiedy wyskoczyła tuż przede mną, i przez sekundę miałem przed oczami jej sylwetkę, zdążyłem zauważyć że jedyne działające światło, nie znajdowało się na ani po lewej ani po prawej stronie chłodnicy, a w samym centrum przedniej szyby.

Clifford Simak. Prawie jak ludzie

Wkrótce dojechaliśmy do Czudowa i zaczęliśmy stopniowo zwalniać.

- Trzeba czekać - powiedział Władimir Pawłowicz.
- Na co czekać?
- Aż obwód ostygnie.

Matematyk nie wytrzymał. Widać było, że jest zwyczajnie wściekły. Jaki obwód, co za różnica? Ale nikt go nie wsparł. Co więcej, buddyści strasznie ucieszyli się i powiedzieli, że pora szukać wody. Ubrali się w kombinezony ochrony chemicznej OZK⁵⁴ i poszli w dół nasypu.

Także postanowiłem wyjść i niespodziewanie zauważyłem, że Władimir Pawłowicz też zabrał się razem ze mną. Matematyk odmówił wyjścia z pociągu, nie zważając na to, że przyrządy pokazywały pomiary, nie różniące się od zwyczajnych.

Z Władimirem Pawłowiczem wyładowaliśmy z trzeciego wagonu motocykl z bocznym wózkiem. Jeszcze raz byłem zdumiony, ile wszelkich gratów znajduje się w tym muzealnym ekspozycje - naszym pociągu. O uzbrojeniu już nie mówię.

- Słuchaj, a jak to wszystko upchnęli?

- Jak-jak... Był taki szef kolei Aleksiejew. Nie pamiętam jego imienia i otczestwa, ale to jest w ogóle nieważne. Światły to był człowiek, przed swoim przejściem na emeryturę wiele takich zakładów obstał. Sądząc po wieku i jego zwyczajach, mógł pozostać przy życiu.

Nalaliśmy paliwa, dosypaliśmy do baku dodatków i przynieśliśmy motocykl.

Zawsze dziwiłem się temu, jak pośród przyrody dla człowieka cywilizacji pocieszające jest słyszeć dźwięk silnika, czuć zapach benzyny i czuć, że to - dzieło rąk jego współplemieńców - ryczy i przemieszcza się po drodze. Posadziliśmy w wózku najbardziej rozbitego buddystę, a reszta poszła za nami po drodze.

Poziom radiacji był tu prawie żaden, to znaczy normalny, nie różniący się od standardowego.

Osiedle, do którego wjechaliśmy, było puste i to puste od dawna. Nadzieja na to, że został tu jakiś nierozgrabiony sklep, była mała. Ale prawie od razu dotarliśmy do jednego.

Był to sklep z artykułami przemysłowymi. W pierwszej sali leżał Kuzniecowska, teraz fabryki "Powstanie", porcelana, którą, widocznie, chciał ukraść jakiś szalenciec. Chciał, bo widać, kończył się czas jego szalonego życia.

W drugim pomieszczeniu urzędował jakiś zwierz. Po środku sali były graty przypominające mi ogromne pralki. Niektóre z nich miały otwarte otwory donikąd i z tych przezroczytych otworów z jakiegoś powodu sterczała słoma i podarte szmaty.

Przykucnąłem przy jednej z takich maszyn i zrozumiałem w czym rzecz. W środku, jak w budce lęgowej dla ptaków, leżały duże, podobne do kurzych jaja. Tylko kury nie znoszą jaj takich rozmiarów - na oko miały dziesięć centymetrów średnicy. Co to za jaja, było zupełnie nie znane.

Ale co jeszcze bardziej interesujące, każde z tych jaj było starannie przebite. Wyobraziłem sobie zwierzę, które przychodzi w tajemnicy do cudzych jaj i długą trąbką wysysa zawartość - jak rosyjski mrówkojad. Rosyjski mrówkojad - to mi jeszcze nie wystarczało. Władimir Pawłowicz poszedł patrzeć na noże i odkrył, że cały sprzęt stał się bezwartościowy.

- Prawdziwa chińska jakość - westchnął z rozczarowaniem.

Wtedy, żeby nie odchodzić z pustymi rękami, wziął małeńką, plastikową latarkę ledową do samodzielnego zbudowania.

Powłóczyliśmy się jeszcze, przystroiliśmy się kosztem najmniej zgniłej odzieży, zdaje się, tej samej chińskiej produkcji, i wyszliśmy stamtąd. Przybyli i nasi pomarańczowi bracia. Oni już nieśli na

⁵⁴ ОЗК (Общевойсковой защитный комплект) - Ogólnowojskowy zestaw ochronny

sobie jakieś pakunki. Zuch chłopaki, mądrość wschodu - dobra rzecz! Ale to, że w rękach mieli dozymetry, zdecydowanie poparłem. Mądrość cudownie uzupełniana cyferkami, szczególnie kiedy są na ekranie przydatnego urządzenia.

Skierowałem wzrok w bok i wtedy zobaczyłem Jednookiego. W tym momencie, prawda, nie wiedziałem, że on jest Jednookim. Na drugim końcu ulicy stał człowiek, a obok niego dokładnie taki sam motocykl, co u nas. Człowiek radośnie machał rękami i prawie że podskoczył.

Kiedy podjechaliśmy, to odkryliśmy, że człowiek był przerażający - jedno oko zarósł mu owłosiony fałd skóry. Ale pozostała część jego twarzy była dobroniuszka, a i sam on był gruby, nawet jakiś okrągły, wywoływał raczej śmiech niż trwogę.

Motocykl rzeczywiście był dokładnie taki sam, jak u nas, tylko nasz choć i był naruszony przez czas, ale nowiutki, a u Jednookiego wyraźnie był w użyciu całe dwadzieścia lat.

Jednooki latał wokół nas, obejmował buddystów, cieszył się, a mi jeszcze bardziej się podobało, że on nie ma ze sobą broni. Znaczy aborygen, podobny do wielkiego dobroniuszka myśliwego z historii o Czerwonym Kapturku, nie na polowaniu, przynajmniej na szuka dwunożnej zdobyczy i nie jest niebezpieczny. Potem zrozumiałem, że myliłem się, w bocznym wózku motocykla w widocznym miejscu leżał stary karabin myśliwski. Znaczy, że jako taki myśliwy.

Okazało się, że Jednooki żyje w starym wojennym bunkrze pod osiedlem. Posadził do siebie dwóch buddystów, my wzięliśmy jednego, a pozostali, zginając się pod ciężarem pakunków, poszli z powrotem do pociągu.

Motocykl wesoło trzeszczał, a jechać po drodze przyszło nawet bardziej niż się spodziewałem. W końcu przy zakręcie, w zupełnym już pustkowiu, pokazał się bielutki domek, podobny do budki pracownika kolei. Tylko kolei wokół żadnych nie było.

Zsiedliśmy i poszliśmy do domku. W środku było pusto i wszystko mówiło o tym, że nikt tam nie mieszka. Stół, krzesła, jakaś tablica ogłoszeń na ścianie, gdzie rozpaczliwie wisiała wyblakła kartka z instrukcją bezpieczeństwa pożarowego.

Ale wszystko wyjaśniło się łatwo: Jednooki otworzył drzwi, z początku wydające mi się być drzwiami szafy, i trafiliśmy do korytarza pomalowanego zieloną farbą olejną.

Zeszliśmy po drabinie i oparliśmy się o szare drzwi hermetyczne z typowymi szablonowymi napisami jak "Uwaga! Posterunek!" i z jakiegoś powodu w tym samym duchu. Drzwi otworzyły się, a Jednooki odwrócił się.

- Tutaj z bronią jest zakaz wstępu - powiedział smutno właściciel bunkra. - Tutaj mam rameczkę.
- Jak to zakaz?

- No można, oczywiście, ale cały czas będzie wyc syrena, od dwudziestu lat wyłączyć jej nie mogę.

I pokazał nam swój karabin, który sam już powiesił przy wejściu na haku. Okazało się, że rameczka, a raczej półka w korytarzu, stercząca ze ściany i sufitu na około pięć centymetrów, reaguje na broń i jeśli przeniesie się ją do środka, to bez końca będzie wyc alarm. Żeby nie być gołosłownym, Jednooki to zademonstrował. Wyło i migało naprawdę okropnie, a jak wyłączyć całą tą iluminację, Jednooki nie wiedział.

- Jestem człowiek prostym, niewojskowy - tylko powtórzył.

Buddyści pokiwali głowami i nawet Władimir Pawłowicz, spochmurniawszy, wzruszył ramionami. Jemu to bardzo nie podobało się, ale nie było się gdzie podziąć.

Z drugiej strony, byliśmy w gościach, a i nie tak dawno w Piterze zdawaliśmy broń do przechowania medykom wojskowym, i nic strasznego z tego nie wynikło. A że wojskowi mieli wtedy przewagę liczebną, o wiele większą, niż my mamy teraz nad tym gospodarzem, nie mówię

W środku, za rameczką, znaleźliśmy dwa zwyczajne pokoje, za którymi znajdowała się maleńka sala, przypominająca zwykłą stołówkę. Tylko od razu stało się jasne, że do wszystkiego tego przyłożyli rękę wojskowi. Coś było niespostrzegalnie ogólne we wszystkich tych bunkrach i schronach, nie ważne w jakiej części kraju by się znajdowały i w jakim czasie by ich nie zbudowali. Zrozumiałem, że tutaj jest niezwykle: długi stół z metalowym blatem i mnóstwem krzeseł. To naprawdę nie było w ogóle podobne do prywatnego domu. Gdzieś w dół z tej stołówki wiodły szerokie schody już ze wszystkimi plakatami i cyframi na ścianie, naniesionymi farbą olejną.

Okazało się, że Jednooki dopiero co poszedł na polowanie.

- Tutaj sprawa jest taka - wyjaśnił. - Można zabijać tylko młode, inaczej przez dwa lata zwierzę przyjmuje dawkę. A tak nic, wszystko ładnie. A i mięso jest delikatne, smaczne. Mięciutkie - dodał i cmoknął.

Nie mogłem pojąć, podoba mi się ten człowiek czy nie. Z jednej strony, on żył sam, można przecież zwariować. A z drugiej strony, wszystkim nam mogło dawno odbić. Gospodarz rzucił na stół dziwnie wyglądające garnki, patelnie i przy tym deklamując.

Już nie pierwszy raz spotykałem ludzi, którzy z tej czy innej przyczyny żyli w odosobnieniu i znałem tę cechę, niezwykłego rodzaju gadatliwość. Człowiek, przebywający w samotności dwadzieścia lat, był milczący, przywykał do milczenia lub mówienia z samym sobą. A oto człowiek, nie widzący ludzi rok czy kilka miesięcy, stawał się strasznie gadatliwy.

Dlatego uważałem, że nasz gospodarz żyje tutaj sam, przynajmniej w ostatnim czasie.

- I tak drodzy moi, kochani moi znalezieni przyjaciele, nie znający smaku nowego świata ludzie - skrzeczał Jednooki. - Spytacie, zaczynając ze mną rozmowę o tajemnicy wszechświata, spytacie, prawda, w innej płaszczyźnie: skąd te wspaniałe rzeczy? Zaczniecie burzyć się, czy można, że tak powiem, tak mieszać niepowiązane? Kapustę, cynamon, bakłażany? I skąd tylko siły biorą się u mnie to hodować i zbierać? Na pomoc przychodzi mi poezja, przecież pytają mnie o sekret siły! Pyta się, skąd ja siły dla kapusty i bakłażanów biorę? To dobre pytanie, prawidłowe. Aktualne, można powiedzieć, pytanie. Siły u nas, oczywiście, biorą się z korzeni. Trzeba od czasu do czasu wracać do korzeni. Wtedy siła narodowa, niezniszczalna, jak powiedział wielki poeta, przez korzenie wzrośnie w nas. I dalsze przybędą siły niezliczone i uda nam się piosenka, gadamy, jak Grisza niekrasowski, skacząc. Ale tutaj proszą mnie, aby dać radę o praktycznym zastosowaniu. Koleś, gdzie one, te korzenie, i pod jakim kątem do nich przypadają? O, odpowiadam, to jest wielka tajemnica! Wszystko się pomieszało w naszym świecie po straszliwej Katastrofie, wszystko przemieszało się i stało niezrozumiałe, nie mamy zbawienia i utracenia współrzędnych korzeni. A korzeni szukają sercem. U nas w ogóle wszystko robią sercem, a nie palcem, powiemy tak. Zbliżysz się do dobrego człowieka, powiesz mu: "Czy nie sercem jesteś zrobiony?" Uśmiechnie się dobry chłopak i ci drogę pokaże. A wtedy spytasz go, czy nie palcem jest zrobiony?... Niczego dobrego nie wyjdzie z rozmowy. Może i w rezultacie dotrzesz do korzeni, ale nie do tych trafisz, nie do tych! Nie tak trafisz, a i cała siła z ciebie wyjdzie. Dlatego byłem dla was pełen życzliwości, zatrzymałem całą duszą, jak tylko zobaczyłem na tej polnej, filozoficznej drodze.

Jednooki rozłożył na stole garnki i patelnie w pewnej jemu znanej kolejności i kontynuował:

- Powiedzą mi, że wciśniesz głębiej do tych korzeni palcem... Potem patrzysz, oto i dobry chłopak dał radę. Powiedzą, że serce... Że serce to mięsień, powiedzą, mięsień i nic więcej. A ja odpowiem, że nie, do stworzenia dobrego człowieka nie to potrzeba. Potrzebna jest miłość i dobra wola w ludziach. A zbierać się bez celu do korzeni, tylko wypróżnisz się i zasmucisz, smutek w serce wniesiesz. Mięśniami dobrego człowieka nie zrobisz! Zrobisz go odpowiednimi ciałami, co w jaskiniach mieszkają i dlatego nazywają się ciałami jamistymi. A jak robić te rzeczy, to jeszcze większa tajemnica. Dlatego ta tajemnica nazwana Egzotycznie-Terytorialna, że nie łatwo i nie na każdym terytorium wyrasta! Nie po każdej jaskini wiedzie swoje korzenie, nie każde jajo znosi w gnieździe, nie każde ziarno swojej tajnej skorupki chroni i składa. A już jakie oszczędzają, z tego rodzi się tajemnica wszechświata! Ale tak, że wróci wszystko, obudzą się martwi światowi liderzy, ożywiona staruszka wyjdzie ze swojego schronu bombowego i, radośnie stukając laską, przejdzie drogę. Całe złoto świata będzie znalezione i otrzyma swoją odwróconą cenę. I także obudzą się dzieci w piaskownicach, zasypanych radioaktywnym popiołem...

Zaczęło mi się wydawać, że Jednooki jest po prostu byłym nauczycielem, który spędził dwadzieścia lat czytając książki filozoficzne. I na pewno czytał je w samotności. No i trochę oszalał. Miałem podobnie. O mało co, od nadmiernego samokształcenia w porzuconej bibliotece, miałbym nierówno pod sufitem. A przecież wtedy wokół mnie była masa ludzi, i poza biblioteką miałem też prace na rzecz całej społeczności.

A z Jednookiego nadal lał się nieprzerwany potok słów. Władimir Pawłowicz po kryjomu sprawdził dozymetrem kapustę, i okazała się całkowicie w normie. A kiedy gospodarz przyniósł nam po szklaneczce siwuchy, to już było całkiem dobrze. Jednooki opowiadał dalej, i dowiedzieliśmy się że pierwsze lata po Katastrofie mieszkał zupełnie gdzie indziej z żoną i znalazł skład czarnego kawioru. Kilka lat żywił się tylko nim, i zniechęcił ten smak aż do śmierci. Wtedy jeszcze była z nim żona, ale zachorowała i długo cierpiała. A kiedy zmarła, ruszył w wędrówkę i znalazł ten opuszczony bunkier.

Moje przecucia się potwierdziły: on faktycznie częściowo oszalał z samotności, zresztą sam wspominał że ma tutaj bibliotekę.

Jednooki zaproponował zamianę, pojechać do pociągu i wziąć coś stamtąd w zamian za świeże i suszone mięso.

Co mi spodobało się w naszym posiłku, to to, że Jednooki miał skądś bardzo smaczną wodę, tą źródlaną, jak piłem bardzo dawno temu. Zresztą, podsuwał nam jeszcze i nalewkę na jałowcu, i miódówkę, które sam przygotowywał. Z jego słów wynikało że w schronie jest cysterna ze spirytusem technicznym, której przez lat dziesięć nie dał rady nawet do połowy opróżnić. A miódówka to efekt jego zainteresowania bartnictwem.

Pomieszczeń w schronie było dość, więc zajęliśmy jedno z fałszywym oknem. Okno przedstawiało górski pejzaż. Wypiliśmy nalewki, i jakoś nagle zmorzył nas sen. Władimir Pawłowicz usypiając na wszelki wypadek podparł klamkę metalowym krzesłem. Szczęście w nieszczęściu że rano mnie przycisnęło – widocznie od nadmiaru niezwykłego pożywienia. Bezdźwięcznie otworzyłem drzwi i wylazłem na korytarz, oświetlony matowymi lampami awaryjnymi.

Z minutę się zastanawiałem, w którą stronę jest węzeł sanitarny, w końcu poszedłem w prawo – w stronę światła. Węzeł sanitarny był tam jak najbardziej. I to bardzo interesujący. Światło dochodziło z niedużego okrągłego iluminatora w metalowych drzwiach. Za nimi, w pomieszczeniu gdzie podłoga i ściany były wyłożone białymi kafkami, siedział nasz gospodarz, plecami do mnie. Na przeciwległej ścianie wisiał czarny automat Kałasznikowa z wytartym do gołej stali magazynkiem. Ale najciekawsze było pośrodku pokoju. Na cynkowym stole przed Jednookim leżał jeden z naszych buddystów. Całkowicie martwy.

Trudno by było podejrzewać, żeby człowiek którego ciało obrabia się jak świńską tuszę, mógł być nadal żywy. Widoku dopełniała odcięta noga, przystawiona z boku stołu. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. A co jeszcze bardziej mną wstrząsnęło, to fakt że Jednooki do tego śpiewał. Śpiewał jakąś dziwną pieśń o Egipcie i Nilu. Co to ma wszystko wspólnego z Egiptem i Nilem? Może żadnego Egiptu już na świecie nie ma. Ale ja jeszcze jestem.

W te pędy poleciałem do Władimir Pawłowicza, który w mgnieniu oka ubrał się. Obudziliśmy buddystów. Dowiedziawszy się, o co chodzi, pozielenieli z przerażenia. Poszliśmy do wyjścia, ale okazało się, że jest zamknięte zamkiem kodowym.

Pułapka się zatrzasnęła.

Starając się nie hałasować, zeszliśmy do jadalni, gdy nagle zgasło światło. Drzwi wejściowe zatrzasnęły się i dobiegł zza nich głos Jednookiego:

- No, tak. Niewdzięczni goście. Iść chcą bez pożegnania. Jak to nieładnie, jak nieładnie...

Naraz wyobraziłem sobie, że Jednooki założył noktowizor.

- Dlaczego on nie strzela? - szepnąłem Władimirowi Pawłowiczowi.

- Żeby na nas skóry nie popsuć - odpowiedział z ciemności. - Poza tym ślady kul na ścianach są mu zupełnie niepotrzebne, może jeszcze kto tu kiedy z wizytą wpadnie?

Buddyści zrozumieli, że nie mają szans i coś tam zaczęli śpiewać nosowym głosem. Od tego śpiewu można by szybko oszaleć. Ludożerca i ignoranci w jednym dzbanie. Pogrzeb z muzyką. Właśnie, pogrzeb, wygląda na to że pogrzeb będzie, jak nas ludożerca na zupę przerobi.

- Goście się źle zachowują - znowu rozległ się głos gospodarza za drzwiami. - Gości trzeba ukarać.

Jednooki dreptał przed drzwiami, otwarcie się do czegoś szykując. Wypowiedziałem swoje przypuszczenie o noktowizorze na głos. Ciemność była absolutna, ale nasz gospodarz nie wiedział o tym że my pół życia spędziliśmy właśnie w takich ciemnych tunelach. I nauczyliśmy się słuchać ciemności. Władimir Pawłowicz, zrozumiawszy, że Jednooki jeszcze nie wszedł jeszcze do pokoju, zaszeptał mi na ucho:

- Mam latarkę. Plastikową, dlatego przeszła przez bramkę. Jak tylko wejdzie, postaraj się go trafić w oko. Znaczący się w okular.

Wyciągnąłem procę i zrobiłem kilka oddechów żeby się uspokoić. Zamiast kulki, odkręciłem od jednego ze stołów nakrętkę.

- Przyszykuj się - powtórzył Władimir Pawłowicz. - zaraz włączę światło, postaram się trafić promieniem w noktowizor. Na sekundę oślepnie, nie zmarnuj tej sekundy.

W tej chwilę Jednooki skrzyknął drzwiami.

- No, Sasza, działaj! Dawaj, czort, dawaj!

Naciągnąłem gumę i strzeliłem. Moja kulka ze świstem trafiła w cel i Jednooki zaczął przeraźliwie krzyzczeć złapawszy się za swoje oko, dokładniej, za rozbity noktowizor. Wydaje się, odłamki dostały się głęboko, i Jednooki całkowicie oślepl. Nie przestając wrzeszczeć skrył się za ścianą.

- Co teraz?

- Spróbujemy się wydostać, cóż by innego? - odpowiedział Władimir Pawłowicz.

Tyle że na to jak się wydostać – pomysłu nie było. Śluza na górze, prowadząca do fałszywego domku, była zamknięta zamkiem kodowym.

Nasze rozmyślenia przerwał potworny ryk tuż za ścianą. Rzuciliśmy się do drzwi, których nasz gospodarz nie zamknął. Albo nie pomyślał albo nie wiedział jak. Przebiegliśmy długi korytarz i znaleźliśmy się w przytłaczającym swoimi rozmiarami podziemnym hangarze. Pośrodku go stała maszyna-monstrum z dwoma kabinami. Dwadzieścia metrów długości, po osiem kół po każdej stronie. W zamkniętym pomieszczeniu robiła straszliwe wrażenie.

Jednooki wsadził rękę do lewej kabiny i coś tam kręcił.

- A to co takiego? - spytałem wskazując maszynę.

Któryś z naszych towarzyszy rzucił.

- To MZKT, - wydusił z siebie jeden z buddystów, niemłody wujek.

- Co?

- Ciągnik taki. W sensie, to nie MAZ lecz MZKT, to jest to Mińska fabryka ciągników. To platforma dla rakiety strategicznej.

Orzucił do tego jeszcze pięć czy sześć cyfr, ale nie miałem ochoty ich zapamiętywać. Przede wszystkim zrozumiałem, że był to ciągnik raketowy bez samej rakiety. Przewoźny kompleks startowy tyle że pozbawiony teraz swojego bojowego charakteru.

Ciekawie, prawda, czy puścił swój "Topola" czy wywalił go gdzieś w bagno?

- A skąd to wszystko wiesz – spytałem buddystę.

- Budowałem takie - westchnął i spojrzał w moją stronę - budowałem te gadziny w mieście Mińsku... czekaj zaraz brama się otworzy...

- Wtedy rwiemy przed siebie

- Nasz gospodarz na to liczy. Stanie przed bramą i zdejmie nas do jednego. Przejście wąskie, i nawet na ślepo dostanie nas wszystkich.

Silnik maszyny ryknął mocniej i wszystko wokół, wypełniło się kwaśno-gorzkim dymem. Brama, skrzypiąc otwierała się. Oczywiście, teraz nie była to już prawdziwa hermetyczna brama, guma w ościeżnicy dawno sparcała, ale to dla nas różnica żadna. Teraz pojedzie do przodu, zamknie bramę i ma nas w potrzasku. Jednooki, a teraz to dokładniej Bezoki, wylał z kabiny i zaczął macać wokół lufą automatu.

Buddyści, starając się nie hałasować, poleżli na platformę maszyny. Zrozumiałem że trzeba robić, i szepnąłem Władimir Pawłowiczowi że wchodzimy na dół, pod brzuch tego ogromnego monstrum. Brzeg platformy znajdował się u nas akurat na poziomie głowy. Przecisnąwszy się między kołami, razem z kolejarem zawiśliśmy pod dnem, zwłaszcza że jakiś dawny konstruktor przewidział tam uchwyty niejasnego przeznaczenia.

Mieliśmy rację, ci co poszli na górę spotkał nieprzyjemny los. Nasz gospodarz profilaktycznie oczyścił górny pokład długimi seriami. Został cały tylko jeden buddysta, rozplaszczony na dachu kabiny. Brama, wreszcie, otworzyła się, i ciągnik, zaryczawszy, ruszył po pochyłej rampie.

Wkrótce stromy betonowany wyjazd z hangaru skończył się, i ciągnik znalazł się sądząc po igliwiu i gałązkach na drodze, w lesie. Maszyna nie działała zbyt szybko ale za to nadzwyczaj płynnie. Już mi się wydawało że uniknęliśmy najgorszego, kiedy nasz buddyjski pasażer podnosząc się z kabiny spadł pechowo wprost pod koło. Przejechały po nim trzy, nie miał żadnych szans. Przez dźwięk silnika nie usłyszeliśmy, ani krzyku ani jęku. My mieliśmy więcej szczęścia. Razem Władimirem Pawłowiczem padliśmy w piach na drodze w chwili kiedy ciągnik zwalniał, i jeszcze długo słuchaliśmy jak oddala się huczący potwór.

- Jak myślisz, on na ślepo lezie?

- Raczej nie. To autopilot. Trasa zapisana bardzo dawno temu. Chyba że nasz gospodarz coś w autopilocie manipulował. Zresztą, mniejsza z tym. Co innego mnie niepokoi. Taki sprzęt nie był trzymany pojedynczo. Na pewno nasz gościnny gospodarz ma nadzieję na pomoc. Dlatego trzeba się śpieszyć.

Rozdział X Worek wiatrów

Mówi tedy Dziad Borowy Iwanowi: weź ten worek. Jak przyjdzie potrzeba, rozwiąż go, i krzyknij: "no, chwaty, wylazić z worka!" wtedy wyskoczą z niego trzy chwaty z kijami i zaczną okładać twój wroga.

Rosyjska ludowa bajka

Już dosyć daleko odjechaliśmy od miejsca, gdzie minęło te kilka strasznych dni, kiedy na wzgórzu zauważyłem ogromne wieże z wolno obracającymi się łopatkami. Jakby tłum szalonych, machających rękami, stały na wzgórzu turbiny wiatrowe. Widok był urzekający, zapewne dlatego, że z naszej strony wiatru nie czuło się i zdawało się, że łopaty poruszają się same z siebie, cicho i równomiernie. Ale turbina wiatrowa to elektryczność, a elektryczność to zawsze chętny w pobliżu.

Zamyślił się, już nauczeni przez starcia z innymi ludźmi, ale postanowiliśmy się zatrzymać. Matematyk został w kabinie, a my poszliśmy do zagajnika obracających się, mechanicznych drzew.

Nagle po środku pola Władimir Pawłowicz gwałtownie się zatrzymał i podniósł ręce w górę:

- Stój! Stój! Nie ruszaj się.

Poszedłem za jego wzrokiem i zobaczyłem, że na polu jest kilka kraterów z rozrzucającą się na wszystkie strony ziemią.

- Ani drgnij. To pole minowe.

"Dziwna sprawa, a czemuż przez tyle lat miny się nie zepsuły - pomyślałem. - I dla kogo one tu były? Przed kim bronił się tutaj właściciel turbin wiatrowych?"

Starannie wpatrując się w darń, Władimir Pawłowicz ruszył prosto przez miejsce rozerwania i tam rzeczywiście znajdował się duży szkielet, prawda, nie ludzki.

Coś dużego, podobnego do wilka, wpadło na minę przeciwpiechotną około trzy lata wcześniej, jeśli sądzić po polerowanym wiatrami i deszczami szkielecie. Czaszka zwierzęcia, przyznaje, trochę mnie zmyliła. Dziwna była ta czaszka, podłużna, podobna do gigantycznego buta. Z płaskim, jakby zerwanym ciemieniem. "Jeszcze trochę, a w każdym zwierzęciu będę widzieć świnię" - stwierdziłem w końcu i odwróciłem wzrok od kościotrupa.

Przez ten czas Władimir Pawłowicz suchymi gałęziami wyznaczył bezpieczne przejście i przywołał mnie gestem. Starając się pójść jego śladami, przeniosłem się na ścieżkę, po której już szybciej, ale też ostrożniej poszliśmy do białego domku na wzgórzu.

Nikogo nie było widać - ogródek zarósł dziwnymi krzewami o ostrym zapachu. Co to za zapach, nie miałem bladego pojęcia i spytać nie było kogo. Pomyślałem, że w naszym nowym życiu po Katakliźmie straciliśmy nie tylko ludzi, bliskich i nie bliskich. Straciliśmy bardzo wiele nazw. Na przykład "rezeda", to była oczywiście roślina, o której czytałem w książkach, ale jak wygląda rezeda, pojęcia nie miałem i może nigdy się nie dowiem. A jeśli zostanę w takim domku, to już na pewno nigdy się nie dowiem. Wymyślę trawom i kwiatom jakieś swoje nazwy i na pewno one umrą razem ze mną.

Władimir Pawłowicz otworzył drzwi i zajrzeliśmy do środka. W tym domku, sądząc po wszystkim, nie dane mi było żyć. Różne widziałem, ale takiego nie spotkałem. Wnętrze domu przedstawiało sobą rażący kontrast z przyjemnym wyglądem zewnętrznym.

Wszystko było zniszczone, sprawiała to wrazenie, że wkradła się tu banda ludzi z młotkami i niszczyła wszystko na swojej drodze. Wpatrzywszy się w szczątki zobaczyłem, że pośród jakichś brudów i śmieci wystają inne kości, nie zwierzęce. I nie przestałem wpatrywać się, co tam jest i jak.

Obeszliśmy dom. Z tyłu domu pokazała się piwnica, w której, jak pociski w bunkrze, stały szklane słoiki z kiszonymi warzywami. Przez te ostatnie lata pokrywki słoików zardzewiały i zawartość wyschła. Nikomu nie było dane poznać nazwy tej żywności i co konserwowali nieznanymi nam strażniczy wiatraków.

Ich technika przeżyła właściciela - turbiny wiatrowe kręciły się, ale przewody były zerwane, elektryczność była nie potrzebna. Nie uratowały miejscowych ludzi ani pola minowe, ani zapasy przez nich zrobione, ani praktycznie darmowa energia. Bez nich teraz rosła ich rezeda. Albo tam jest jaśmin, nie wiem już, jak go nazywać. Nie było tutaj nic do roboty.

Wiatr tych złotych harf grał nie na naszą cześć.

W tym śnie znalazłem się dokładnie przed tablicą w świetlicy. Tam przeprowadzano odprawę, ale zamiast kierownika przede mną stał naczelnik stacji "Sokół" Butow i karmił mnie za to, że cały czas rwałem się na powierzchnię. Naczelnik stacji "Sokół" mówił mi, że nie mogę żyć tylko tam, gdzie nie słyszano i nie wiedzano, czym jest metro.

Przyśnił mi się poeta Siemieckij. Przysiadł się do mnie i powiedział: "Biały królik usiadł przy stole, zjadł łyżkę konfitury, napisał wiersz"...

- Nie, nie tak. - Siemieckij dumnie wyduł wargi i dodał, podniósłszy palec do sufitu: - Mądry królik. Z nim miło usiąść przy stole... Jeśli, oczywiście, chcesz się pożywić.

Stałem w środku snu i myślałem, że teraz przyjdzie mi iść za Białym Królikiem, ale za plecami Siemieckiego podchodził Zabójca Królików z pałąk w pogotowiu i trysnęło mi w oczy czerwienią, ale tak, że wszystkie kolory zrównały się do koloru krwi.

A potem do pokoju wparowały świny, ogromne świny, ale nie dzikie, a te, które żyły u nas na fermie zwierząt, tarasując i niszcząc wszystko na swojej drodze...

Krzyknąłem i obudziłem się...

Zazwyczaj wyrywając się z tego snu, wypływając z niego, jak z bagna, widziałem zawsze to samo: biały sufit kabiny lokomotywy i czułem słabe drżenie, które pochodziło z pracującego silnika.

Zbliżał się Twer i Władimir Pawłowicz spał się. Jakoś Twer niezbyt mu się podobał. Z jakiegoś powodu wydawało mu się, że mieszkańcy Tweru z góry nas nie polubią. Przy czym nie ważne, żywi czy martwi są obywatele tego miasta. W racjonalny sposób nie mógł tego wyjaśnić i tylko mówił o tym, że cała historia dotyczy jego. Opowieść o historycznych korzeniach wzajemnej nienawiści była o jego ustach podobna do tych historii, których się nasłuchiwałem w brygadzie Lataczy.

Szalony sekciarz Hammer długo mieszkał w Twerze i mówił tak: "Rozumiesz, i wtedy przychodzi Jura Moskiewski, a jemu Misza Twerski: »Tak ty, tak ja!« Wyzaczył gońca, prawidłowo pionki rozstawił, raz - i w królową. Szkoda, w ogóle, pobili Moskali i nawet żonę Jury wzięli. Ona żyła sobie w Twerze, konno jeździła. Moskwanin w Twerze w ogóle nie powinien żyć, powinien on albo zmienić się w miejscowego, albo jeździć konno. Ale rzecz w tym, że żona Jury była nie zwyczajna, a złota, wnuczka Czyngis-chana. No, naturalnie, Mongołowie podnieśli raban, wezwali obu na osąd w Ordzie. No, ociągali się trochę, a potem raz, i przy wszystkich pionkach wyrwali Misze serce. I przekazali z serdecznym pozdrowieniem Jurze. Zjesz, mówili, serce zjesz. I zjadł, co innego zrobić. Ale potem w końcu Twerscy zemścili się i Jurę zabil".

Szczerze mówiąc nie miałem głębszej wiedzy o Twerze. Nawet nie wiedziałem, czy w Terze jest system metra. Wcześniej nie było, a teraz może i jest.

Ale tak naprawdę największe niebezpieczeństwo było w mostach. Pokonaliśmy wiele mostów, które, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, okazały się być całe. Ale jeśli coś stało się z nimi w Twerze, to przyjdzie nam iść na piechotę. Tam mosty są duże, i rzeki są duże, jak Twerca, jak dalej Wołga.

Matematyk podzielał tę obawę, ale krył się i nie pokazywał tego po sobie. Z wielkim niepokojem mijaliśmy Twer, nie zobaczywszy przez okno nikogo: ogromne miasto zwyczajnie wymarło, ale most okazał się cały. Jak cały okazał się i most na Woldze.

Władimir Pawłowicz zatrzymał pociąg, wyszliśmy z nim i zabraliśmy się za oglądanie konstrukcji.
- Spójrz, widzisz... - nagle zatrzymał się.

Niczego niezwykłego nie widziałem. Przed nami były szyny, betonowe podkłady, nie widziałem w ogóle niczego strasznego.

- Nie zrozumiałeś. Spójrz na śruby. Płótno naprawili, poukładali. Oto co to znaczy. Przez wiele lat po Kataklizmie ludzie naprawiali most, oto co. Wiesz, był taki kawał o jednym sknerze, co oszczędzał pieniądze i dzwonił do swojego ojca na wsi. Ale raz w miesiącu przejeżdżał obok tej wsi służbowo pociągiem i tata wychodził na stację. Kiedy wagon przejeżdżał obok, syn krzyczał do ojca: "Tato, wypróżniasz się?" No i jeśli staruszek kiwał, to syn wyciągał wnioski. Jeśli tata wypróżnia się, to nie ma zaparcie i wszystko u niego dobrze z jelitami. Jeśli, ponownie, wypróżnia się, to normalnie się odżywia, nie umiera z głodu, ma coś do jedzenia. Zrozumiano? Nie? Dobra, wyjaśnię jeszcze raz: jeśli ludzie naprawiają most to znaczy, że oni tutaj żyją. Jeśli go naprawiają to znaczy, że coś wożą. Jeśli potrzebny im jest taki most, znaczy, że mają nie tylko worek z suszoną rybą, ale i jakiś ciężki ładunek, dla którego potrzebna jest drezyna. Oni, oczywiście, nowych szyn nie robią, ale przestawić, tak jak tutaj, mogą. Znaczą potrzebne im są, znaczy całe życie, jak na obrazie artysty Jaroszenki.

Nie rozumiałem, po co tutaj jakiś Jaroszenko, ale wychodziło na to, że jeden widok tych zardzewiałych torów napęłnił Władimira Pawłowicz niezrozumiałym dla mnie optymizmem.

Rozdział XI Elfy sądnego dnia

*Ale nie wilk ja po krwi swojej,
Popychaj mnie lepiej, jak czapkę, w rękaw
Gorącego płaszczu syberyjskich stepów.*

Opis Mandelsztam. Wiek-wilczarz

- Ach wiesz, moja laskawa. Może on w ostatecznym rozrachunku jest gorszy niż ci się wydaje! Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, cóż z niego za paskudna istota. Jaki to lajdak, próżniak, braźnik, rozpustnik, gaduła, lekkoduch, uparciuch, obżartuch, lukawiec, dyskutant, marzyciel, złośnik, dziwak, Byłabyś, dziecię moje, na mur beton nieszczęśliwa i jeszcze byś się na mnie mściła. Na samą myśl o tym włosy mi stają. Chwała wszechmocnemu, że jest jak jest.

Romains Rolland. Cola Brunon

Dosyć dawno mineliśmy Twer, jak padał śnieg i widziałem, jak na moich oczach miejscowość zmienia kolor. Potem i powietrze się zmieniło i stało białym. Zwinne wycieraczki za przednią szybą szybko zrobiły w niej prześwity, a ja pomyślałem o korzyściach z czytania. Śnieg był najsilniejszym uczuciem w ostatnim czasie. Rzekłbym, że wywołał we mnie takie zdziwienie, jakiego nie doświadczyłem nawet na widok morza, to jest Zatoki Fińskiej.

Gdybym nie czytał o śniegu, to teraz ogarnęłaby mnie panika. Dla każdego normalnego człowieka, który przeżył pół życia pod ziemią, to byłby bardzo dziwny widok. Deszcz po ziemią dosyć często się zdarza, szczególnie kiedy ruchome piaski zaczynają sączyć się przez otwory w starych tunelach i te miękkie krople niespodziewanie zalewają cię od stóp do głów.

Śniegu w swoim dzieciństwie w ogóle sobie nie przypominam, a tu książki mówiły o śniegu szczegółowo i dlatego nie bałem się tej białej trąby powietrznej. Nie bałem się, zresztą, bez powodu, dlatego że wielce doświadczony Władimir Pawłowicz jak raz bardzo się spiał i zaczął mówić, co robić, jeśli na drodze będą zasy.

Ale jak się okazało, on też nie za dobrze orientował się w zjawiskach pogodowych. Następnego dnia śnieg zupełnie się rozpuścił i stał się deszczem. Deszcz padał jeszcze dzień, dwa, i zaczął sypać prawdziwy śnieg. Duże, ciężkie płatki padały na szybę, a wycieraczki, jak należało, przełamały się.

Nagle Władimir Pawłowicz zbladł. Coś było nie tak, czuć coś, czego nie czułem ja. Matematyk także bardzo źle się poczuł i, jak worek, zwałił się na wibrującą podłogę kabiny. Rzuciłem się do Władimira Pawłowicza.

- Co to jest, co? - trząłem go za ramię.

Zwrócił twarz w moją stronę z prawie zamkniętymi oczami i westchnął:

- To generator Helmholtza... Nie wiem, skąd się wziął i gdzie jest, ale to generator. Spójrz, synek, my tu teraz możemy zacząć skakać, utrzymaj nas... - Ostatnie słowa mówił waląc się już na podłogę. Matematyk w tym czasie poszedł już do drzwi, nie zważając na to, że z uszu ciekła mu krew.

Wydarłem z jego spodni pas i dokładnie przywiązałem Matematyka do stojaka ze sprzętem. Następnie to samo zrobiłem z Władimirem Pawłowiczem i stanąłem na jego miejscu maszynisty.

Coś usłyszałem, jakieś dziwne mruczenie, może gwizdanie, i nic więcej. Nie czułem w ogóle żadnego dyskomfortu. I, widocznie, to była zapłata za moje nocne koszmary i za to, że dwadzieścia lat budziłem się w pocie.

Nasz pociąg sunął obok całkiem zwyczajnej miejscowości. Odnosnie generatora Helmholtza, oczywiście, oświecili mnie. A przecież wiedziałem, czym jest generator Helmholtza - każda waza z wąską szyjką była takim generatorem. Albo nawet nasze głowy na swój sposób, zwłaszcza z otwartymi ustami, były generatorami Helmholtza. Nazwa była piękna, ale niczego strasznego w niej nie było.

A w tym dźwięku, który słyszałem, też nie było niczego strasznego. Tak mniej więcej mrużeli świniarze, kiedy szli koło swych podopiecznych. Jeden skarżył się na to, że bolą go nogi, drugi wyzywał szefostwo, trzeci nucił pod nosem... Oto czym było to mruczenie. Ale na Matematyku i Władimirze Pawłowiczu wywołało zaskakujący efekt.

Nawet związani, skrobali po żelaznej podłodze nogami, grzebali rękami, jakby pływali w powietrzu. Przy tym obaj śpiewali jakąś dziwną pieśń. Na pewno takie pieśni śpiewali przodkowie świętej pamięci Mirza, kiedy jechali na swoich małych osiołkach przez góry i rozmawiali z wszechświatem poprzez pieśni. Co widzę, o tym śpiewają, jak powiedział raz naczelnik stacji "Sokół", kiedy zasugerowali mu, że świńskich konserw wyprodukowaliśmy za więcej, niż nam zapłacił.

Tak prowadziłem pociąg kilka godzin, póki sam nie znalazłem się w trudnym położeniu.

Przypadkowo skierowałem lokomotywę na boczny tor, a jak obrócić z powrotem strzałkę, nie miałem pojęcia. Bez Władimira Pawłowicza nie radziłem sobie z tym, ale Władimir Pawłowicz był wtedy niedostępny. Towarzyszom moim było jawnie niedobrze.

Zatrzymaliśmy się i Władimir Pawłowicz z Matematykiem zwalili się na nasyp. Leżeli wprost na śniegu i tępo patrzyli w niebo, a ja ustaliłem, że to radiacja. Ale nie, promieniowanie było w normie. W ogóle, podejrzenie często promieniowanie było tu w normie i to nie mogło nie wzbudzać obawy.

Albo tutaj, na powierzchni, były po prostu inne zasady życia i inna logika niebezpieczeństwa, niż w tunelach.

Władimir Pawłowicz, zdaje się, mówił, że ja nie czuję niektórych rodzaju promieniowania właśnie dlatego, że mam coś nie tak z głową, właśnie dlatego śnią mi się moje sny, po których pływam w kałuży potu - organizm działa trochę inaczej, a potem wychodzi z płyną, niepotrzebną chemią, wszystkimi tymi produktami stresu i napięcia.

Nie mam pojęcia w czym rzecz, mijaliśmy niebezpieczne miejsce bez strat i, jak wtedy rozumiałem, w ścisłej zgodności ze znakami drogowymi. Obok nas stał kij, z którego jednej strony bielejący okrąg mówił: "Koniec niebezpiecznego odcinka", a z drugiej odwrotnie - "Początek niebezpiecznego odcinka". I ten odcinek został za naszymi plecami.

Odpocząwszy Władimir Pawłowicz powiedział:

- Ja to jestem kapuściana głowa, zapomniałem. Toż ja wszystko wiedziałem, jak miałem dziesięć lat Timoszyn mi mówił, a ja nie wierzyłem.

- Jaki Timoszyn?

- No mój rówieśnik, on w tym miejscu aż poleciał. Ledwie wrócił, przy czym ze stratami. Toż to znamienne Wieriebjewskie sprostowanie, przekłete miejsce.

- Czemu przekłete?

- A temu.

- Co, ujście siły, kosmiczni przybysze?

- Niewiadomo co. Strefa tam jest, podobna do Czarnobylskiej, tylko jeszcze przed Kataklizmem, przed radiacją. Jakiś zapomniany eksperyment. Timoszyn opowiadał, że jak pojedziesz tam do lasu, to chodzisz po okręgu. Nikt do granic tej strefy nie może się dostać, jeśli idzie z zewnątrz. A wewnątrz wszystko jak zwyczajne. Radzieckiego człowieka zadziwić tym się nie dało: rzędy drutu kolczastego, jakieś stare ciężarówky. Wszyscy myśleli, że to prze to, że tam dawno temu stały wyrzutnie rakiet. Tak oto, Timoszynowi ktoś mówił, że chodził po tym lesie człowiek i jak wyszedł na brzeg, to widzi: ognisko tam rozpalone. A obok na brzozie odbiornik wisi. Muzyka gra, tylko trochę dziwne, jakby magnetofon taśmę wciągał... Nie zrozumiesz, a były takie kasetowe i taśmowe magnetofony i na brzozie wisi odbiornik, "Spīdola"⁵⁵ stara, i gra. Przy tym wiadomo, że w takie miejsca nikt nie chodził od jakiś czterech lat. Pytam ja się, co tam za baterijki są? Ale rzecz była nie w baterijkach, więc w czym w końcu? Jeśli muzyka ma wolny rytm, to znaczy, że fala jest spowolniona i to całkiem mocno. To znaczy, że czas płynie tam inaczej. Wchodzisz w niego, jak w wodę, kroczysz, jak w kisielu, nogi nie podniesiesz. To samo Timoszyn, już stary był, a wszystko pamiętał, co jakiś kolejarz mówił, że u niego koło nasypu w ogóle jest inny czas, jakby kto rozpylił przeszłość po lesie: stoją dwie brzozy, które dawno zapamiętał, jedna w ogóle nie rośnie, cienka, a druga już gruba, zbutwiała, szybko runie.

- No, w takich przypadkach raczej mówili: "A martwi tam z kosami stoją w dół drogi..."⁵⁶

- A to powiem ci, że niczego, Aleksandrze Nikołajewiczu, śmiesznego tu nie widzę. Wędrujących trupów⁵⁷ Timoszyn tam nie widział, a na miejscowym cmentarzu po osiemdziesiątym piątym roku...

⁵⁵ Łotyszki odbiornik radiowy z lat 60. i 70.

⁵⁶ Oryginalnie: *А вдоль дороги мертвые с косами стоят... и тишина.* (A w dół drogi martwi z kosami stoją... i cisza.) - cytata z radzieckiego filmu z 1967 roku "Nieuchwytni mściciele" (*Неуловимые мстители*)

⁵⁷ Ros. *Разгуливающий мертвец*, ang. *The walking dead* - tytuł amerykański film z 1936 roku

Ale wtedy przerwał nam wracający do siebie Matematyk.
Rozmazał krew na twarzy, już nieciekącą z nosa, i zapytał:
- Co to było?
Nikt mu nie odpowiedział i nagle sam się domyślił:
- Wieriebie? Sprostowanie?!
- Dokładnie tak - odparł mu Władimir Pawłowicz.
- A u was, Aleksandrze, sądząc po wszystkim, jest negatywna reakcja na akustykę? - podsumował Matematyk. - W obu, że tak powiem, znaczeniach?
- Nie wiem. To co tam było? - znów tak samo jeszcze raz, bez żadnej nadziei na odpowiedź, spytałem. - W czym rzecz? W czym?
- W tym. Nie bez powodu Caryca nocy was wybrała. Kwiaty są w ogóle wrażliwe na oddziaływanie akustyczne.
- Mówi pan, że w czym rzecz? Co, mam jakąś huraganową mutację?
- Nie krzacie, Aleksandrze. Gdzie wy, a gdzie mutacja. Jeszcze powiecie, że macie nagłe zmiany delta. Nie, cała rzecz w tym, że macie coś z fizjologią. I dlatego wyłysieliscie, tak przy okazji. Nic nie dzieje się u was tak po prostu.
- A co, były podobne przypadki?
- Były. Nie powiem, niepotrzebne wam to. Poczekacie, Aleksandrze, niewiadomo jeszcze, co z wami będzie. Miałem jednego kolegę, próbował zapalki wzrokiem podnieść. Pięć zapalek podniósł, na szóstej nie wytrzymał. Na zawsze, znaczy.
Matematyk najpierw opowiedział historię z poprzedniego życia. "Gdzieś niedźwiedź zdechł" - jak powiedziałby naczelnik stacji "Sokół". Mnie raczej przerażała ta nowa ufność Matematyka, kiedy szef lub właściciel staje się człowiekiem. To niczego dobrego nie wróży. Traci swoją charyzmę i w którymś momencie robi zły krok, za który odpowiesz ty sam.
A Matematyk stał się dla nas szefem w jeszcze mniejszym stopniu. Tak, autostopowiczem, którego można by i obrazić przy okazji.

Śnieg ciągle walił i walił, i wkrótce jazda stała się niemożliwa. Zatrzymaliśmy się i poszliśmy spać. Wiatr wył na zewnątrz, ale tutaj, przy jeszcze ciepłych szafach z aparaturą, spało się lekko i przyjemnie, jak zwierzęciu w norze.

Obudziłem od zadziwiającej ciszy. Okazało się, że słyszę krążenie krwi w swoim ciele. A może i nie okazało. Wyrząłem przez okienko i ujrzałem, że trasa zawalona jest śniegiem.

Z Władimirem Pawłowiczem wyszliśmy na zewnątrz zobaczyć, co tam jest i okazało się, że jechać ni w przód, ni w tył nie ma żadnej możliwości pojechać.

- Podnieść nóż, schować skrzydła - mruknął.

- Co?

- Są takie znaki kolejowe, kiedy działa odśnieżarka. Przed przeszkodą je stawiają. I tak się nazywa: "Podnieść nóż, schować skrzydła".

Od razu wyobraziłem sobie skrzydła, które wysuwają się po bokach lokomotywy i ona wzlatuje. Musiałem nawet pokiwać głową, żeby ten obraz zniknął. Ale skrzydła, jak się zaraz stało oczywiste, nie przeszkadzałyby nam.

Kiedy poszliśmy przed siebie, w dół zaśnieżonych torów, zrozumiałem, że na odcinku kilku kilometrów droga jest zasypana i zasypany nie mają końca.

- Można, rzecz jasna, brać łopaty w dłoń i do wieczora odgarniać śnieg - dyskutował sam ze sobą, mruczał Władimir Pawłowicz. I wtedy rzekł do siebie: - No, z miesiąc pomachamy. Zamęczymy się w ogóle, zaczynają się mrozy, tak i nogi przeciągniemy w dół naszego okopowego narzędzia.

Nie wtrącałem się do tego szemrania. Było jasne, że jesteśmy porządnie zatrzymani i było oczywiste, że nigdzie na tym świecie nie znajdzie się odśnieżarka.

- I co robić?

- Oczekiwać wiosny, jasna sprawa. Posiłków podróźniczych nam wystarczy, jeśli więcej spać. Woda jest wokół - w sypkiej i stałej postaci. No, można na stronę schodzić - poszukać przygody na każdej części ciała.

Wróciliśmy i donieśliśmy o tym Matematykowi. Ku naszemu zdziwieniu, nie zdenerwował się, a patrzył sobie tępo pod nogi. Coś się z nim stało, ogólnie ostatnimi czasy dużo przeszedł.

Utracił bardzo ważną cechę - charyzmę okrutnego i wszechwiedzącego szefa. Adiutant jego zginął, dwoje jego sług pokazało samowolę, a i nie oni zależeli od niego, a on od nich.

Dzień po dniu wszyscy wpadaliśmy w anabiozę, tylko Matematyk nasz zachorował. Nie od razu pojęliśmy to, dlatego że się nie uskarżał, ale później zwróciłem uwagę, że on po prostu nie mówi przez sen, a bredzi. Wzrosła mu temperatura i Władimir Pawłowicz najpierw leczył go ustawowymi lekami z pociągowej apteczki, a potem nawet poił i karmił.

Niewiadomo, co to była za choroba, ale raczej nie jedna z tych, które znaleźliśmy. Wszystko to dłużyło się i dłużyło, dopóki w jeden z tych mroźnych dni nie przyśnił mi się kolejny sen.

Od razu znalazłem się w pokoju odpoczynku. To był pokój w domku na obrzeżach lotniska, w którym lotnicy spędzali czas między lotami albo kiedy loty odbyły się. Wtedy, przy szumie deszczu, grali w bilard lub gapili się w telewizor. Właśnie w tym pokoju odpoczynku stałem teraz sam. Nikogo nie było, tylko na stole do bilardu leżała zostawiona przez kogoś gazeta. Bardzo chciałem dowiedzieć się, co tam piszą i czy nie ma w gazecie czegoś dla mnie ważnego - wskazówki, drogowego znaku, ale tekst w gazecie był nieobecny - tylko czarne prostokąty i odstępy, jak bywało w starych grach komputerowych wraz ze wzrostem szczegółów. Można było przeczytać tylko nagłówki, nie mniej zagadkowe: "Przygotować się do podniesienia ostrza i złożenia skrzydeł", "Opuścić ostrze, rozłożyć skrzydła".

Poczuć od tego nie było żadnych, ale potem odwróciłem się. Obracając się zobaczyłem, że to miejsce, gdzie wisiały rozpiska lotów, zlecenia i ogłoszenia, radykalnie się zmieniło. Pewnego razu, kiedy ojciec przyprowadził mnie na lotnisko, bardzo się przestraszyłem. Na ścianie wisiała fotografia z żalobną wstęgą, wisiała nad zleceniami, jak przypomnienie o tym, czym ludzie się tu zajmują. Myślałem, że ktoś się rozbił, ale nie, to umarł jeden z techników i jego zdjęcie wisiało na tablicy razem z nekrologiem. Teraz w tym miejscu zobaczyłem mnóstwo fotografii różnych ludzi - wszystkie w takim samym formacie, ale z różnymi zdjęciami portretowymi.

Chciałem dowiedzieć się, gdzie wśród nich jest ojciec, czy żyje, a koniec końców, czy można go znaleźć.

Stałem przed ścianą w domku, gdzie wisiały fotografie zmarłych pilotów. Przypomniałem sobie, że w tym domku na lotnisku tej ściany nie było, a tutaj ona była, i ogromna, długa, na pół wsi, pół pułku. Dziesiątki twarzy patrzyły na mnie, a ja podejrzewałem, że jeśli będę iść wzdłuż ściany. Za róg, tam, gdzie korytarz wiódł do meteorologów, to to kolumbarium z fotografii wydłuży, będzie ciągnąć się w nieskończoność i na mnie ciągle będą patrzeć twarze martwych lotników. Twarze, na których nie było przerażenia i obawy przed śmiercią, a tylko szczęście i radość. Wielu z nich nie było w mundurach, ktoś w koszulkach i lekkich koszulach, u kogoś na ramieniu leżała ręka żony, a ona sama, odcięta ramką, przebywała między piekłem i rajem.

Wpatrzyłem się w zdjęcia i jednocześnie szukałem ojca i nie chciałem znaleźć. Znaleźć jego fotografię oznaczało zapewnienie o jego śmierci. Jeśli on tu jest, to znaczy, że nie ma go pośród żywych.

W domku było pusto i nikt mi nie przeszkadzał. Nagle zobaczyłem na zdjęciu znajomego - to był przyjaciel ojca, prawdziwy człowiek sukcesu, wysokiej rangi. Nie poznać go było niemożliwe - miał on głowę podobną do ogórka, podłużna, jakiegoś zawsze przerażającego mnie kształtu. Tutaj się uśmiechał, a proste włosy padały na czoło. Bardzo dobrze pamiętałem, jak on się śmieje, machając głową, i właśnie takim pozostał na fotografii. Nie wspominałem tego człowieka ani razu przez dwadzieścia lat, ale on był tutaj taki, jak zapamiętałem go w dzieciństwie.

Ale ojca pośród lotników tej martwej drużyny nie było.

Otworzyłem oczy i spróbowałem się uspokoić. Jak i poprzednio, pływałem w zimnym pocie z napięcia i drżałem. Ale to napięcie powoli zniknęło, a ja uspokajałem się. Ojca nie było pośród poległych - oto w czym rzecz. Jego nie było pośród poległych i to było główną całego przeszłego czasu. Wytarłem się jakąś szmatką i otworzyłem drzwi lokomotywy, żeby się odsikać. Ubrudziłem świeży śnieg żółcią, kiedy nagle poczułem obecność żywych ludzi na prawo od lokomotywy.

Natychmiast zamknąwszy drzwi, potrząsałem Władimira Pawłowicza za ramię. Ostrożnie spojrzeliśmy przez okienko i wewnątrz nas wszystko się ochłodziło i skuliło. Na podkładach, dziesięć kroków przed lokomotywą, stała trójka ludzi, ale nie od razu poznaliśmy, że to ludzie. Prawda, byli ubrani i dwoje z nich trzymało na ramionach słup, z którego zwisała zakrwawioną głową w dół długonoga świnia podobna do niedużego jelenia, a u trzeciego na szyi, w poprzek zapadniętej klatki

piersiowej, wisiał ogromny łuk, a za plecami - kołczan ze strzałami, zbyt ciężki i uciążliwy dla tego elfa.

"Oto one, lokalne mutanty - pomyślałem. - Oto one..." Słyszałem różne historie o mutantach i widziałem różne potwory, ale takie widziałem po raz pierwszy. Były one podobne do elfów, jakimi je rysowali w książkach. Ciekawe, jak bardzo są niebezpieczne elfy, czy zdierają one skóry z żywych? Czy są ludożercami? Ten, który był z łukiem, z manierami pokłonił się, ale nie ruszył się z miejsca. Podniósł tylko rękę z długimi, cienkimi palcami. Z przerażeniem oczekiwałem, że mogą być dwa, ale nie, ręka miała pięć zwyczajnych palców. Zrozumiałem, że wiem, co ten człowiek teraz powie. Dokładnie wiem, że swoich na dobre wbitych do świadomości snów przeszłości:

- Chcesz jeść?

Ale zamiast mi odpowiedział Władimir Pawłowicz, niszcząc przygotowany w poprzednim życiu szablon:

- Czemu nie!

- Nie będziesz strzelać? - upewnił się elf.

- Nie - odparłem, uśmiechając się i podtrzymując grę. - Nie mamy zamiaru.

I powoli, pozując ręce, zesłaliśmy na dół.

Zaprosili nas w gości i, po prawdzie, nie mieliśmy nic do stracenia. A bezsilnemu Matematykowi tym bardziej. Zbudowaliśmy nosze i poszli po płytkim śniegu za naszymi elfami.

Tam odkryliśmy sanie z zaprzężonym koniem. Koń był niewielkiego wzrostu, ale dobrze zbudowany. Położyliśmy pozbawione życia ciało Matematyka na sanie, a śnieg zaskrzypiał pod płozami. Sanie sunęły wolno, nasza eskorta to szła obok, to ktoś z niej przysiadł zamieniając się nawzajem miejscami, żeby koń się nie zatrzymywał. Droga wydawała się być nieskończona, ale w najmniej spodziewanym momencie dotarliśmy do końca, gdzie stał tuzin dużych, mocnych chat, tyle samo kamiennych domków i jeszcze jakieś budowle, widocznie oficjalne. Ale stały one dziwnie, jakby w formacji taktycznej.

Wpadliśmy do środka jakiegoś domu zaraz za naszymi gospodarzami, wpadliśmy w pośpiechu i poszliśmy przed siebie nie rozbierając się, w czym byliśmy. W oczy od razu rzucił mi się druk porządku, leżący na wszystkim - tutaj wszystko było jak w bajkowym domku. Starannie, schludnie, bardzo czysto, wszędzie rozstawione malowane szklane butelki, których przed Katakлизmem było od groma. Tutaj były pokryte jakimś domowymi malunkami.

Położyliśmy Matematyka na szerokiej ławce, Władimir Pawłowicz powiedział, że zaopiekuje się nim, a ja wyszedłem z gospodarzami na zewnątrz. Konia zaprowadzili do stajni, ściśle złączonej z domem. Sądząc po ustawieniu, tutaj w dawnych czasach powinien być garaż. Zastanawiając się w czym pomóc, poszedłem do studni po wodę.

Skrzypnęły drzwi, poleciało w dół, gubiąc grudy śniegu, wiadro. Kiedy wróciłem, koniowi zdjęto już uprzęż i kiedy ochłonął zaczęli pić go przyniesioną przeze mnie wodą.

Wszystko tu było ułożone i nawet koce nam zaraz znaleźli, choć okazały się dosyć obskurne.

Zasnęliśmy szybko, jakby spadając w przepaść, twardo i słodko, jak spałem w dzieciństwie, wróciwszy z dworu, nabiegawszy się i zmęczony.

I nic mi się nie śniło.

Gospodyni rano nakarmiła nas z Władimirem Pawłowiczem jakąś zbożową kaszą i zaczęła wysłuchiwać naszej opowieści. Pamiętając o nieprzyjemnych doświadczeniach z różnymi rozmówcami, byliśmy ostrożni w ocenie sytuacji o wzięliśmy tylko trochę.

Później porozmawiałem z gospodynią. Okazało się, że wspólnota żyła tutaj od dawna, od czasu Katakлизmu. Było tutaj osiedle daczy dla tych mniej biednych ludzi.

Niedługo przed Katakлизmem wybudowali tutaj swoje dobre domy, ale i tak nie zdążyli nimi się nacieszyć. Żaden z bogatych właścicieli nie dojechał tu i, widać, nigdy nie dojedzie. Dlatego osiedliło się tu kilka rodzin hipsterów, którzy uciekli z Tweru.

Hipsterzy wychowywali się i rozmnażali, zachowali zwyczaje swoich hippisowskich rodziców i gorącą miłość do jakiegoś profesora, do którego modlili się na równi z bogami skandynawskimi. Profesor z Uniwersytetu Twerskiego był dla nich widocznie kimś w rodzaju Buddy, tylko ten pozostawił po sobie Pismo. Imiona tych bóstw brzmiały dla mnie dosyć śmiesznie, ale oni sami przez dwadzieścia lat przywykli do nich. Za dwadzieścia to i w Stalina, i brata jego Kaganowicza uwierzysz, o tym jestem już przekonany.

Gospodynię naszą nazywano Larysą.

Larysa, Lara - to było dawne imię, tutaj, w społeczności, nazywali ją skomplikowanym imieniem kończącym się na "el". "Ona jest ponadczasową dziewczyną" - pomyślałem od razu. W podziemiach kobiety starzeją się inaczej, tam wszystko jest inne. A tutaj przede mną stała kobieta ni dwudziestoletnie, ni staruszka - wszystko przez to, że była taka zmienna. Larysa nosiła jakiś dziwny strój, podobny do bluzy, sięgający do kostek, tylko przytrzymany pod piersią jakimś runicznym paskiem.

Do tych run odnosiłem się sceptycznie, ale o nic nie pytałem. Jeśli już wstrzymałbym się przed adeptami Nocnej piękności, przed wierzącymi, jak w Boga, w Stalina i spierałem się z buddystami Śadnego dnia, to już runiczne podwiązanie i celtyckie modlitwy mnie w ogóle nie straszły.

Matematyka zanieśli do osobnego pokoju, gdzie on leżał tępo wpatrując się w sufit. Bardzo nie podobało mi się, że on nawet nie bredzi. Dawno nie uświadczyłem żadnej korzyści w Matematyku i, co oczywiste, zapomniałem o jego obietnicy o nagrodach i zmianie miejsca zamieszkania. Ta obietnica teraz wydawała mi się żartem. Kiedy o niej wspominałem, a wspominałem o swoim życiu przed wyprawą bardzo rzadko.

I tak Matematyk leżał, jak maleńki niemowlak, pozbawiony broni i rozdzielony ze swoim dziennikiem. Teraz pomagałem wynosić na nim garnek, a karmiła go ciągle gospodyni. Matematyk zarósł rzadką, siwą brodą, a ja jaki byłem łysy, taki pozostałem.

Władimir Pawłowicz osiadł w sąsiednim domku, od razu biorąc się za prosty remont. Nastaly lepkie i senne dni, dawno nastala zima. Uczylem się imion obcych bogów i miejscowych bohaterów i szybko przestalem się plątać w imionach kończących się na "...horn" i na "...el". Wiara była tutaj skomplikowana, ale od nas, obcych, niczego nie wymagali, oprócz nieśmiania się przy kapliczkach.

"Trzaskające"... To słowo miałem na języku, dlatego że pamiętałem je z książek, a tylko teraz zdałem sobie sprawę, co ono oznacza, dlatego że nastaly iście trzaskające mrozy i wieś obok domów ludzie roztrzaskali. Dźwięki roznosiły się i zatykało uszy, szczególnie zimno było rankami, kiedy całą przestrzeń zajmowała lodowa mgła, w której kryształki lodu, zdawało się, wisiały w powietrzu. Słońce zmieniało kolor, stało się ciemnoczerwone. Śnieg był wszędzie i wszystko kanciaste stało się okrągłe.

Rankiem elfy obudziły się późno i przez większą część dnia nic nie robiły. Trzy dodatkowe usta, jak się zdawało, nie szczególnie im przeszkadzały. Otrzymałem tylko podpowiedź, że mogę stworzyć dla nich jakieś urządzenie z przewodami, jak postawili mnie na miejscu. Elektryczności tu nie uznawali i żyli głównie dzięki słońcu.

Zima dla mieszkańców osady była czasem bezczynności, za wyjątkiem tych, którzy pracowali w warsztatach zwłaszcza z drewnem. Tym nie podszedłem i zacząłem chodzić do kowala. Kowal, jeśli można by go tak określać takim terminem, nie był elfem, a raczej krasnoludkiem, tak jak ja. Był to krępy mężczyzna i miałem wrażenie, że jego przodkowie już wcześniej pracujący w jakiejś twerskiej fabryce broni.

Żył tutaj od samego początku i do społeczności przywiodła go młodsza siostra. Siostrę z początku ganił za jej umalowane niebieskie oczy i przedziwne tatuaże, a później był jej wdzięczny za uratowanie. To był prawdziwy rosyjski człowiek, gotowy uwierzyć niemal we wszystko, a jeśli zobaczył łaskę, to już w ogóle w cokolwiek. Zbliżając się do naszych buddystów, tak ogoliłby głowy i z takim samym błogosławieniem mówilby o reinkarnacjach księcia z dalekiego kraju. Potrzebowałem w tym momencie przyjaciela, dlatego że Władimir Pawłowicz zadziwiająco głęboko wszedł w swoje życie osobiste, jakby w końcu znalazł cel swojej podróży.

To było logiczne. Koniec końców, każdy miał swoje cel i miejsce, a przecież on był moim bezinteresownym towarzyszem. Nie przeszkadzałem mu i nie kręciłem mu się pod nosem - z tego powodu szukał innego rozmówcy. Matematyk był podobny do warzywa i mówił spójne zdania od czasu do czasu.

I szukałem rozmów z kowalem, żeby lepiej zrozumieć, jak ułożone jest tutaj życie. Myślałem, żeby się z nim zaprzyjaźnić, ale jakoś to nie wyszło... Daleko ode mnie był kowal, dziękuję za to, że zaprowadził mnie do kuźni. Tam zarabiałem na chleb, przynosząc mu ciężkie materiały, dmuchając miechami, a to samemu uderzając młotkiem w pomarańczowo-czerwony i gorący kawałek żelaza.

Tymczasem wszystko, co mnie okręzało, nosiło ślady egzotycznej wiary. Nadproże mojego domu było zrobione według elfickiego wzoru, starannie wykonane długopisem i pisakami. Uzbrojeni mieszkańcy osady byli głównie w łuki i długie noże, podobne do mieczy. Broni było dosyć mało i

wszystkie większe myśliwskie gładkolufowe były widocznie pozostawione przez zaginionych właścicieli domów.

Wyjaśnili mi, że organizowanie wyprawy po amunicję jest nieopłacalne i zbyt ryzykowne. A wyposażenie domowej roboty nabój także samodzielnie zrobionym prochem jest dużo prościej. No i choć proch był dla społeczności lepszy od elektryczności, to i tak był nieczysty. Nie lubili oni ognia i nawet kowal był dla nich człowiekiem wchodzącym każdego dnia w kontakt ze złą siłą. I nie potrzeba im było, sądząc po wszystkim, broni palnej. Władali łukami jak prawdziwi wirtuozi, bez dwóch zdań, ale polowali, jak się zdaje, raczej przy użyciu siideł, niedźwiedzich dołów i zasadzek.

Bali się myśliwi tylko jakiegoś totemicznego jeża, co żył na dalekich polach uprawnych, za bagnami. Ten Jeżyk z pól uprawnych był narysowany w prawie każdym domu, gdzie wisiały na ścianie łuki i strzały - jak przypomnienie o myśliwskich zasadach.

Często chodziłem po wodę i śnieg pod butami skrzypiał, jak muzyczny instrument. Z początku, przynaję, bałem się śniegu, bolały od niego oczy, ale potem przywykłem do blasku jego bieli.

Nie zważając na wszystkie swoje runy, elficka wspólnota regularnie chodziła do rosyjskiej bani, a ja z nimi. Elfy przebywały w bani partiami, ale bez różnic płciowych.

Zwyczajnie tutaj, jak od razu pojąłem, były dosyć wolne. Rodziny płynnie przechodziły jedna w drugą, a dzieci biegały od domu do domu pod nadzorem dorosłych, czy byli ich rodzicami czy nie.

Kiedyś, wróciwszy wcześniej i rozbierając się w sieni, patrzyłem na to, jak Larysa idzie po ścieżce wydeptanej w śniegu do domu. Wracał z bani i było widoczne, jak od twarzy unosi się para. Kiedy weszła do domu, to okna w pokoju zaraz pokryły się od jej mokrych włosów luźnym szronem. Pachniało liśćmi dębu, brzozy i jakimiś innymi sekciarskimi trawami. Usiadłszy za stołem jak Szeroczka z Maszeroczka, objęliśmy się bez słów i zaczęliśmy pić jakiś wywar, a przed tym, kiedy nakrywała do stołu, nasze ręce zbliżyły się i na sekundę połączyły ze sobą. Miska czy kubek stanęła na stole i kontakt się skończył, ale ja i tak wiedziałem, że to naturalna kolej rzeczy i do czego to zmierza. Żadnego innego uczucia do niej, oprócz czułości, nie doświadczyłem.

Minęło kilka dni i nastąpiła pełnia księżyca. To było nowe doświadczenie - po raz pierwszy patrzyłem na księżyc bez obaw i ogólnie spokojnie patrzyłem na nocne niebo, nie oczekując napaści.

Spytałem kiedyś te elfy, czy nie boją się one zmutowanej zwierzyny, ale one nawet nie zrozumiały, o czym to ja gadam. Były na wolności i z takim szczęściem!

Księżyc mnie fascynował i w leśnej ciszy słyszałem dziwne dźwięki. Powiedziałem Larze, że słyszę dziwne odgłosy w lesie. Ciekawiło mnie, czy i ona usłyszy trzask gałęzi i ruch zwierząt po śnieżnej skorupie. Ona niczego takiego nie czuła, a ja zacząłem myśleć, że mam halucynacje. Ale jakoś postanowiłem sprawdzić miejsce, z którego słyszałem dźwięk. To było około kilometra od wsi. Poszedłem tam w ciągu dnia i rzeczywiście odkryłem ślady na śniegu. To był nieznan mi nieduży zwierz, a ślady były maleńkie. Rzeczywiście, normalny człowiek nie mógł słyszeć niczego usłyszeć z takiej odległości.

No ale kto powiedział, że jestem normalnym człowiekiem? Nikt tego nie mówił. A teraz, w noc pełni, słyszałem za dużo: potrzaskiwania i szmer tej przyrody, która po Kataklizmie żyła bez ludzi.

Tej nocy przyszła do mnie Larysa.

Zrobiła to łatwo, bez żadnych wątpliwości, i sukienka szeleściła, spadając z jej ramion. Ciało Lary było prawie fioletowe w świetle księżyca, a w skąpanym białym świetle pokoju było tak jasno, że mogłem dostrzec nawet maleńkie znamiona, wachlarzem rozłożone na plecach.

Widoczne były wszystkie jej tatuaże na ramionach, kostkach i na plecach: wszystkie w kształcie przebiegłych celtyckich zębów i węzłów.

Powoli wsunęła się do mnie pod kołdrę i jak gospodyni wzięła się za słodkie sprawy, jakbyśmy z nią żyli przez całą wieczność. Na mgnienie jej twarz zrównała się z twarzą Kati, zdało mi się, że nie leżę teraz na szerokiej ławie w ciepłym, drewnianym domu, a przyciskam swoją przyjaciółkę do czerwonego granitu stacji "Dynamo".

Ruszała się jak myśliwy polujący na zwierzynę - niezbyt niebezpieczną, ale rozdrażnioną. Jak to łowczyń z obrazków, gdzie starożytna bogini niesie jakieś zwierzęta, tylko że jej złapanych. Ale i ja jeszcze byłem teraz zwierzęciem, nie do końca łatwym i dobrym do spętania.

Ale, rozumie się, rozumiałem o co tu chodzi. Żadnych iluzji. Ale i żadnych wyrzutów sumienia. Uczucia moje przyjdzie mi jeszcze poznać.

Grzejąc się później pod kołdrą i patrząc w sufit, rozumiałem, że to wszystko jest złe. "Ani z jedną, ani z drugą mi nie wyjdzie, a i dla siebie dobrego nie oczekuj - pomyślałem. - Nie trzeba szukać winowajców, nie wiadomo nawet, ile pozostało mi życia. I rzecz nie w tym, że jeśli mało, to można robić co się chce. Albo jeśli przeżyję jeszcze wystarczająco długo, to trzeba zachowywać się właściwie. Czas ustawi wszystko na swoje miejsce, a czas u nas szybki..."

I znowu naszła mnie myśl o tym, że jeśli zbyt długo czekać, to przeniosą cię obok domu twojego wroga...

Próbowałem zrozumieć moje położenie i w ogóle, co i jak robię, co jest ze mną? Niepotrzebne było kopanie siebie, szczególnie kiedy na twojej piersi śpi kobieta, dlatego że kiedy ona śpi, bardzo ciężko skoczyć, odganiając od siebie strach przed samotnością. A samotność jest, ona nigdy cię nie opuści, a nie za dobrze jest kochać dwie kobiety i do niczego dobrego to mnie nie doprowadzi. Ogólnie nie bardzo rozumiałem, co to takiego miłość. Wszystkie pojęcia zmieniły się i to, co było opisane w książkach przed Katakлизmem było nienaturalne względem naszych czasów. Relacje ludzi w książkach były sztuczne i pełne konwencji. Te konwencje zniknęły i ja, pomieszkawszy jeszcze na stacji "Sokół", co teraz wydawało mi się snem przeszłości, rozumiałem, że odpowiedzi na to, jak i co należy czuć w niektórych sytuacjach, książki nie dają. Książki niczego nie wyjaśniały - to było to doświadczenie, którego się nie dziedziczy. Co mogła mi przynieść historia o człowieku, który był młodszy ode mnie, słodko pił, mocniej spał, tęsknił, a potem zobaczył ogromne drzewo w lesie i od razu wszystkich polubił. Ja także byłem oszołomiony, kiedy zobaczyłem las po dwudziestoletniej przerwie, o wiele bardziej, niż bohater dawno zgniłych książek. I co z tego?

I starałem się głęboko zapaść w sen, gdzie przyjdzie ojciec i wszystko stanie się jasne. Liczyłem, że moja tęsknota rozwieje się w tym śnie, jak mgła nad pasem startowym, która znika, kiedy tylko zaczyna świecić słońce.

Ale śnić nie było mi dane, i tak szukający mnie ojciec nie przyszedł do mnie.

Następnej nocy wszystko się powtórzyło, ale siła była już po stronie gnomów. Wojna była zła, powtarzalna, mechaniczna, ale najwyższa władza i sukces były moje. Balin tępym klinem wchodził w urodzajną glebę, przecinał Shire i Eriador, wyskakiwał awangardą w Rohanie.

Podbijałem tę ziemię nieśpiesznie, ale nie odstępując ani na krok, niewzruszenie wypatrując wszelkich ruchów wroga.

Przyszedł czas, kiedy odchodzi rozpacz i ciebie już nic nie obchodzi.

Ale co tam! Nie nasze ciężki oddech i sapanie, a brzęk wozów wojennych był w całym świecie podksiężycowym i pełni księżyca.

W przepaść, podziemny kras, w opuszczone tunele i szyby kopalniane skryło się całe zło świata, a tutaj powróciło królestwo sprawiedliwości.

Runiczna więź, napisana na ścianach krzywo, ale ze starannością, była przepiękna, ale dwoiła się w oczach zalanych potem.

I wtedy nastał ekwilibrum - pokonany Rohan pociągał nosem w pobliżu. Widziałem siebie z boku: tysego, śmiesznego gнома, który wpadł do pałacu, nachuliganiał i upadł pośród jedwabi i poduszek.

I, jak się spodziewano, pchnąłem w bok chrapiącego obok Rohana.

Ale sen jego był głęboki, nie to co mój.

Wkrótce odkryłem, że i Władimir Pawłowicz jest przywiązany. Zaczęliśmy się z nim mniej wadywać, a ja opuściłem tę transformację. Poszedłem po Władimira Pawłowicza, żeby razem wybrać się do kuźni, ale od razu rozumiałem, że do żadnej kuźni mój towarzysz nie pójdzie. Jadł obiad w sąsiednim domu - jadł barszcz na samogonie. Razem z nim za stołem siedziała składająca ciotka, silna, jak sprężysty i silny maślak. Sądząc po tym, jak zrelaksowanie Władimir Pawłowicz patrzył w bok, nocą bardzo ciężko pracował... W ogóle, coś robił ciężkiego.

Dni były przepiękne, a noce... jeszcze piękniejsze. Chociaż dniem cieszyłem się widokiem śniegu, jego smokiem i innymi właściwościami. Śnieg był wszędzie inny: twardy i lodowaty pod ścianami, lekki i syпки na gałęziach drzew, szorstki, kiedy zanurzałem dłoń w zaspie, i puszysty, kiedy padał z nieba.

Jednakże dużo częściej zacząłem się zastanawiać nad tym, co ja tu robię. Można było osiedlić się na zawsze - wykułbym sobie krótki miecz, a jeśliby do osady przyszedł dzik-mutant, elfy wezwałyby mnie.

Wychodziłbym z domu zaspany i potargany, ale jednym ciosem ciął dzika na pół. Mutant znikalby w obłoku różowej pary, a ja cieszyłbym się podziwem i wdzięcznością elfów.

Ale to była brednia - i nie dlatego, że nie podobałoby mi się walczenie z dzikami. To jest zupełnie nieosiągalne, dlatego że za rok czy dwa zatęskniłbym - ale tak, że powiesić się.

Jasne, że nie dla mnie jest życie tutaj. Nie mnie żyć na tej wyspie spokoju, jak płaszczem okrytej śniegiem. Od pawłowskich psów uciekłem, ale nie będę krył, od siebie nie ucieknę. No i ona domyślała się, że jej niewypowiedziane życzenie o wypełnionym rodziną domu nie spełnią się i że godzina naszego rozstania jest blisko. W ogóle, rozumieliśmy, że musimy się nawzajem stracić.

Po nocach zacząłem słyszeć wycie wilków. A przynajmniej tak myślałem, że wyją wilki. Nie dowiesz się, kto tam wył w oddali. Może to były jakieś straszdyła, nowe smoki, Jeżyk z pól uprawnych, co ze sforą psów idzie po księżycowej ścieżce pośród zaśnieżonego pola i szuka zbląkanego człowieka. Nikt tego nie słyszał i tylko ja bałem się tego nocnego zewu.

Leżąc pod kołdrą obok Larysy, wziąłem ją za rękę i ścisnąłem za nadgarstek. To było bardzo przyjemne, to było przepiękne i beznadziejnie smutne. Dlatego że zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później opuszczę osadę wystrojonych elfów.

Po naszych niektórych rozmowach o niczym wyglądała na rozgniewaną. Domyślałem się skąd pochodzi ten ponury niepokój.

Śnieg tej zimy leżał grubą pokrywą. Wszystkie budynki wydawały się niższe niż był w rzeczywistości. Elfy wydeptały głębokie ścieżki, przypominające rowy, do wszystkich domków i innych miejsc. Wychodzili z konieczności, często natykałem się na jakąś elficką dziewczynę i żeby się wyminąć przyciskaliśmy plecy do śnieżnych ścian, a piersi do siebie.

Ze wszystkich zadaszeń nad drzwiami wisiały ogromne czapki śniegu. Przyzwyczajałem się do rąbania drewna i udało mi się to. Bloki były ciężkie i oblepione śniegiem. Były podobne do wrogów w kolejce do zniszczenia. Z początku rąbałem siekierą niezbyt dokładnie i spędzałem przy pieńku o wiele więcej czasu niż myślałem. Strasznie bolały mnie plecy, ale dałem sobie słowo, że kolejnego dnia będę kontynuował.

Ale następnego dnia leżałem na koi bojąc się ruszyć. Później wróciłem do rąbania drewna na opał i tak samo zakończyłem robotę. Wydawało się, że rąbię je całą wieczność, z dnia na dzień. Zapewniłem społeczności drewna, jak mi się zdaje, nie tylko do końca tej zimy, ale i na następny rok. To było trochę bezmyślne, ponieważ zauważyłem, że tu praktycznie nie ma stosów z drewnem - miejscowi zaopatrywali się w drewno na dzień, dwa, no i świetnie.

No ale nie było obwiniać lokalne zwyczaje.

Zima już dawno zmieniła się w mróz, ale i on ustąpił. Z ciemnego nieba, pokrytego niskimi chmurami, z minuty na minutę powinien był spać ostatni śnieg. Poszedłem do kowala, drząc z zimna, i myślałem, że elfy mnie lubią, tylko że jestem pośród nich obcym i na zawsze pozostanę tu obcym.

Rozmawiałem z Larysą. Ona także rozumiała, że jestem tu obcy. Ale widać było, że jest rozdarta, dlatego że wszystko tu wydawało się być swobodnie ustawione, ale przy tym wszystko podlegało ścisłym, nienaruszalnym zasadom.

- Nas tutaj do zapładniania trzymają - wesoło powiedział Władimir Pawłowicz. - Do reprodukcji.

Rola zapładniacza, sądząc po wszystkim, nie wydawała się dla niego upokarzająca. Ale prawda, co w tym złem?

Powietrze wypełniły niepokojąca tęsknota i poczucie zmian. Raz zatrzymałem się z jakimś ciężarem na środku ścieżki wydeptanej w śniegu i nagle przeraziłem się. Chociaż był jasny, wiosenny dzień i całkiem świetlisty, miałem takie uczucie, że stoją nocą w wielkim, gęstym, strasznym lesie. Smutno mi było na duszy, tak, że chciało się bić o skraj komody głową. Coś zatrzymało się wewnątrz mnie, rozerwała się struktura czasów, jak powiedziałaby naczelnik stacji "Sokół". Nadszedł czas mój by umierać, a ja niczego w życiu nie zrobiłem.

I z tego powodu było mi gorzej, że zdawałem sobie sprawę, że z drugiej strony jest ubrany i w butach, syty i obok mnie jest kobieta. Tfu, przepadnij! To była ta psychoza, tęsknota, opisane w książkach.

Kiedyś, kiedy leżeliśmy obejmując się, Larysa w najbardziej nieoczekiwanym momencie spytała mnie:

- Zamierzasz stąd niedługo wyjechać?

Trzeba była żartobliwie odpowiedzieć. Trzeba, miałem przygotowanych sto żartobliwych odpowiedzi, ale ona mnie napadła i wzięła z zaskoczenia, a do tego jeszcze nie można uciekać w nieskończoność od takich pytań.

- Wyjadę.

- Sasza - spytała, - czemu jedziesz? Przecież to głupota...

- Naprawdę nie chcę umrzeć. Tylko że takie są okoliczności. Bądź moja wola, żyłbym w lesie...

Ale szczerze mówiąc, to musiałem powiedzieć, że umarłbym z tęsknoty w lesie. Nawet z nią. Nawet... I wspomniałem o Kati, zupełnie niewłaściwie wspomniałem.

Lara milczała, zamyślona moimi ostatnimi słowami, a następnie położyła głowę na moich kolanach.

- Jesteś strasznie uparty - powiedziała. - Prawdziwy wojownik, stworzony dla chwały.

- Mi także... Również wydawałaś mi się wojowniczką. Prawdziwi wojownicy okrucieństwa i braku litości. Od nich pachnie krwią i błotem. Chwały nie ma tera ani w ogóle. Jest przetrwanie.

- Chcę jechać z tobą - powiedziała Larysa z nadzieją. - Będę walczyć z tobą, nie zdajesz sobie sprawy, jaka jestem silna.

Co jak co, ale nadziei nie chciałem jej dawać:

- Wiesz, przecież w twoich bajkach nie jestem rycerzem z mieczem, a gnomem. My gnomy żyjemy w podziemiach. Nasze życie jest obrzydliwe i pachniemy zakopconym kamieniem i starym moczem. A zamiast zwierząt domowych mamy szczury, ot co. I jeśli idąc tropem twoich bajek, powinienem powiedzieć, że ty powinnaś pozostać ze swoimi ludźmi.

Nie mówiłem jej o tym, że sam nie rozumiem, z jakiego powodu nie zostaję z nią. Dlaczego śpieszę od stabilnej społeczności do mroku podziemi, które nadal uważałem za swój dom? I o dziewczynie, która tam żyje, w mroku, nie mówiłem. Ale, jak się zdaje, domyślała się, chociaż o nic nie pytała. A może dlatego właśnie nie pytała, bo się domyślała.

- Przez ciebie zaopiekowałam się twoim przyjacielem, a on wstał na nogi. A nikt mi niczego nie jest winien. To znaczy, że ja jestem wszystkim potrzebna?

- Cudzego życia nikomu nie można nakładać - odparłem, ale zamyśliłem się.

Nijak nie mogłem zrozumieć, co przeze mnie przemawia: dążenie do domu, gdzie była druga kobieta czy zwyczajny rozsądek. Wiedziałem, czym jest metro, do którego, nawiasem mówiąc, trzeba było jeszcze dotrzeć.

- To znaczy, że zawsze tak będzie? - zapytała z goryczą Larysa. - Mężczyzna jedzie na wojnę, a kobieta zostaje, żeby chronić dobro i czekać, przygotowując się na spotkanie?

- Może zostać i spotykać nikogo - odparłem.

Ale stopniowo zbieraliśmy się z Władimirem Pawłowiczem. Jeszcze nic nie było zrobione, ale, siedząc na ganku i słuchając kropli, zrozumieliśmy, że niedługo będzie nasz pobyt tutaj. I jeszcze Matematyk wyraźnie chciał jechać. Tylko że to już nie był ten łysy, charyzmatyczny Matematyk, którego pamiętałem, a jego cień.

I patrzył on na mnie jakoś tak błagalnie. Nieznacznie zamieniliśmy się z nim miejscami. Nie, on nie stał się bardziej otwarty czy mądrzejszy, a po prostu stracił wolę. Teraz śludzy zostali panami właściciela, ale nie mieliśmy po co wyładowywać na nim swojego byłego strachu. Nie było powodu.

My już dawno zmieniliśmy się i takie wrażenie, że każdy wziął coś od innego. Matematyk zdobył u mnie część niepewności i sentymentalizmu. Co dostało mi się od Matematyka, nie mogłem na razie się dowiedzieć. Ale coś przecież się dostało?

Raz wspomniałem, że dawno chciałem go o coś spytać, ale jakoś zapomniałem. Teraz to było zupełnie nieważne, ale wymagało słownego zakończenia.

- Niech pan powie - zacząłem. - Pamięta pan łysą dziewczynę?

- Matematyk popatrzył na mnie wyblakłymi oczami i było widoczne, że on niczego nie rozumie.

- Łysą dziewczynę. Ją jeszcze pana Mirzo ogolił, a pan później przyprowadził do "Instytutu technologicznego". W czym jest haczyk? W mapie na jej głowie?

Matematyk zacisnął wargi, wspominając, a ja jeszcze raz przekonałem się, że ludzie znaczą dla niego niewiele więcej, niż określone figury na szachownicy. Czyli że coś znaczyli, ale tylko w ramach konkretnej partii.

- Rozumiem - powiedział w końcu Matematyk. - To głupia historia. Ojciec chciał ją uratować, dlatego też zrobił jej ten tatuaż z rozmieszczeniem tuneli. Myślał, że dlatego w razie czego ją znajda. Będzie bodźcem do szukania dziewczyny. I szukali ją kilka lat, a potem problem rozwiązał się sam.

Wszystko się pozmieniało, nawet tunele są inne, a kody pozmieniały się prawie od razu. Na wszelki wypadek skopiowałem rysunek, ale to na zlecenie, na wypadek, gdybyśmy jej nie dostarczyli. Nie trzeba głowy jej odcinać na dowód. No i owady - to niehigieniczne.

Z powodu owadów ogolili? Żadnego tajnego rytuału? W takie wyjaśnienie od razu uwierzyłem. Byłoby higienicznie, komuś ważną głowę by odciął. Nie dlatego, że nienawidził, a z powodu celowości ruchów swojej partii szachów.

- Staruszek Usyskin - stary przyjaciel jej ojca, jeszcze z tych czasów, zanim ojca nie zabrali do rządu. A jej ojciec był u nas w Moskwie naczelnikiem i ciągle jej szukał. I później żył, ponieważ miał ten cel. Tylko mu córka pod bokiem nie jest potrzebna, jemu jest potrzebne złudzenie, że ona jest bezpieczna i dobrze ja karmią. A pan, Aleksandrze, chciałby taką córkę? Nie? I nikt by nie chciał. A tak posłał mnie, żebym ją znalazł i dołączył do ciepłego miejsca.

Pomyślałem, że najwyższy czas spytać, dla jakiej, tak naprawdę, korzyści teraz wraca, ale nie spytałem. Poczulem, że czas jego szczerości skończył się.

W końcu z Władimirem Pawłowiczem zebraliśmy się i, pożegnawszy się ze wszystkimi, wyszliśmy z domu. Matematyk był ciągle jeszcze słaby i pozostawał w swoim pokoju. Zdawało mi się, że słyszę przez ścianę jego ciężki, przerywany oddech. Ale wtedy wyszedł na zewnątrz mrużąc oczy od słońca. Zrobiliśmy kilka kroków, kiedy usłyszałem za sobą słaby krzyk.

Matematyk poślizgnął się na ganku, dziwnie skacząc w powietrzu, uderzył piętami w następny stopień i z rozmachu uderzył się tyłem głowy o róg grubej deski. Obróciliśmy się, ale Matematyk nie wstawał.

Wtedy poszedłem do niego, z początku powoli, ale zaraz szybciej. Matematyk leżał na schodach i patrzył w niebo. Powieki jego powoli opadały aż w końcu oczy zamknęły się. Tak zamykają się oczy starych kogutów. Nawet z boku było widać, jak nienaturalnie wykręcona jest w bok jego głowa. Tak, Matematyk był martwy.

Nijak nie mogłem dojść do siebie od tego absurdu. Matematyk mógł kilka razy zginać, jego mógł schwytać Konduktor albo zjeść pseudokucharz. Jego mogli zastrzelić podczas niezliczonych konfrontacji w petersburskim metrze i na powierzchni, ale żeby tak... Żeby mądry i zły człowiek w ciągu sekundy, będąc z dala od wrogów i prawdziwych niebezpieczeństw, przeobraził się w martwe ciało z rozbitą potylicą - tego się nie spodziewałem.

To wyglądało jak kpina i upokorzenie, przy czym ze strony wyższych sił przyrody. To znaczy w tym jego przeobrażeniu w martwe ciało czuło się nie porażkę czy niepowodzenie, a karę.

Pochowaliśmy Matematyka na wzgórzu i nie zostawiliśmy na grobie niczego, nawet kamyczka. Wszystko to było na nic, nikomu nie było znać, gdzie on leży, i nikt nas o niego nie spyta.

Władimir Pawłowicz na pogrzebie korzystając z okazji znowu się napił, dlatego ruszyliśmy w drogę dopiero po dwóch dniach. Poszliśmy do ogrodzenia, a następnie pobiegliśmy wzdłuż drogi prowadzącej do naszego pociągu. Wokół nas była wiosna - tajał śnieg, przez drogę szły dwa strumyki, dlatego też postanowiliśmy iść przez pole, ale wzdłuż drogi.

A wokół trwała wiosna! Pomyślałem, że nigdy nie widziałem wiosny w swoim nowym życiu. Tylko z przyzwyczajenia teraz tak się stało, że przed tym, jak zdjąłem respirator i nabrałem rześkiego powietrza w płuca, sprawdziłem odczyty dozymetru. Nastąpiły jasne, jakby szklane dni. Ziemia była mokra, a powietrze suche. I wysoko powolnie płynęły obłoki. Płynęły jak żywe, jedne się pojawiały lub znikwały, ale na zastępstwo przychodziły nowe, a ja myślałem, że minęły lata i nic się nie zmieniło. Tylko świat ten był prawie bez ludzi, a i ptaków pozostało w nim jakoś niedużo. Jakby w odpowiedzi na moje myśli na niebie przed nami przeleciało stado jakichś nieznanych ptaków - wysoko, wysoko. I tylko po kilku sekundach usłyszałem echo ich dziwnego, gardłowego krzyku. Ziemia odtajała i pachniała nieznośnie pięknie i niepokojąco, jakby wrócił zapach dzieciństwa i szczęścia. A ja pomyślałem, że pod takim niebem to można spokojnie umierać. Byłoby za co umierać.

XII Przetrwają tylko wspólnoty

Jeżeli z twierdzenia P wynika Q i Q jest prawdziwe, to P również jest prawdziwe.

Sb. Kołmogorow we wspomnieniach. M.: Fizmatlit, 1993, str. 377

Droga okazała się być niesamowicie długa i, zabłądziwszy, wyszliśmy do torów kolejowych w zupełnie innym, nieznanym miejscu. To na pewno nie były przedmieścia Klina, co zachęcało. W dół drogi znajdowała się nieznana osada, zresztą, żadne osady już nie było. Niczemu było się znajdować. Część wsi spłonęła, a po drugiej, czuło się, walili kiedyś z armat. Rozumiejąc, że przyjdzie iść jeszcze długo, postanowiliśmy zjeść to, co dały elfy i zaczęliśmy szukać miejsca.

Nagle błysnęło coś białego w rozbitym oknie opuszczonego domu. Dom nie miał dachu i jednej ściany, ale po środku dużej, zaśmieconej przestrzeni stał biały plastikowy stół i krzesła, kropka w kropkę jak w otwartych kawiarniach mojego dzieciństwa. Weszliśmy do środka, wyłożyliśmy konserwy na stół i siedliśmy na przeciwko siebie.

Przez zniszczoną ścianę był widoczny szkielet "ziguli",⁵⁸ przemieniony dosłownie w sito. Wydawało się, że rdzawy korpus jest uszyty z brązowej, szorstkiej koronki. tutaj zdecydowanie kiedyś toczyła się walka, i to zażarta. I już wkładając pierwszy kawałek w usta, dostrzegłem jeszcze jeden detal pejsa.

Pod zniszczoną ścianą leżał szkielet człowieka, którego czaszka opadła na magazynek karabinu maszynowego. Podłoga była betonowa i trawa przez nią nie wyrastała. A odkąd trawy tu nie było, to były dla nas bardzo dobrze widoczne setki, jeśli nie tysiące pozieleniałych łusek. Było oczywiste, że człowiek ostrzeliwał ze wszystkich okien, przeciągając karabin. A potem go ranili i został przy jednym oknie, tam łusek było najwięcej, i, sądząc po wszystkim, wykrwawił się na śmierć.

Ale, przyjrzawszy się w resztkom gumowego płaszcza, dostrzegłem, że obok szkieletu nieznanego człowieka, okryty za nim z ostatnim momencie, leży mały szkielet dziecka z przyciągniętymi do klatki piersiowej nogami, zwiniętego w kłębek.

Może strzelec był kobietą? Nie udałoby mi się tego ustalić. Co ja, lekarz, żebym odróżnił takie rzeczy?

Co tutaj było, nigdy nie dalibyśmy rady się dowiedzieć. Sądząc po trawie na ścieżce i podjeździe, zwisającej z maski "ziguli", strzelali tutaj zaraz po Kataklizmie. Ale co chronił ten samotnik, z kim on walczył, tego już nikt się nie dowie.

Zamyślił się. Władimir Pawłowicz natychmiast pociągnął z dużej elfickiej butelki, a wiatr mierzwił jego rzadkie włosy. Przejechałem ręką po swojej głowie, od dawna już gładkiej jak kula bilardowa. Włosów nie było mi szkoda, ale głowa przecież bez nich marża.

Nas, jak zawsze w takich sytuacjach, pociągnęło do wysokiej filozofii.

- Wszyscy wyrosliśmy na idei bohaterstwa - powiedział Władimir Pawłowicz. - Ja wyrosłem, a i ty także, ponieważ uczyłeś się przy książkach.

Podjął dyskusję o tym, że bohater to taki człowiek, który za jednym zamachem siedmiu powala. Człowiek, który, powiedzmy, bez żadnego zadrapania może przejść od "Sokoła" do "Wychino", i to w przeciągu jednego dnia. No i jeszcze po drodze urodzive panny powinny mu padać pod nogi. Tylko przecież to wszystko są kłamstwa, przetrwają tylko wspólnoty, przeżyją tylko grupy ludzi, związane jednym zadaniem i wspólnym interesem.

W rzeczywistości bohatera zabijają w przeciągu kilku godzin po tym, jak zaczyna wprowadzać w życie swoje fantazje. To nikomu nie jest potrzebne, lepiej pozwolić go zabić, inaczej będzie się chować po technicznych tunelach i zabijać samotnych podróżnych jak prawdziwy świr. Bohaterowie tacy są.

W dodatku jeśli kogoś zabije, jeszcze zanim straci rozum, to pozostanie w szoku, co robić dalej. Oto właśnie podbił królestwo, ale co robić teraz? Królestwem trzeba rządzić, a jak rządzić, nikt nie wie. A już w żadnym razie on. Co najlepsze, jeśli nie udało mu się zabić wszystkich popleczników zabitego władcy. Ich uzurpator uczyni swoimi ministrami, posadzi na tronie, a historia zadowolony się małą ilością krwi. A jeśli popleczników załatwił, a utopijna idea jest w nim silna, oczekuj biedy.

⁵⁸ Rosyjska marka samochodów

Umrze cała stacja. Faktycznie, według legendy było tak u nas na "Timiriazewskiej" przed jej zniszczeniem.

- Czy tak to jest, czy nie, nie podejmę się odpowiedzi, ale bardzo podobne do życia. No spójrz - mówił do mnie Władimir Pawłowicz - możemy przywieść tych ludzi z powierzchni do nas lub wywieść naszych tutaj. I co? Wszyscy samotnicy zdechną w ciągu miesiąca. Przeżyje wspólnota: banda, szajka, państwo lub rodzina.

Cynicznie uśmiechając się, otworzyliśmy konserwy z wieprzowiną. Można byłoby dokąś wyjść, ale na zewnątrz były wiatr i wiosenne bagno. A tutaj było na czym siedzieć, a jeszcze w pokoju znajdował się plastikowy stół, niepodlegający gniciu. Plastik, jak byłem przekonany, znosił każdy kataklizm lepiej od żelaza i drewna.

Zanurzyliśmy łyżki w puszkach, a Władimir Pawłowicz kontynuował:

- Tutaj jest taka chytra sztuka, ktoś, zdaje się, że nasz baba Toma, mówiła, że nie ma nieustraszonych ludzi, a są ludzie z brakiem wyobraźni.

- A ty takim ludziom wierzysz? Ja tak zawsze uważam. Nawet jeśli widzę, że oni sami sobie wierzą w tym momencie.

- Ja zawsze przewiduję dwa ruchy do przodu. Czytałem, że profesjonalni szachiści przewidują partię na trzy ruchy do przodu, nie mniej nie więcej. To jest widoczne, kiedy człowiek ryzykuje i czym ryzykuje. I jeżeli obiecuje ci księżyc z nieba w nagrodę - to jedno. A czasami widać, że jemu łatwiej dotrzymać obietnicy nie dlatego, że tak cię lubi, a dlatego, że jemu jest tak wygodniej, a ty złowiłeś los na haczyk długoterminowej współpracy.

Wiatr się zmienił, z zimnego porannego przemienił się w ciepły dzienny. Niebo jakoś się rozweseliło i zaczęło przygrzewać słoneczko.

- Niesiemy ludziom wieść, że nie są sami - rzekłem. - Powinniśmy zjednoczyć się z Petersburzanami.

- My? Co my możemy nieść? - Władimir Pawłowicz gorzko się uśmiechnął. - Jest nas tu już tylko dwóch i my niesiemy tą nowinę, i co? Jak starożytni herosi, chcemy aktywnie czynić dobro. I co że możemy? Tak, oczywiście, możemy pójść do ludów podziemi jak bohater jakiejś powieści, którą czytałem jeszcze przed Kataklizmem. I, będąc rodzajem parlamentariusza w dosłownie i w przenośni, poprosić ich o nie walczenie, połączenie sił w tworzeniu nowego społeczeństwa, któremu dane będzie zaludnić powierzchnię. Pierwszą rzeczą nas rzucą w bibliotekarzy, żebyśmy posłużyli tej populacji nie słowem, a czynem... Albo raczej ciałem. No ładnie.

Władimir Pawłowicz zamilkł, ale widać było, że zabolalo go na duszy i ten ból teraz wpływa na wierzch.

- Można przywdział białe płaszcze - przerwał w końcu przedłużającą się ciszę - i nieść wieść powoli, stopniowo wszczepiać ją ludziom do głowy. Zacząć, znaczy, od dzieci. Ty, Aleksandrze Nikołajewiczu, będziesz naszym dzieciątkiem Chrystusem. Naszego nadzwyczajnego naczelnika stacji naznaczymy Piotrem Apostołem i zaraz wymyśli jakiś nowy kościół w naszym Trzecim, na razie podziemnym, Rzymie. No a ja, naturalnie, będę Tomaszem z brudnymi i niecznymi palcami. I zaczniemy rozgłaszać ubóstwo na Linii Okrężnej, anarchizm - na "Wojkowskiej", socjalizm - gdzieś na "Kropotkińskiej", tolerancję i równość rasową - na "Puszkinińskiej". Naturalnie, jak i obiecali nam w tej książce, którą kiedyś czytałem, nowi Faryzeusze pošlą nas na stos, a mieszkańcy Metra, których chcieliśmy zbawić i wyprowadzić na powierzchnię, będą z radosnym okrzykiem rzucać w nas gównem... - Władimir Pawłowicz podniósł się z krzesła i przeszedł po betonowej podłodze. - Prawda, moglibyśmy być prorokami nowej wiary, którą szybko wymyślimy na poczekaniu. Jest jeszcze technika hipnozy i przewidywania mutacji delta, które pomogą napełnić tunele potworami, dzięki czemu przejmujemy władzę. A przecież to wieziemy ze sobą z Pitera, nie? Zajmiemy jakąś fajną stację, zdobędziemy drużynników⁵⁹ i wtedy stacje Faryzeuszy obrócą się w proch, a nas rozstrzelają albo, co bardziej prawdopodobne, zarzną w jakimś kącie. W całym Moskiewskim metrze wybuchnie chaos, z którego wyłonią się jacyś Saduceusze. No i wszystko. I to napisano we wszystkich książkach, które jeszcze niedługo przed Kataklizmem sprzedawali u nas w milionach egzemplarzy. Wszystko, rozumiesz? - Władimir Pawłowicz nerwowo przeszedł po pokoju i stanął za moimi plecami.

- I co, czemu się zdenerwowałeś? - poważnie się zdziwiłem. - W czym problem?

⁵⁹ Drużynnik - członek Dobrowolnej Drużyny Narodowej - radzieckiego odpowiednika Milicji Obywatelskiej

- A w tym! Ty sam przecież mówiłeś o kontakcie z innymi ludźmi, którzy znajdują się w naszym metrze! A pamiętasz, opowiadałeś o powieszonych na "Narwskiej"?! A pamiętasz, jak raz mówiłeś o bandyckiej wojnie? Sam, sam opowiadałeś! To z nimi chcesz się dogadywać? - krzychał na mnie zza placów. - To ich ty chcesz do nas przywieść? Tych bezmyślnych peterskich rzezimieszków?

- Oprócz rzezimieszków, byli tam jeszcze lekarze i inżynierzy, co, zapomniałeś? - spróbowałem się sprzeczać.

Lekarze i inżynierzy oczywiście byli. Byli i botanicy, i Chińczyk, który zarządzał Kunstkamerą, ale w jednym Władimir Pawłowicz miał całkowitą rację. Rzezimieszki zawsze przetrwają i czym bardziej ich naciskać, tym więcej prawdopodobieństwa, że przetrwają.

- Tak oto, co nam przeszkadza powiedzieć, że żadnego Petersburga nie ma? A? A?! - wykrzychał Władimir Pawłowicz.

- Czyli jak?

- A no tak. I zrobimy to, nawet nie mijając się dużo z prawdą, ponieważ widziałeś, jak woda zalewała ich metro. Będzie to miejsce puste, pamiętasz?⁶⁰ Niczego nie ma, Pitera nie ma, alternatywnego świata nie ma, obcy nie przylecą, nas nie zbawią, i wybierajcie, powołując się na własne siły.

Coś w tym zdaniu Władimira Pawłowicza było... Milczałem i patrzyłem, jak ciepły wiatr rzuca jakieś śmieci przez zniszczony dom i poruszał łachmanami na leżącym przed nami zabitym.

A może to jednak była kobieta?

⁶⁰ *Петербургу быть пусту, быть сему месту пусту* - prorocze słowa mówiące o zagładzie nowej stolicy Rosji, czyli Petersburga, wypowiedziane przez Eudoksję Łopuchinę, pierwszą żonę cara Piotra I

Rozdział XIII Skieruj strzałkę na siebie

Żałuję, ale nie mogę ci o tym powiedzieć. To poufne materiały, a ty jakby nie patrzeć, na etacie u nas nie pracujesz. Tylko się nie złości.

Bracia Strugaccy. Ślimak na zloczu

Dostaliśmy się do naszego pociągu i zobaczyliśmy, że śnieg stopniał. Skład był brudny, ale wszystkie drzwi pozostały zamknięte. Wokół na torach było pełno śladów, ale i ślady były stare, powstały jeszcze w czasie, kiedy leżał śnieg. No i przy ostatnim wagonie leżała kupa gnoju. Pomyślałem, że trzeba by sprawdzić, co zostało w naszych wagonach, wziąć i odczepić niepotrzebne. Z drugiej strony, zapasowa kieszeń nie zawadzi, a dla wagonu, nawet niech pustego, można znaleźć wiele zastosowań. Tak więc byłem zbyt leniwy, żeby sprawdzić co i jak jest wewnątrz i, jak się później okazało, na daremno.

Władimir Pawłowicz cały dzień wnikliwie grzebał w mechanizmach lokomotywy, mnie wyrzuciwszy do sąsiedniego wagonu.

Spałem, budziłem się i znowu spałem. Straciwszy poczucie czasu, rzucałem się po podłodze maszynowni i miałem nadzieję zobaczyć jakiś proroczy sen. Nic m się nie śniło, widocznie marzenia senne nie przychodzą na żądanie. W końcu, porzuciwszy senny urok, zauważyłem, że Władimir Pawłowicz od dawna siedzi obok i czyta dziennik Matematyka. Był Władimir Pawłowicz pochmurny na twarzy i widać było także po nim, że czytanie go irytuje.

Spytałem, co takiego odkrył w obcych zapiskach.

- Ano to odkryłem. Zobacz, naszemu Matematykowi żaden kontakt z Petersburżanami nie był potrzebny. Do niczego nie byli mu potrzebni Petersburżanie i w ogóle żadni ludzie żyjący poza naszym metrem. Jemu była potrzebna technologia ożywiania starego paliwa! Właśnie za nią wyruszył w podróż. Są takie dodatki do paliwa, jakby dla jego odmłodzenia. Chciał otrzymać ten cud-dodatek dla paliwa, a do diabła z nimi, z ludźmi, choć trawa nie rośnie. My z tobą zajmowaliśmy się wysoką filozofią i analizowaliśmy, a on był nudny i prosty. Zwyczajny oszust.

- Dlaczego oszust?

- No tak, jeśli nie oszust, to zwyczajny kupiec. Niesamowite jest tylko, jak to on przegrał tą swoją wojnę? Głupio przecież zginąć w bezsensownym, że tak powiem, miejscu. A my myśleliśmy, samemu diabłu sprzedaliśmy duszę, wyruszyliśmy w podróż z wielkim celem. To nie on nas powiódł, to my się złapaliśmy. My złapaliśmy się nie na jego słowa, a na własny mit o priorytetach. I co teraz?

- W tym sensie, że powiedzieć o tym w domu? Jak sugerowałeś, mogłeś kłamać. Jesteśmy jak dwaj niewolnicy, którym umarł właściciel, a oni nagle okazali się być właścicielami całego jego majątku.

- Dlaczego kłamać? Możemy szczerze powiedzieć, że, wiesz, widzieliśmy, że wszyscy poginęli. Ale wtedy pozbawimy ich nadziei, dlatego że peterskie metro jest jak Alfa Centauri.

- Co ma do tego Alfa Centauri?

- Ma to, że to znajdujące się najbliżej nas miejsce we Wszechświecie, gdzie mogą żyć ludzie. Tak samo peterskie metro jest tym miejscem, które jest najbliżej Moskwy, gdzie po Kataklizmie mogą żyć ludzie. Ale nie po prostu ludzie, gdzie może istnieć cywilizacja. I jeśli jej nie ma, to znaczy, że niemożliwe jest nowe zjednoczenie ludzi. Jesteśmy sami w tym postapokaliptycznym Wszechświecie.

- To co, proponujesz kłamać? Powiedzieć, że wszystko jest przepięknie, że miasto żyje i mamy pragnienie naszej miłości bracia?

Sam tego nieświadomy, zacząłem wypowiadać się jakimś wyniosłym językiem.

- Ja, Sasza, ni wiem. Z jednej strony, z drugiej strony... Nie wiem. Sprawdzić nas jest rzeczą niemożliwą - jest to przecież sytuacja filozoficzna, problem niepoznawalności świata. Nawet jeśli przynieśliśmy wieść o kwitającym świecie Sankt-Petersburga, to gdzie byłaby gwarancja, że on nie wyginie w krótkim czasie po naszym powrocie? Albo innymi słowy, z jakiego powodu ludzie nie żyliby z tą wiarą, że nie są sami? Oni, być może, nie podjęliby żadnych działań, żeby przybliżyć spotkanie z Petersburżanami, ale mentalności to będą u nich różne, jaśniejsze, czy co.

- A czy nie uczą nas książki, mnie za bardzo nie było czego uczyć, że niewinne kłamstwo to początek większej tragedii? I czy nie znajdujemy się w jakiejś większej dupie? - Ostatnie dodałem, żeby zabić narastający entuzjazm.

- Książki niczego nie uczą. Książki tylko opowiadają historie, podobne do tych, które mają miejsce wokół nas. Czy tego chcesz, czy nie, ale my teraz jesteśmy tymi dwoma ludźmi, którzy realnie tworzą historię. Tylko myśleliśmy, że staniemy się pierwszymi gońcami, wieść jakąś przyniesiemy naszemu podziemnemu światu i tym podobne. A teraz możemy tylko przyjść do swoich i powiedzieć: "A przed wami skryli, że między miastami jest połączenie, kiepskie, nieregularne, ale jest. Wy wszyscy, drodzy Moskwianie, jesteście ofiarami spisku." No i będziemy czekać, póki nas nie znajdą pewnego pięknego dnia bez rąk, bez nóg, bez głowy. Tak przecież zwykle bywa z demaskatorami...

Miał rację, ale żadnej radości z tego powodu nie czułem. Byliśmy podobni do pozostałości załogi Kolumba, która właśnie odkryła, że nie są żadnymi pierwszymi odkrywcami, że hiszpańska królowa od dawna kontaktowała się z amerykańskimi Indianami, tylko wszyscy oni trzymali korespondencję w tajemnicy. Pytanie było, co jest tajemnicą? Ona nie tego dotyczyła, oczywiście, że ktoś jeszcze przeżył, o tym się domyślali i w to wierzyło wielu, a tego, że jest komunikacja między miastami.

Naprawdę mogliśmy się okazać pierwszymi ludźmi powracającymi z wyprawy nie po dwudziestu latach, a w jakimś najbliższym czasie. I zamiast radosnych podróżników, którzy przynoszą swoim ludziom informacje o innym świecie, możemy okazać się niepotrzebnymi świadkami. A Władimir Pawłowicz swoimi słowami niezbyt mnie przestraszył, raczej niczego nowego nie powiedział. Co mogą zrobić z zarządcami i właścicielami cudzych tajemnic ze względów praktycznych, ogólnie domyślałem się.

Ale dalej na drodze czekała na nas niespodzianka. Stanęliśmy w pobliżu stacji Powarowo - tak okryliśmy wiele dróg, jakiś wielki węzeł komunikacyjny. Trasy były zapchane i nawet przyjęliśmy na zderzak lokomotywy porzucony na torach wagon-platformę i zaczęliśmy pchać go przed sobą. Ale popchaliśmy krótko - dalej torów nie było. Zupełnie, drogi też nie było. Zacząłem myśleć, że tam zaczyna się strefa rażenia po wybuchu, ale to było coś innego. Drogi nie było, a dokładnie przed nami był ogromny krater. Dymił czymś różowym i granatowym i sączyła się lawendowa mgła.

Przy tym poziom radiacji był tutaj całkiem normalny. Normalny, oczywiście, w granicach przyjętych po Kataklizmie. W to, że miejsce po wybuchu jądrowym może tak przez dwadzieścia lat wyglądać, nie dało się uwierzyć. Tu nawet wersji żadnych nie było. Nie należało wspinać się na ten krater, z nadmiernej ciekawości życie mnie leczyło, leczyło i praktycznie wyleczyło. Zwłaszcza przez ostatni rok.

Nie, w drugim życiu. Ale co robić dalej, nie było wiadomo.

Władimir Pawłowicz wystąpił do przodu i zatrzymał się.

Dobry dziennik Matematyka i długo gapił się w narysowane i wydrukowane mapy. Rysunki były oznaczone jak świeże, a wydruki, ładniejsze i dokładniejsze, były wykonane w kolorze jeszcze przed Katakliżmem.

Porównawszy je Władimir Pawłowicz coś mruknął i w końcu podjął decyzję:

- Wymyśliłem, jak postąpimy. Podążymy po strzałce w prawo, potem dojedziemy do stacji rozrządowej w Manichinie po drodze rokadowej, a potem znów do Moskwy. Czyli pojedziemy od trasy Oktiabrskiej do Ryskiego kierunku drogi Moskiewskiej. Teraz, chroń nas Boże, chciałoby się, żeby nam się udało.

"Mam przed sobą jakiegoś Suworowa"⁶¹ - pomyślałem.

I racja, mój towarzysz stał się podobny do generalissimusa⁶² Suworowa, jakim go przedstawiali w książkach. Z czubem na głowie, pomarszczony i skoncentrowany. I czubek miał szary! Jak ja na to nie zwróciłem uwagi? Ukryty Siwkę⁶³ strome wzgórze! Po środku Władimira Pawłowicza ostatecznie.

A jak wychodzi! Ja wyłysiałem, on osiwił, chcieliśmy znaleźć szkarłatny kwiat, a ujrzyliśmy tylko monstra bez żadnego odszkodowania za uszczerbek moralny. Ale powiesz - cholera, cholera, cholera, i oto on.

Potwory nie musiały długo czekać - to nie były prawdziwe potwory, a coś powodującego upiorny, pulsujący strach. Z zagłębienia zaczęła wylazić lawendowa mgła, podobna do ciasta, nawet z odległości wydawała się gęsta i lepka.

⁶¹ Aleksandr Wasiljewicz Suworow (1729-1800) - rosyjski dowódca i teoretyk wojskowy

⁶² Generalissimus (łac. najgłówniejszy, najbardziej nadrzędny) - w niektórych państwach tytuł nadawany generałowi lub marszałkowi pełniącemu obowiązki naczelnego wodza.

⁶³ Siwka, Siwiec - rzeka płynąca w centrum Moskwy, o szarym kolorze wody, obecnie zamknięta w rurze

Już dawno poczułem, że najstraszniejsze, paraliżujące niebezpieczeństwo nie jest podobne do ludzi i zwierząt. Kiedy próbuje zabić cię przyroda nieożywiona, czujesz się poniżony. Czas u nas płynął szybko i Władimir Pawłowicz ruszył lokomotywą do przodu, do miejsca, gdzie prowadziła odnoga w prawo.

Mgła szła za nami, jak wielka woda Leningradu, jak powódź. Jak gdyby dżem ze słoika wyciekał na ziemię, ale sprawdzać jego słodkich właściwości w ogóle się nie chciało.

Strzałka była przed nami, ale zobaczyłem, że wszystkie jest takie łatwe. Tras było wiele, ale w prawo szły trzy spośród nich. Najbardziej z lewej kończyła się w oplecionej wikliną ścianie, czyli ślepy tor. Drugi, najbardziej z prawej, kończył się przepaścią, tam najwyraźniej było osuwisko, część nawierzchni spadła w dół i wygięte szyny sterczały we wszystkie strony, jak wzmocnienie w zniszczonym betonowym bloku. Potrzebna droga - do Manichina i Kubinki - była pośrodku.

Ale tutaj był zaskoczony nawet zobaczywszy wiele kolejowych mechanizmów Władimir Pawłowicz. Tak samo zdziwił się, kiedy wziął buddystów za robotników na torach kolejowych. Jak się potem wyjaśniło, na torach bywali i ludzie w pomarańczowym, bywali i jacyś niewidzialni robotnicy, i wszyscy mieli jakieś wyjaśnienia. Ale tutaj przed nami był prawdziwy cud.

Przed nami paliła się sygnalizacja świetlna i mniejsza o kolor światła. To była automatyczna strzałka, okazująca się być żywą. Obok niej na wysokim słupie stała bateria słoneczna i sygnalizacja od czasu do czasu pikała, przesuając tory w skrajne położenia. Tak, na pewno pikała przez całe dwadzieścia lat, powoli wariując. Ale mieliśmy teraz do niej sprawę, bez żadnej nadziei wymusić pożądane położenie.

Lawendowa mgła napierała z jednej strony, a strzałka wciąż nerwowo klikała swoimi przełącznikami. My powoli, ale nieubłagalnie zbliżaliśmy się do niej. I wtedy Władimir Pawłowicz spokojnie zdjął czapkę i kurtkę i powiedział po prostu:

- Ja potrzynam, a ty zjeżdżaj. Nie waż się zostawać, słyszysz?

Nie zdążyłem okiem mrugnąć, jak chwycił automat i skończył na ziemię. Wychyliłem głowę przez okno i zobaczyłem, jak Władimir Pawłowicz z rozmachem walnął lufą w baterię słoneczną, a następnie i w szafkę na stojaku. Nic mu nie wychodziło - strzałka żyła własnym życiem. Wtedy spróbował zaklinować mechanizm lufą, ale bezduszna maszyna przeżuła twór rusznikarza Kałasznikowa, jak mysz makaron.

Władimir Pawłowicz pozbawił zasilania strzałkę i, opierając buty o podkłady, skierował dźwignię na właściwe położenie.

Lokomotywa przepłynęła obok niego, a ja patrzyłem, jak on macha mi ręką, mówiąc: dogonię cię.

"On teraz dogoni" - pomyślałem i powtórzyłem na głos, żeby przekonać do tego samego siebie:

- Dogoni, dogoni.

Ale jak tu uwierzyć, kiedy ostatni już mijał strzałkę, a Władimir Pawłowicz nadal pozostawał tam, gdzie stał. Coś tam się u niego stało, noga, czy co, utknęła? Ale to w ogóle nie było śmieszne. Jakby nie mówić, mój towarzysz marnował drogocenny czas.

Nasyp nachylił się i nasz skład nachylił się razem z nim. Szybko ostatni wagon zakrył przede mną maleńką figurkę, a kiedy znowu ujrzałem to miejsce, to już kłębiła się tam lawendowa mgła. Wracanie się nie miało sensu.

Przepadł Władimir Pawłowicz, przepadł, jak przepadają krzaczek we mgle.

Oprócz bólu rozstania, czułem urazę. Jak on mógł mnie w tym złym czasie zostawić na zawsze! Teraz ja sam musiałem podejmować decyzje. Z tęsknotą patrzyłem na dziennik świętej pamięci Matematyka i na przyczepione do niego pudeleczek z karteczkami i dyskami twardymi.

Rozdział XIII Owce Sowchozu "Słoneczny"⁶⁴

Patrzy on na tego baranka, a ten prosto w oczy mu się gapi. Strasznie mu się zrobiło. Nawet psiarz Jeremił nie pamiętał żeby kiedykolwiek baran tak wprost w oczy spoglądał. Nic to, zaczął barana po welnie gładzić, i mówi: "Biasza, biasza!" a baran, nagle jak wyszczerzy zęby i też mówi: "Biasza, biasza"...

Iwan Turgieniew. Łąki Bieżyńskie

Teraz jechałem sam. I dla większej pewności założyłem kurtkę Władimira Pawłowicza i nawet założyłem jego czapkę. I zawsze mi się wydawało, że jeśli włożyłem mundur, to twoje życie zmieniło się. Nic tak łatwo w życiu nie może się stać. Opowiadali mi o człowieku, który znalazł strój listonosza, zaczął nosić i zmuszono go do roznoszenia listów. Albo wtedy otrzymał płaszcz z ramienia mistrza, i cześć. Jesteś już pośród sług i, drżąc ze strachu, boisz się hańby. A już jeśli masz na sobie czapkę z gwiazdą, to od losu się nie odwrócisz, poprowadzi cię to nakrycie głowy po życiu jak jagniątko. Ale w czapce było gorąco i od razu rzuciłem ją na prawy fotel, gdzie zazwyczaj siedziałem, kiedy skład prowadził mój towarzysz.

Teraz jechałem kierując się tylko znakami drogowymi: gdzie mogłem - zwalniałem, ostrożnie mijając strzałki z małą prędkością i uważnie patrzyłem w dal, czy nie majaczy na mojej drodze martwy nadjeżdżający pociąg. Patrząc w mapy pozostałe po Matematyku mi się nie chciało.

Wokół mnie szalała wiosna - nie widziałem tego od dzieciństwa. Cała ta zieleń, kolory i zapachy doprowadzały mnie do szału i otworzyłem okno w kabinie, tylko sporadycznie skakały oczy do wąskiego ekraniku dozymetru. Dozymetr leżał sobie spokojnie, sporadycznie tykał, ale tylko sporadycznie.

W pewnym momencie zatrzymałem się przy rzeczce Istrze i, sprawdzwszy poziom promieniowania (okazał się normalny), wszedłem do wody. To było naprawdę niesamowite uczucie, ciepła woda na płyciźnie, opływająca ciało.

Wewnętrzny panikarz mówił mi, że nigdy nie wiadomo, przyplynie do mnie jakiś wąż, ale to wciąż mnie nie obchodziło. Straciłem wszystkich i byłem sam. Przepowiednia, zdaje się, spełniła się i jeśli napadnie teraz na mnie jakaś ropucha z mutacją delta, to będzie to naturalnie i zupełnie niezaskakujące.

Wróciwszy do składu, usłyszałem nagle dziwne szuranie w ostatnim wagonie. Ściągnąwszy z ramienia automat ostrożnie otworzyłem drzwi. Taki numer, siedziało tu trzech małych buddystów, sądząc po wszystkim, żywiących się przez cały ten czas jedynie tabletkami z lotosem. Żyli tutaj w śpiworach i przeżyli zimę. Zaskakujące, jak oni tu nie zamarli. Ale zajrzawszy do środka wagonu zrozumiałem, w czym rzecz. We trzech zniszczyli prawie cały ukryty wewnątrz zapas żywności przeznaczony dla załogi pociągu. Dobra rzecz, jakież byłoby moje zdziwienie, jeślibym się go spodziewał. To znaczy ja się go i tak spodziewałem, ale póki co jeszcze nie nastąpiła straszna potrzeba.

Można było szukać pocieszenia w tym, że już lepiej mieć kłopoty teraz, żeby potem nie być ostatnią kroplą w morzu, jak mówił naczelnik stacji "Sokół", kiedy zaczęła się u nas epidemia i zdechły prawie wszystkie świnię.

Wyгнаłem ich precz i, trochę się zawahawszy, nie oszczędziłem rajskiego miejsca na rzeczonym brzegu, mówiąc swoim podopiecznym:

- Oto co, moi pomarańczowi przyjaciele, dopóki się nie umyjecie i nie upierzecie, nigdzie nie pojedziecie.

Pomarańczowym przyjaciółom to nie przeszkadzało. Wzięli ze sobą swoje pieluchy i poszli do rzeki. O ropuchach-mutantach, sądząc po wszystkim, nikt z nich nie pomyślał. Kiedy wyszli, nagle wzruszyłem się. Wszyscy troje byli prawie dziećmi, byli dla mnie jak dobrzy synowie - maleńcy, szczupli, z szarą peterską skórą. Goli wydawali się jeszcze młodsi.

"Można postąpić tak, jak mówił Władimir Pawłowicz - pomyślałem. - Można założyć własną sektę: będę prorokiem, będę miał trzech apostołów. Trochę mało, ale lepsze to, niż nic. Potem ożywimy się madonnami i postawimy dom przy rzece. Będziemy coś uprawiać i jeść ropuchy..."

⁶⁴ Sowchoz - radziecki odpowiednik państwowego gospodarstwa rolnego

Ale wtedy też odegnałem tę myśl. Jaki ze mnie guru? No i co ja mogę dać tym tabletkowcom? W imię czego oni wyłażą ze swoich lotosowych dżungli? A wyłażą, tak będą całkowicie ubezwłasnowolnieni.

Jedną dobrą rzeczą było to, że nie byłem już sam. W ciągu dnia, nie przejechawszy zbyt dużo, zobaczyłem obok tras, jak raz przed znakiem o zgłoszeniu gwizdka, świeży ślad kół. Ktoś przejechał tu na traktorze i przejechał niedawno, po deszczu. Uzbroiłem buddystów w automaty, chociaż wiedziałem, że byli trochę zmieszani, ale pozwolić im zwyczajnie trzymać broń, i wybrałem się z nimi na rekonesans.

Minęliśmy ochronny pas drzew, który przez ten czas rozrósł się i zaczął przypominać po prostu las, i tu tak samo natknęliśmy się na zardzewiały, ale mocny płot i brama w nim. Na bramie był znak "Sowchoz »Słoneczny«".

Nad znakiem było przyklejone blaszane słońce, które wyglądało dosyć strasznie. Mniej więcej tak samo, jak powinien wyglądać język-mutant. Albo kwiatek kaktusa Caryca nocy, o którym prawie zapomniałem.

Uważnie obejrzałem bramę: ani zamka, ani zatrzasku na niej nie było, tylko krótki kabel trzymał jaj połówki, żeby się niepotrzebnie nie otworzyła.

Ale właśnie tu wiodły dwie koleje. Weszliśmy w bramę i ostrożnie i ukradkiem ruszyliśmy przed siebie przez ogromne pole. Ani jednego budynku nie było widać po horyzont i już zmęczyliśmy się marszem, jak nagle pole urwało się zarośniętą grubą wiązką leszczyny. Tu także szumiał strumień i także promieniowanie było w normie.

Zrobiliśmy jeszcze kilka pomiarów radiacji, nie znalazło się nic godnego uwagi: tylko stary traktor bez szyb, osaczony w polu po samą kabinę, i jakiś budynek gospodarczy bez dachu podobny do dawnej stodoły.

A na dalekim wzgórzu stała wysoka cerkiew z dzwonnica i stała na słońcu złotem pokryta kopuła. Jeśli kopuła była złota i się nie rozpadła przez te lata, to znaczy, że żyją tam ludzie. I co więcej, jeśli dbali o świątynia, to jest to nie tylko miejsce życia, a cała wspólnota, gospodarstwo.

Wspólnota... I wspomniałem nasz spór z Władimirem Pawłowiczem. Smuciło mnie tylko to, że zamiast krzyża i na cerkwi, i na dzwonnicy widniało dokładnie takie samo słońce ze złotymi, rzadkimi promieniami, które widzieliśmy nad bramą. Tak więc z czystym sumieniem zdecydowaliśmy się na nocleg pod jej ścianami, żeby jutro się zastanowić.

Rozpaliłem ognisko i przez godzinę buddyści wsadzali w popiół dzikie ziemniaki wielkości orzecha włoskiego, gorzkie, ale nadal satysfakcjonujące.

Po jedzeniu zacząłem powoli zapadać w sen.

I w tym śnie stałem na krańcu dokładnie tego samego pola, tylko zamiast traktora w polu utknął samolot. To nie był samolot ojca ani ten, którym poleciałem do Petersburga nie cały rok temu. To była duża, drapieżna maszyna - odrzutowy samolot szturmowy, i jeszcze zobaczyłem, że on wszedł w ziemię tylko czubkiem.

Stałem po środku pola i dostrzegłem w oddali ciemną postać. Ktoś na skos przez pole szedł do mnie, podnosząc nogami suchy pył. Obłoki tego pyłu wokół butów idącego przypominały skrzydła.

Wiedziałem, że to idzie do mnie ojciec i chciałem przygotować się na jego przybycie. I wtedy pojąłem, że mam na sobie strój spadochroniarza. Zdjąłem pasek i rozpiąłem zamek kombinezonu. Nie było wątpliwości, w tym śnie byłem pilotem i na pewno - zestrzelonym pilotem. Tylko skąd mam na sobie spadochron, jeśli zwałem się z nieba w tej odrzutowej bestii? Ale tu już było mi nie podążać za logiką. Ojciec podszedł i, objąwszy za ramiona, powiedział, że teraz jest najwyższy czas spojrzeć na gwiazdy.

- Nie ma niczego ważniejszego od gwiazd i praw moralnych.

- O czym ty? - spytałem. - Źle, że się nie spotkaliśmy i nie wiem, gdzie cię szukać.

- Wszystko znajdzie się samo - odparł ojciec. - Najważniejszy jest spokój. Najważniejszy jest spokój.

Z oburzeniem myślałem, że ta fraza w rzeczywistości jest z mojego dzieciństwa, ale w żadnym razie nie wypowiadał jej mój ojciec. To mówili w jakimś filmie, którego nazwy i fabuły nie mogłem sobie przypomnieć.

- Wszystko się odnajdzie - powtórzył - najważniejsze, nie naruszać harmonii. Harmonia, synku, jest taką rzeczą podobną do wysokości, traci się ją szybko, a konsekwencje są często śmiertelne. Zrobisz coś wbrew zasadom, a to zostawi ślad na całe życie...

Obudziłem się dlatego, że apetycznie pachniało pieczonym mięsem. Otworzywszy powieki, odkryłem, że buddyści pieką maleńką owieczkę. Taki wegetarianizm w ramach wiary! Takie one, dzieci! Wytrzasnęli skądś zwierzaka i oto przynieśli starszemu... Stop! Owca to nie dzik, nie zając, nie wiewiórka, skąd oni ją wzięli?...

- Chłopaki, a skąd to wy macie to bogactwo? - spytałem, próbując odgonić narastającą obawę.
- A tu, nie daleko stąd, ze dwa kilometry - odparł najzwinniejszy. - Tam się pasły.
- A właściciel?
- Jaki tam właściciel? Nikt nas nie widział.
- Tak, idioci, zbierajcie się. Zbierajcie. Potem dojecie.

Tutaj mógłbym upierać się, żeby zostawili mięso, żeby zostawili wszystko i na złamanie karku uciekali precz, ale się nie upierałem. Widać, straciłem zdolność, rozkwitłem. Choć zostawiliśmy miejsce noclegu, to włóczyliśmy się wolno i szybko zdałem sobie sprawę, że nas wyśledzą, wysłali za nami pogoń. Na polu wzniosł tuman kurzu dżip, z którego walili serią z karabinu maszynowego. Właściciele słonecznych owiec byli jeszcze bardzo daleko i strzelali przypadkowo. Tylko że w pierwszej próbie zabili jednego chłopaka. Umarł prawie natychmiast, waląc nosem w ziemię.

- Biegiem, biegiem głąby! - pogoniłem nie tyle towarzyszy, co samego siebie.

Odbiegnąwszy zobaczyłem, że jeden z nich nadal niesie na ramieniu ociekającą czerwonym sokiem owczą tuszę.

- Zostaw, zostaw durniu! - krzyknąłem, ale było za późno.

Znowu zaterkotał karabin i fontanny suchej ziemi uniosły się między nami. Buddysta zatrzymał się, śmiesznie kuczając. I wtedy trafili i w niego. Trzeciemu udało się już dobiec do mnie, ale wiedziałem, że jest ranny. Na gadanie nie było czasu i podniosłem go, wziąłem ciężar małego cielaka na ramię i pobiegłem do bramy.

Strzelali w nas jeszcze kilka razy, ale, jak czułem, bardziej dla postraszenia. Z owcami nie ma tutaj żartów i oczywiste było, że z nieproszonymi głupkami także. Otwarty "uazik" zwolnił i zawrócił. W tym momencie pierwszy i ostatni raz widziałem mieszkańców sowchozu "Słoneczny" - w białych koszulach z wyhaftowanymi kołnierzami, z runicznymi opaskami na czołach - byli podobni do słowiańskich bogów, jakimi ich rysowali w bajkach. Racja, do bogów z karabinami maszynowymi dużego kalibru.

Sapiąc, z męczącym ciężarem na plecach, biegłem jak najdalej od bram słonecznego sowchozu.

Przy torach kolejowych zatrzymałem się i poczułem, jak chłopak zaczął ciążyć. Zdjąłem z niego pomarańczowy płaszcz i ciepły sweter, koszulkę po prostu rozerwałem i po omacku znalazłem ranę. Kula weszła małemu buddyście w lewą łopatkę, skruszyła kość i wyleciała po przekątnej pod prawym obojczykiem. Zakrwawionymi, trzęsącymi się rękami wyjąłem z kieszeni zwitek czystych chusteczek do wycierania szkieł i podniosłem chłopca. Podłożyłem mu pod plecy kolano, zacząłem zawiązywać ranę, próbując zatamować ciekącą spod obojczyka krew. resztki koszuli i chusteczki szybko czerniały, przemakały na wskroś. Krew ciekła z ust i zrozumiałem, że złapać nie ma tu czego. Wszystko jest strasznie głupie.

Wszystko bezmyślnie i poprawić niczego nie można. Żadnym guru się nie stałem i zabili moich durniów-apostołów, a w rzeczy samej zagubionych pomiędzy Moskwą i Petersburgiem chłopaków, i teraz ostatni z nich leży u mnie na rękach, a ja słyszę, jak chlupie i bulgocze krew w jego gardle, jak przerywa się jego oddech. Chłopak umarł i ciepły letni wiatr mierzwił jego dopiero co żywe włosy.

Nigdy nikogo sam nie chowałem i sugerowałem się tylko tym, co przeczytałem w książkach. Przyszło mi wspiąć się na pociąg za narzędziami okopowymi. Wprost na wzniesieniu kopać okazało się ciężko z powodu ubitych kamieni i nawet stadłem z niego, boleśnie uderzając głową o kamień.

Przyszło mi się cofnąć w bok, akurat pod znak drogowy w kształcie nieregularnego koła, mówiący, żeby dawać sygnały dźwiękowe. Później, nie podnosząc się z kolan, zabrałem się za kopanie dołu przy użyciu saperki. Tutaj już ziemia była wilgotna i miękka. Spieszyłem się, ale jakaś duszność złapała mnie za gardło.

Psychoza reaktywna, jak powiedział któryś z moich też teraz martwych towarzyszy. W końcu wykopałem mogiłę głęboką po pas. Zajęło mi to dużo czasu, tak że ziemia przykryła mojego buddystę

w jasnym świetle poranka. Zakryłem mu twarz krajem pomarańczowego płaszcza i przykryłem małe ciało żółtą, moką gliną.

Teraz nie było powodu do pośpiechu. Wszystko było oczywiste, jak w starych grubych powieściach o wojnie ludowej, gdzie jeden Rosjanin zabija drugiego. W mgłę dymu nad drogami wstawało słońce. Promienie jego przebiegały po srebrnych drzwiach raketowego pociągu, w którym zostałem już zupełnie sam.

Za stacją Sniegiri zauważyłem, że dalej nie ma postępu. Przede mną tory kończyły się. Dalej znajdowało się jezioro zastygniętego szkła, jak z początku sądziłem, epicentrum wybuchu. Zastygłe szkło promieniowało, ale nie zbyt mocno. Nie w tym była rzecz, że miejsce było radioaktywne, a w tym, że tory się kończyły.

Tory wpływały w porowatą powierzchnię dziury. Jeszcze sto metrów i znikaly w tej zastygłej kiedyś masie. Pół dnia siedziałem w hermetycznej kabinie, zbierając się w duchu. Później się wyspałem, dokonałem kalkulacji wszystkich wartościowych rzeczy i napełniłem nimi plecak.

Rankiem wyszedłem na Wołokołamską szosę obok roztopionego zbiornika na piedestale i jeszcze jakiejś techniki, która nie wiedzieć jakim sposobem trafiła w to miejsce. Obok znalazłem oparty o ogrodzenie rower, ale on niezbyt mi pomógł. Przejechałem na kołach z kilometr, kiedy rower dokonał żywota.

Ale przy Diedowsku znowu wyszedł na stacji. I, ku mojej radości, stała tam w pełni sprawna motodrezyna. Fakt, szukałem do niej oleju napędowego przez dwa dni, tylko że on tak śmierdział, że i cudowne tabletki dla paliwa ledwie działały. Ale dzięki moim wysiłkom motodrezyna tak samo zakaszła swoim silnikiem jak staruszek i wiedziałem, że ona długo nie pociągnie.

Jednakże mi nie było potrzebne długo. Mi było potrzebne dojechać do Moskwy.

Tak dotarłem do stacji Leningradzka Rysiego kierunku. Wtedy powstało pytanie, jak zejść pod ziemię. Zajezdnia "Sokoła" miała bramę z peronem Podmoskiewska, , która była dalej za mostem. Sądząc po wszystkim, była na prawo ode mnie, ale jak przejechać tam na motodrezynie, nie wiedziałem.

Most był cały, jednakże na drogę runęło nadziemne przejście dla pieszych, a tych ogromnych kawałków betonu motodrezyna na pewno nie ruszy z miejsca. Blisko był łokieć, to jest tunel, ale nie ugryziesz.⁶⁵ A można było zejść i ze swoim zwyczajnym dobytkiem próbować przejść na "Wojkowską", ale mogą ciągle walczyć z anarchistami. Tylko co tam się teraz tworzy na "Wojkowskiej", nie miałem pojęcia. Przez rok wszystko mogło się zmienić i tam, i na "Sokole".

Można było pójść ulicą Cariowa do szybów wentylacyjnych albo powierzchnią do stowarzyszenia naukowo-przemysłowego "Diament", gdzie z gigantycznych schronów przeciwlotniczych pod nim były przejścia do "Sokoła", akurat do miejsca, gdzie puszkowano wieprzowinę w fabryce. Ale z ludźmi z "Diamentu" trzeba było mieć oczy szeroko otwarte, oni nie żalowali ludzi ze stacji rolniczych i hodujących świnię.

Pracownicy techniczni, do obcych odnosili się z wyższością. No i niewiadomo, czy działały nasze hasła u nich. Gdzie prościej wpaść kolejką po zbliżającej się do ciebie figurze, albo po prostu zignorować wystukiwany szyfr w małe hermetyczne wrota. I wtedy postanowiłem, że zrobię to prościej - jeszcze jedno wejście do metra było od strony schronów lotników, znajdował się na terenie zakładu imienia Mikołajana.

Tam się wybrałem, pocąc się pod swoim ciężkim plecakiem. Specjalnie zrobiłem dwa kursy i wyposażylem skrytkę dokładnie przed wejściem do zakładu. Stały tam dokładnie takie same bramki, jak w zakładzie "Znamia truda". Zdjąłem z jednej z nich pokrywkę i starannie schowałem pudełko z cud-tabletkami do oleju napędowego, monitor mutacji i dalsze nauki ściśle nieboszczyka Matematyka. Chciałem wierzyć, że nieboszczyka, chociaż pamiętałem, jak naczelnik stacji "Sokół" mówił, że trzeba odróżniać, martwego od niemartwego. Dlatego wydawało mi się, że Matematyk mógł stać się takim niemartwym. Zostawiłem sobie tylko jego dziennik i dyski twarde z informacjami o locie i mapami. Z nimi nie było szkoda się rozstawać, stały za rezultatem naszej podróży.

⁶⁵ *Близок локоток, да не укусишь* (blisko łokieć, ale nie ugryziesz) - rosyjski idiom; coś pozornie łatwego, ale w rzeczywistości nieosiągalne

Spędziwszy noc w pustym budynku zakładu, znalazłem schron przeciwlotniczy i odkryłem, że jego drzwi otwierają się standardowym kodem. Dawien dawno kilka naszych stacji dogadało się, że na mechanicznych zamkach będzie umieszczony ten sam kod, żeby uciekający przed niebezpieczeństwem człowiek z ekspedycji na górę mógł wrócić nie przez swoją stację, a przez zaprzyjaźnioną.

To nikomu nie przydało się, uczestnicy obydwu wypraw zaginęli bez śladu, ale kod z mojej głowy przypadkowo nie zatarł się. A zapomnieć go przeze mnie to nie problem. W dzienniku Matematyka, księdze tajemnic naszego podziemia, znalazłem i jego, i wiele innych ciekawych cyfr.

I wtedy stanąłem na długich schodach, od razu otoczył mnie znajomy zapach podziemia. To był swój, moskiewski zapach, nie podobny do zapachu peterskiego metra. Jeszcze długo błąkałem się po korytarzu, siedłem obok drzwi, za którymi, z pewnością, byli ludzie, dlatego że słychać było stamtąd szmery i stukanie. Oczywiście wartownicy za nimi biegali do wizjerów, żeby popatrzeć, kto tam wędruje po strefie zamkniętej.

W którymś momencie, kiedy oparłem się o kolejne drzwi hermetyczne, obok ożył interkom i dosyć chamsko spytał mnie, co ja za dziwak jestem. Bardzo dziwne pytanie ze strony maleńkiej, żelaznej kratki w ścianie. Ale ja szczerze odpowiedziałem:

- Roboty elektryczno-montażowe, stacja "Sokół".

Przy tym ja ni cholery nie kłamałem, ja nawet nazwałem siebie elektrykiem, dlatego że elektrykiem byłem w poprzednim życiu. W ogóle sam nie byłem pewien, że jestem teraz elektrykiem.

Za drzwiami naradzali się. Od razu było wiadomo, że się tam naradzają.

- Wezwać lotnika? - spytał ktoś.

"He he, i jeszcze jeden lotnik, zaraz pod nosem. Tylko tego mi brakowało" - pomyślałem, ale za drzwiami naciskali na coś z zauważalnym grzechotaniem i otworzyli mi wejście do wąskiego korytarza obwodowego.

Przeszedłem po nim, trafiłem do potrzebnego tunelu i ruszyłem do granicy "Sokoła".

Rozdział XV Wielka świńska bitwa

- Mnie to obojętne, jak byś nie prosił – w piątki nie podaje. - Żegłow znowu uderzył, ale tym razem dużo silniej, i walił po stole raz za razem, niczym kula puszczona w ruch – po czym zaśmiał się z zadowoleniem : - bardzo mocno poskrom swoją duszę, gdyż przyszłość człowieka gnicie ...

Bracia Wajner. Era litości

Minąłem posterunki używając starego, znanego hasła. Nie podzieliłem losu podwładnych Matematyka, po którym od razu walili z automatów. Czuło się, że wszędzie panuje jakiś porządek. A przyjrzawszy się, zobaczyłem wizjery kamer - prowadziły mnie przez sto metrów, póki szedłem przez tunel.

Naczelnik na "Sokole" był ten sam. Właściwy był naczelnik, no i kto mógł zmienić Butowa? Nie było takiego człowieka.

Kiedy mnie do niego przyprowadzili, zrozumiałem, że mnie nie poznaje. No tak, wyłysiałem i schudłem, zwiotczałem, ale nie tak bardzo się postarzałem. Jednakże jakoś to wszystko zadziało razem: i wyłysienie, i to, że stałem się chudszy, ale jeszcze wiedziałem, że mnie nie rozpoznają z tego powodu, że mam inny kolor twarzy - opaliłem się. Opalonej skóry nie mogło tu być, a ja w ich oczach nie byłem jak stu nieznajomych, a wybrykiem. Nie poznawali mnie, brali mnie za mieszkańca górnej części świata i traktowali mnie jak zmarłego, przypadkowo wypuszczonego z krainy umarłych. Prawda, kilka razy wzięli mnie za Władimira Pawłowicza. I wiedziałem dlaczego: czapka i kurtka robiły swoje. Je pamiętali, a ludzi, rok temu zniknąwszy z stacji - nie. Jednym słowem, nie byłem mną, a moje położenie było niepewne. Nie byłem w wielkim niebezpieczeństwie, ale jednak to było nieprzyjemne. Naruszałem spójny obraz świata.

I wszystko dlatego, że powiedziałem, że tam, na górze, jest życie nie gorsze od ich własnych. Być może i beze mnie wszystkiego się domyślali, że ludzie na powierzchni istnieją, powinni być, ale, kiedy przychodzi świadek, wszystkim robi się przykro, że teraz trzeba wbudować nowość w swoje życie.

Ale i naczelnik "Sokoła" mnie zaskoczył, mówiąc plotkę o tym, że gdzieś na południowych zachodzie złapali sygnał Petersburga. Jednakże to były tylko plotki, a ze mną było kilka terabajtów informacji o podróży, mapy i najważniejsze - osobiste doświadczenie. Butow, i to było widać po jego twarzy, wiedział, że w jego ręce trafił skarb i należy postanowić, jak nim rozporządzać. Przemilczeć i wydoić ze mnie wszystko samemu czy trąbić o moim pojawieniu się dalej wężykiem ludziom Hany i innym zainteresowanym osobowościom aż do mitycznych przywódców Matematyka ze Szmaragdowego Grodu.

W każdym razie byłem pewien, że, po pierwsze, naczelnik stacji będzie mnie pilnował jak oka w głowie, i po drugie, nikt nie wie, że jestem tym mechanikiem urządzeń elektrycznych, którego znali od zawsze. No i to prawda, byłem elektrykiem w poprzednim życiu. A teraz było inne życie. W tym nowym życiu ja już byłem całkiem innym człowiekiem.

Potem naczelnik "Sokoła" powiedział, że zawarliśmy pokój z Wojkowskimi i inżynierami z "Diamentu". To już nie był zły świat, a pełne bratanie się. Ku zaskoczeniu Butowa, inżynierzy zza ścianki dosyć dużo wiedzieli i o nim, i o wszystkich nas. Nawet o mnie pytał go ktoś z Wojkowskich przywódców.

Po rozmowie z Butowem wyszedłem na peron i zobaczyłem zwyczajną marność: po drogach sunęły wózki z gotowymi produktami, przyjechali jacyś ludzie z "Dynamy" po świńskie skóry. Przenieśli obok mnie jakieś beły, przejechał obok grzechoczący wózek z konserwami. I wtedy jakby mnie porażono prądem.

Obok przeszła jakaś kobieta, bardzo podobna do Katii. To była ona! Nawet rzuciłem się, jak od porażenia prądem i było oczywiste, że mnie nie rozpoznaje. Cholera, ona mnie nie rozpoznawała, a ja nie wiedziałem jak postąpić.

I, z początku zrobiwszy krok w jej kierunku, wycofałem się do kolumn.

Spać musiałem w domu świniarzy. Przed tym jak tam poszedłem, po starej pamięci zjrzałem na fermę. Dwunastu hodowców, stojących pośród swoich podopiecznych, o coś się sprzeżało. Wrzeczeli coś w dwanaście gęb, a ja, wspomniawszy powiedziane kiedyś przez Władimira

Pawłowicza słowa, przyglądałem się temu, jak wszyscy oni byli podobni do swoich zwierzaków. Teraz stało się całkowicie jasne, że ze świniarzami jest coś nie tak. Przenosiłem wzrok od świni do świniarzy, od świniarzy do świni, znowu i znowu wpatrując się w oczy jednych i drugich, i zdawało mi się, że już nie wiadomo kto jest kim.

Z rana, kiedy piłem taką samą syntetyczną herbatę "nic a nic się nie zmieniła przez rok), świniarze zaczęli mnie zaczepiać. Zaczepiali nie byłego elektryka, a nieznanego zwałającego się im na głowę. Przy czym reszty się już domyślili. Wiedzieli skądś, że szukam dziewczyny, wiedzieli, że żyłem w innym mieście i przybyłem stamtąd, i że chodziłem tam i z powrotem. Ja im tego nie mówiłem, dobrze bym to pamiętał.

Teraz zaczniesz wierzyć w to, że są związani ze zbiorowym umysłem świń i słuchają się ich rozkazów. Od dawna miałem podejrzenia, że z tymi świniami nie wszystko jest w porządku i nie wszystko jest w porządku ze świniarzami, tylko że to były przedwczesne domysły i dopowiedzenia.

Rozpętała się prawdziwa draka. Świniarzy nie obchodziła moja wartość, moje doświadczenie i w ogóle moja przeszłość. Postanowili mnie bić, w dodatku nie po prostu bić, a zabić. Zmiana ich nastroju choć i była niezrozumiała, ale poczułem oczywiście bezpośrednie zagrożenie.

Z początku jeden z nich zaczął mówić, że cały czas, kiedy mnie nie było, cieszył się "moją kobietą", drugi zaczął głośno rozpowiadać, ile można ze mnie wyciągnąć tłuszczu. W którymś momencie stało się dla mnie jasne, że to nie będzie zwykła kłótnia, a bitwa na śmierć. Ktoś postanowił się mnie pozbyć, jak niepotrzebny czy nawet przeszkadzający szczegół podziemnego życia. Ale teraz jeszcze można pokonać tego kogoś, a drugiej szansy u tej nieznannej mi siły nie będzie.

I wtedy pierwszy ze świniarzy uderzył mnie z tyłu, ale ja odwróciłem się na pięcie i dosięgłem nogą jego głowy. Rozpętała się okropna awantura, w trakcie której nagle doświadczyłem absolutnego szczęścia.

Chwyciłem pięść jednego z przeciwników, wykręciłem nadgarstek i wbiłem mu palce w oczy. Zdaje się, że nie krzyknął, a chrząknął i to wywołało u mnie ledwie stłumione rozbawienie. Nie, ja mocno się zmieniłem i brutalność stała się częścią mojej osobowości.

Teraz ruszałem się jak maszyna i nie miałem litości, ponieważ uznałem, że walczę nie z nimi, tępymi i na swój sposób sympatycznymi dla mnie ludźmi, a z intelektem, który nimi steruje. Nie ważne, czy to jest ludzki intelekt, czy stado świni zawładnęło moimi byłymi towarzyszami. Z biesami walczyłem, a nie z ludźmi. Zresztą, już nie żałując ani jednych, ani drugich.

Jednakże w czasie bitwy wiodłem ze świniarzami dziwny, bezsłowny dialog, jakbym wypowiadał je do siebie: "No, s-suka, bogu równi świniarze, teraz ja wyjaśnię, dlaczego polecieście. Wy, ja to wiem, na pewno polecieście. - Kilka razy przemielilem to słowo na języku. - Nie jesteście dobrzy. Nie jesteście dobrzy, ponieważ podeszliśmy do mnie, staruszka, i od razu dajecie mi po nosie."

Widziałem walki w swoim dzieciństwie. Z tego powodu, że to były dziecięce walki, oni byli nie mniej brutalni. W tym czasie nocą lub wieczorem dzieciarnia podchodziła powoli i pytał-oznajmiał: "Daj pieniążka". A ty mogłeś wyjaśnić dzieciarni, że jesteś jednym z nich albo to, że posoka i jucha poleją się z nosów dzieciarni, cena nie jest warta pieniędzy, pieniądze nie są warte krwi. Ale wy, świni, tego nie zrobiliście. Świnie żrące bez opamiętania.

Nie jesteście dobrzy, po pierwsze dlatego, że podeszliście i nieumiejętnie daliście mi w nos. Zastraszaliście wiedząc, że pozostaniecie bezkarni. Ale teraz ja wiem, że śmierci mojej chcieliście, gnoje.

Świńskie ryje macie zamiast twarzy i świnię myślą za was! W tym momencie wydało mi się, że czuję odpowiedź ich ślepej nienawiści. Nie świniarze chcieli mnie zabić, a świni! Świnie wyczuwają we mnie jakieś zagrożenie dla swojego trwałego pokoju. Wierzą w to, że, być może, będę tym kamyczkiem, od którego zacznie się lawina, która przemieni nastawienie do nich samych i całego ich świata sytości i dobrego samopoczucia.

Znowu uderzyłem prosto w nos, że mnie zerwali mieszek i rzucili na ziemię. I to był błąd. Gdyby chcieli zaprowadzić mnie na ubój, musieliby z całej siły uderzyć w potylicę, a następnie skopać. A po nosie trzeba walić, jeśli chcecie zdemoralizować przeciwnika widokiem i smakiem krwi... Ale uczyć nie będę, jak się wali po nosie.

Po drugie, nie popatrzeliście na moje nogi. A na nogach miałem prawdziwe trapy, wy już zapomnieliście, co to takiego. Chwała czasom przed Katakлизmem i innym antycznym zakładom obuwniczym.

Po trzecie, jeśli do was przyszedł obcy, wyglądający na staruszkę, to nie znaczy, że jest ustępliwy i miłujący pokój. I jeśli taki facet jest gruby, nie znaczy, że jest dobroduszny. I jeśli jestem internacjonalistą, to nie znaczy to, że bardzo lubię ludzi. I jeśli nogi miałem zniszczone, to nie znaczy, że one w ogóle się nie podnoszą.

Po czwarte, kozły (tu zacząłem wibrować głosem), po czwarte, próbowaliście obić mnie o nerkach, a z tym nie mogę się w żadnym razie zgodzić. I mieliście noże, a tu już nigdzie nie pasuje. Nie wolno prześladować nieznanym wam grubych ludzi, a przecież mogliście się przyjrzeć i mnie rozpoznać. Metro jest przecież małe i żeby zabić człowieka trzeba się bardzo postarać. A przecież stałem się niebezpieczniejszy, byłem tu i tam i wiele widziałem i słyszałem.

Po piąte, nie umiecie się bić. Kiedy wam łamią ręce, boli was i się boicie. A to w walce niedopuszczalne. Widać, nie nauczyliście się walczyć w szkolnych toaletach, z mokrymi od łez twarzami, na mokrych płytkach, w gronie nienawidzących was rówieśników. Was nie nauczyli profesjonaliści i później, i o to moglibyście się mnie spytać, ale wy od razu daliście mi po nosie.

Mogliście mnie spytać, dlaczego się smucę? Ale mój strach wyszedł czystą adrenaliną, wiosna nabrała smaku odmarzającej ziemi i krwi - zapach radości i szczęśliwości. Nie mam za co was przeproszać, przynajmniej waszego przyjaciela, który się nie wtrącał, a tylko piszczał jak maleńki prosiak, nie ruszałem. Wiedźcie, gnojki, że czwarty nigdy się nie wtrąca. W bójce nie ma dla niego miejsca, on tylko lezie kopnąć nogą, dobić. A jeśli jego współników kładą w brudnym błocie, to może już tylko biec po pomoc. A wasza pomoc, widać, była daleko.

Jeden problem, ja zawsze współistniałem ze świniarzami, a jak mi teraz z wami pracować? Zmusiliście mnie do walki, to znaczy, do zamknięcia na zawsze stron mojego życia, gdzie byłem uczciwym elektrykiem i oto prawdziwa przyczyna waszego problemu...

No i w końcu specjalne podziękowania należały się drużynom z ochrony stacji z nieznaną mi jednostką (teraz mieli szkarłatne paski na rękawach, w zeszłym roku takich nie nosili), którzy przybiegli na sam koniec mordobicia, popatrzyli na całą tę sytuację i rozdzielili nas od siebie. Dysząc jak żaba, oparłem się o ścianę.

Cienkie dzwonienie, które było w mojej głowie, nagle gdzieś zniknęło. No tak, już to wszystko mocno przypominało opis ataku psychotropowego, rezultaty działania obcego intelektu. Teraz on odstąpił i nie dlatego, że go zwyciężyłem, a dlatego, że stracił zainteresowanie mną, postanowił nie łączyć się. Tak, w tunelach nie będziesz ściagać szczura, który się dziabnął i zaraz pobiegł dalej, nie potrzeba tego. Siebie, znaczy, drożej.

I wtedy pojawił się szczur! Tego szczura poznałbym od razu nawet bez różowej wstążki na szyi. To był szczur Katina i patrzyła na mnie tak, jakbym nie zniknął na rok i, co ważniejsze, jakbym się nie a nic nie zmienił.

Na pewno, to też był telepatyczny szczur, dlatego że za każdym razem znalazł się obok niego myślałem, że nawiązujemy dialog i już mówimy o czymś bez słów, ale w pełni rozumiejąc się nawzajem. Wyciągnąłem rękę, ale zwierzę cofnęło się, a ja usiadłem na betonowej podłodze i natychmiastowo zasnąłem.

Wieczorem obudziłem się i poszedłem do podziemnego źródła w prysznicu. Dzisiaj, jak się okazało, był dzień kąpeli. Co chwila spotykałem ludzi pachnących naszym firmowym świńskim mydłem. Szli cali czysti i było widać po błogim wyrazie twarzy, że cieszą się małym codziennym szczęściem, że wszyscy są czysto ubrani. Twarze mieli błogie, a szli ze zwitkami starych ubrań pod pachą.

Ja też dołączyłem do kolejki do pryszniców, a potem, po umyciu się, usiadłem na drewnianej ławce. Przez rok nic się tu nie zmieniło, i myli się wszyscy, chociaż i w różnych kabinach, ale szatnia była wspólna.

Tak siedziałem, owinięty w jakieś płótno techniczne i schnąłem, zupełnie o niczym nie myśląc. I wtedy zobaczyłem babę Tomę.

Siedział na przeciwko i oczywiście mnie nie poznała. Jej obojętny wzrok przeszedł po mojej twarzy i zaczęła składać swoje ubrania.

Ale wtedy się pochyliła i spojrzała na moje nogi. A ja zrozumiałem, na co ona patrzy - ona patrzyła na bliznę od wyciągarki, którą mam od dziesięciu lat. Blizna była charakterystyczna, jakby w nogę nie ugryzła mnie zwyczajna świnia, a wielki zmutowany dzik. I baba Toma patrzyła na nią, a ja sprawiałem wrażenie, że tego nie zauważyłem.

Patrzyła się na moją twarz i ciągle nie rozpoznawała : łysych ludzi ciężko rozpoznać. Toma, Toma... wiedziałem, że nie pamiętam, jakie miała imię odojcowskie, a przecież kiedyś nazywałem ją imieniem odojcowskim: Tamara... Nie, zupełnie nie pamiętam. Baba Toma jeszcze raz popatrzyła na mnie i, ruszając się jak kaczka, poszła sobie.

Wróciłem do wydzielonego mi pokoju i spałem tam, zdaje się, dwa dni, rozmyślając w przerwach między snem, co robić.

Rozdział XVI Maleńkie rączki nadziei

Życie moje? Czy przyśniło mi się?

Andriej Jesienin

Rozpoznał mnie szczur. Nikt mnie nie poznał, tylko szczur. Podbiegłszy, zadarł mordkę i zaczął patrzeć w oczy. Potem wstał na tylne łapy i położył na wysokim bucie.

- Co, co powiesz? - spytałem go.

Szczur pisnął w odpowiedzi i westchnął. Cholera, on naprawdę westchnął, to mnie zaskoczyło! Chociaż po wszystkich historiach o mutacji delta ja już niczemu się nie dziwię.

- Co, jak myślisz, czekają na mnie? - spytałem swojego towarzysza.

Szczur znowu zapisał w odpowiedzi i, z powrotem stanąwszy na czterech łapach, potruchtał gdzieś. Ale nie, on cały czas oglądał się, jakby wołał mnie za sobą. I poszedłem pewnym krokiem, zarzuciwszy torbę na plecy i wbijając obcasy w beton, jakbym wbijał w niego gwoździe. W strefie mieszkaniowej, pośród komórek, gdzie siedziały krawcowe, znalazłem miejsce, gdzie mieszkała Katia. Ale tam na mnie zza drzwi znanego pomieszczenia spojrziała jakaś zupełnie nieznana mi kobieta. Patrzyła na mnie ze strachem, jakby przybyłem z innego świata. Tak, w zasadzie nim byłem, przybyłem z innego świata. Przyszedłem prosto ze świata, gdzie jest naturalne światło.

Szczur wiódł mnie dalej i dalej, póki nie wszedłem w ślepy zaułek. Zaszleściła plastikowa zasłonka i zobaczyłem znajome plecy. Ale wtedy, muszę się przyznać, zamarłem. Patrzyłem nie na Katię, która stała nie widząc mnie jeszcze, a na inną twarz, wyglądającą zza jej pleców. Dwoje ciemnych oczu patrzyło na mnie uważnie i spokojnie, nie zmieniając swojego wyrazu. Katia trzymała na rękach roczne dziecko, które wpatrywało się w nieznanego mu człowieka.

W końcu odwróciła się i jeszcze przez kilka chwil staliśmy w milczeniu. Zrobiłem krok do przodu i objęliśmy się. To był dziwny uścisk - w trójkę. Przytuliliśmy się nawzajem, jednocześnie bojąc się zrobić krzywdę dziecku.

Od razu wszystko zrozumiałem, w ogóle to bez uciekania się do jakiegokolwiek arytmetyki. Wszystko wiedziałem ze snów, z ich ulotnego wróżenia, i dlatego Katia nie musiała mi niczego tłumaczyć. Nawet od razu rozumiałem, że to dziewczynka, chociaż przez dwadzieścia lat przebywania pod ziemią widziałem bardzo mało niemowląt.

Katia spokojnie na mnie patrzyła.

- Dziewczynka - to dobrze - powiedziałem wyczytane gdzieś zdanie. - Dziewczynka - to dla świata.

Dziewczynka była zaskakująco podobna do mnie, gnoma. Normalnie cud! Nie było podobna do nikogo innego, ani do tych ludzi, których widziałem w różnych miejscach, ani do potworów i świrów, których na mojej drodze też było niemało. Ale definitywnie nie była to istota ludzka, a istota jakiegoś anielskiego pochodzenia. To, że córkę nazywała się Nadzieja, było całkiem do przewidzenia. Od razu poczułem, że nie mogli jej nazwać inaczej.

Faktycznie, był to dobry powód, żeby żyć i umierać.

Siedzieliśmy obok śpiącego dziecka i rozmawialiśmy bardzo cicho. Tak z ledwie słyszalnym szelestem poruszały się po swoich drogach podziemne zwierzęta. Tak szumi podziemna woda w tunelach. Tak samo przepływały między nami słowa. Musieliśmy jeszcze dużo dowiedzieć się o sobie nawzajem, tylko że to będzie można zrobić później, przez dni, tygodnie i miesiące.

Szary szczur patrzył na nas czarnymi paciorkami oczu, jakby mówiąc: "Ja to wszystko wiedziałam, a czego nie wiedziałam, to zakładałam, i dlatego nie będę się wtrącać..." Szczur przeniósł wzrok z jednego rozmówcy na drugiego i w takt wypowiedzi ruszał wąsami.

Minęło, z pewnością, kilka godzin, dziewczynka obudziła się, nakarmiliśmy ją i powiedziałem, że, tak czy inaczej, nie będziemy tutaj mieszkać.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Katia.

- Wszystkie jest bardzo łatwe. Metro jest kolebką nowej ludzkości. Ale nie będzie wiecznie żyła w kołysce.

Wiedziałem, że jeszcze długo będę przemyślał ten pomysł, ale życie dłużej nie pozostanie takie samo. Ciągłe raz za razem będę wychodzić na powierzchnię, żeby potem bezwzględnie wyrwać się z podziemnej Moskwy. Trzeba iść na światło, ot co.

Leżeliśmy z Katią w ciszy na wąskim łóżku. Za cienkimi drzwiami ze sklejki usłyszałem głos baby Tomy. Sprzeczała się z kimś, ale było słyhać jak jej głos stopniowo mięknie. W końcu zapukała do nas w cieką przegrodę:

- Sasza, Sasza! Jesteś tu, jesteś? Hm? Przeszkadzam wam? Przyszedł do ciebie człowiek z "Wojkowskiej", mówi, że twój krewny.

Drzwi ze sklejki otworzyły się powoli, uderzając klamką o ścianę. W moim kierunku podszedł człowiek o głowę niższy ode mnie, prawie starzec, ale dobrze się trzymający. W podeszłym wieku, z blizną na czole i zmarszczkami wokół ozu.

Patrzyłem na niego, powoli domyślając się, co się dzieje. O co zapytać lub co powiedzieć, nie miałem żadnego pojęcia. Twarz miał spokojną, ale zauważyłem, jak drga każdy mięsień jego szyi.

Najważniejsze, że mogłem pomyśleć, i pomyślałem: "Dlaczego nie ma na sobie kurtki pilota? Przecież bez kurtki pilota - to nie pasuje. Nikt nie rozpozna go bez kurtki pilota albo chociaż bez czapki, na której powinny być skrzydła. Dlatego nie od razu go poznałem, a przecież przygotowywałem się do tego przez dwadzieścia lat."

Ojciec zrobił jeszcze jeden krok i powiedział po prostu:

- No, witaj Sasza.